

Ar. 13



ZATRZYMANY ZEGAR

TEJ SAMEJ AUTORKI:

VENI CREATOR, NOWELE :-: :-:
CMENTARZ I SAD, POWIEŚĆ
KSIĘŻNICZKA DAGNY, ROMANS

W PRZYGOTOWANIU:

O ŻŁOTY WŁOS, POWIEŚĆ :-: :-:
NA CZTERY WIATRY, POWIEŚĆ

Nr. 15.

WANDA MIŁASZEWSKA

ZATRZYMANY ZEGAR

POWIEŚĆ



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

71702



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0451729



Rodzicom moim poświęcam.



I.

Stara i pomarszczona kobieta wprowadziła mnie do wnętrza. Był to ten sam wielki, nieco ponury pokój z surowym obiciem w ciemne kwiaty. Tak, poznałam go odrazu. Na połączonym kominku, w miejscu, gdzie stały zawsze wazoniki chińskie, osiadła gruba warstwa pyłu. Sprzęty powynoszono, lecz te, które zostały — nieliczne — zdawały się przychylnie spoglądać w mą stronę, wspominając dawną zażyłość.

Zwłaszcza kanapa. Ta śmieszna kanapa z wielkim oparciem, stojąca na pokracznie wykrzywionych nogach...

Ileż razy gramoliłam się na nią, wczepiając dziecinne piastki w grubo kręconą frendzlę, którą była oszyta! Kawałek tej frendzli, dawniej szczerozłotego koloru, dziś barwy nieokreślonej, zwieszał się jeszcze z jednego boku. Naddarte i przetarte w wielu miejscach obicie ukazywało strzępki waty, czy pakuł, którymi wypchany był szanowny mebel...

Przy całym zniszczeniu, przy całej wyblakłości swojej, jakże niewiele zmieniła się kanapa ciotki Eufemji Klimontowskiej! Znaczne

wglębieńie środkowej części zdawało się zachowywać jeszcze szeroki odcisk kształtów korpulentnej damy. Tu właśnie, odkąd siebie i tę kanapę pamiętam, w tem miejscu siadywała niezmiennie ciotka Eufemja Klimontowska, żartobliwie przez Janusza „ciotką rodu” zwana.

Jakże odległych czasów sięgają te wspomnienia! Byłam jeszcze zupełnie malutka, gdy po raz pierwszy przestąpiłam próg tego pokoju. Wysoki, dębowy próg wydawał się mym czteroletnim stopom trudną do przebycia zaporą, zwłaszcza, że za nic w świecie nie odważyłabym się wychylić głowy z fałdów matczynej spódnicy.

Było to o zmierzchu, o wczesnym zimowym zmierzchu i w pokoju na okrągłym stole paliła się lampa z przymocowanym do abażuru kawałkiem w kilkoro złożonej gazety. Gdyśmy tak brnęły przez tę ogromną bawialnię, zastawioną sprzętami, siedząca na kanapie otyła dama spoglądała, nie podnosząc głowy, z nad okularów. Dotychczas pamiętam krótki błysk oczu czarnych i żywych, stanowiących niezwykle kontrast z opuchłą i pomarszczoną oprawą niemal bezręcznych powiek.

Pani Eufemja Klimontowska robiła na drutach czerwony włóczkowy szal, którego wykończona połowa spływała po tłustych kolanach aż do ziemi. Nie odkładając drutów, powstrzymanych tylko w ich migotliwym błyskaniu, stara dama patrzyła czas jakiś uważnie, bez sło-

wa. Patrzyła raczej na matkę, niż na mnie, a jej fałdziste oblicze nie wyrażało żadnych specjalnych uczuć, złych czy dobrych: widniało zeń tylko oczekiwanie.

— Przyjechałyśmy... — rzekła moja matka cichym głosem i nagle, z determinacją odgarniając fałdy sukni, dorzuciła pośpiesznie:

— To jest właśnie Krysia.

W ciszę, jaka nastąpiła po tem oświadczeniu, wpadł nareszcie dźwięk głosu. Głosu tego również nigdy nie zapomnę. Zdawał się wydobywać z pod ziemi, z głęboka, a jednocześnie miał w sobie jakiś ostry, zgrzytliwy ton, taki, jaki wydaje stare żelastwo, uderzone młotkiem.

— No! — powiedziała „ciotka rodu”, odkładając na bok druty — Mamy teraz, chwalić Boga, grudzień, a tak — wyciągnęła palec w moją stronę — można chodzić w środku lata, jeżeli wogóle dziewczynie wypada pokazywać gołe nogi.

Nie zrozumiałam dobrze treści słów, ale na sam dźwięk głosu łzy napłynęły mi do oczu. Byłabym z pewnością wybuchnęła płaczem, pograżając w rozpacz biedną mamę, gdyby nie nowy, niespodziewany incydent: oto tłusty mops, którego nie zauważyłam dotychczas, uniósł potworny swój łeb z poduszki i prostując się na kabłąkowatych nogach, ukazał w szerokim ziewnięciu otchłań czerwonej paszczy.

To wydarzenie tak całkowicie pochłoneło moją uwagę, że nawet nie dosłyszałam lekliwych objaśnień matki. Dopiero gderliwy głos starej damy przywołał mnie do rzeczywistości.

— Jeżeli już w takiej pozycji jesteście, że dziewczyna nie ma nawet całych, porządnych pończoch, to ja jej zrobię na drutach i będzie je odtąd nosiła. Cicho, Acan! — wypowiedziała jednym tchem ciotka, spoglądając bardzo przyjaźnie na psa, który skończywszy ziewać, zawarczał głucho, jakgdyby teraz dopiero zauważył obcych przybyszów.

— Doprawdy... cioteczko... tyle dobroci... — zaszeleścił znów cichy głos mej matki.

— Jestem ciotka. Tak mię nazywaj. Ciotka Eufemja. Niecierpię tych wszystkich waszych spieszczeń! — mruknęła dama, poczem pocałowała mamę w czoło, a mnie w okolicę ciemienia. Jednocześnie głowa moja, przygwożdżona ręką „ciotki rodu” zginęła całkowicie w fałdach szerokiego kaftana, wypełnionego zaiste imponującą obfitością ciała. Od tej pory zapach piżma, lawendy i trociczek, którym przepojona była, nie wiem już teraz, suknia, czy skóra otyłej damy, stanowi dla mnie nieodłączną całość z jej wspomnieniem, tak samo, jak mops Acan i ruda kotka, imieniem Waćpani, faworytka całego domu.

W przeciwieństwie do mopsa, którego, oprócz fizycznej brzydoty, cechował nader

przykry charakter, Waćpani odznaczała się pełną wdzięku pieśzczołliwością. Nawet wtedy, gdy wypadło jej skarcić któregoś z młodocianych figlarzy, zbyt natarczywie nastającego na jej spokojne, poobiednie *far-niente*, czyniła to z gracją. Wczepiała w dziecięce ramiona ostre pazurki, ani na chwilę nie rozwierając półprzymkniętych powiek, kryjących szmaragdowy blask oczu. Pełen zadowolenia pomruk, dobywający się z jej gardła, nie ustawał przytem ani na chwilę, zupełnie jakby Waćpani prawila słodkim tonem kazanie: „A widzisz, kochanku, nie zaczepiaj mnie, gdy tu sobie wypoczywam w ciszy, bo to nieładnie być natrętnym i naprzykrzać się bliźniemu, choćby nawet tym bliźnim był... *zv. kły kot domowy...*”

Skończywszy, z tem samem łagodnem mruzeniem chowała pazurki pomiędzy miękkie poduszeczki łap i zamykała zupełnie oczy dla zaznaczenia, że sprawę uważa za załatwioną.

Ciotka Eufemja wołała mopsa. Wychowała go od szczenięcia, ucząc pić mleko „po palcu”, gdyż pokraczne stworzenie, wskutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, już w niemowlęctwie zostało pozbawione swej naturalnej opieki i żywicielki.

Kiedy przybyłam do Klimontowiec, mops liczył blisko piętnaście lat życia i srodze cier-

pieł na astmę. Ten właśnie szczegół, być może, przyczyniał się w znacznej mierze do bałwochwalczego przywiązania, jakim darzyła ciotka swego ulubieńca. Kaszląc i sapiąc oboje, patrzyli na siebie pełnym współczującego zrozumienia wzrokiem.

W rzadkich chwilach rozserdecznienia lubiła ciotka opowiadać o młodych latach mopsa. Opowieści takie były specjalnym faworem, to też każdy z domowników słuchał po stokroć tych samych historii, usiłując nadać swej twarzy wyraz jak najgłębszego skupienia.

— Gdybyście widzieli, jaki on był śliczny i milutki! Od chwili, gdy nauczył się biegać, nie opuścił mię nigdy nawet na kilka godzin. Sypiał w nogach łóżka i jadł tylko z mojego talerza... Szerść miał ciemniejszą, miększą niż teraz i pachniał tak przyjemnie...

Tu ciotka zwykle wzdychała i dodawała po pauzie:

— Zapach młodych szczeniąt, to dla mnie perfuma...

Chrapliwy, ostry jej głos nabierał cieplejszych tonów, ilekroć zwracała się bezpośrednio do Acana. Pod szczęśliwą gwiazdą urodził się ten pies, jedyne w całym domu stworzenie, które nie odczuwało zmiennych humorów ciotki Eufemji, zależnych od pór roku, dni miesiąca, a nawet specyficznych godzin dnia.

II.

Mój Boże! Więc prawie całą godzinę spędziłam w tym starym pokoju, na wspomnieniach, nie zdając sobie sprawy, że czas mija!

Dopiero na dźwięk obcego głosu ocknąłam się z zadumy. Baba stała w obramowaniu tęgiej, dębowej futryny, podobna raczej do malowidła starej szkoły niemieckiej niż do żywego człowieka — i patrzyła na mnie przenikliwie.

— Myślałam sobie — rzekła wreszcie. — Co to się stało, że pani zpowrotem nie widać? Powiada wreszcie mój stary: zmierzch ciut-ciut, trzeba zajrzeć, co się tam święci!

Zaczęłam przetrząsać woreczek i wręczyłam kobiecie trochę pieniędzy, mówiąc z zakłopotaniem:

— Dziękuję wam, moi kochani. Dziękuję i przepraszam. A jeśli tu jeszcze powrócę, otworzycie mi, prawda? Widzicie, ja ten dom znam od dziecka. Pamiętam...

Dziwna jest ta potrzeba wywnętrzania się przed bliźnim. Ot, co babie do tego: przyszłam, to przyszłam. Nikt mię tu przecież podejrzewać nie będzie, że przyszłam naprzykład kraść pa-

jęczynę, zasnuwającą puste kąty... Zachciało mi się posiedzieć tutaj godzinę, więc posiedziałam. I nagle mamrocze coś, jakam się, jak pensjonarka przy tablicy — i to przed kim? Przed obcą kobietą, która tu jest od niedawna i której niewiele zależy na wiadomości, jak dawno znam ten stary dwór...

Widocznie moja baba rozumowała podobnie, gdyż, nie przyjmując datku, odezwała się znowu:

— A dobrze, dobrze. Niech paniuńcia przychodzi, ile jej się spodoba! Zawsze ktoś otworzy. Nie ja, to stary. A te papierki, to niech se pani schowa. Jak się nasz mały na książkę nauczy, jeszcze my pani pięknie dziękować będziemy.

Mały? Aha, to ten z dużą głową wnuczek. Jak to mu? Teoś. Prawda, Teoś. Siedzi pod oknem na trzeciej ławce i struże blat stołu, ilekroć myśli, że tego nie widzę. Dobrze, moja kobieto. Zapamiętam sobie Teosia. Wyuczę go przez zimę. Na „majowe“ będzie już czytał z książki, wobec całutkiej wsi. Dobrze.

Wróciłam potem do domu nie przez wieś, ale łąkami. Droga o połowę krótsza i dwa razy piękniejsza. Jak doskonale, po dziś dzień, pamiętałam każdy zakręt maleńkiej rzeczki! Najpierw idzie się trawą jasno-zieloną, spłowiłą od słońca. Trochę niżej, już w dole, rośnie jakiś nadwodny gatunek, o liściach długich, wąs-

kich i chropawych. Szeleści to pod nogami, łamię się w sztywne zygzaki. Rośnie w kępach, między którymi prześwituje woda. Trzeba stąpać umiejętnie, zagarniając za każdym krokiem pokos tej trawy, niby żywy, zielony pomost, by nie przemoczyć trzewików. A jeszcze dalej, w trawie, która się znowu staje krótka, tylko mocniejsza w kolorze i gęstsza, widnieją, stosownie do pory roku: żółte kaczeńce, lub modre oczka niezabudek, czasem te nieśmiałe kwiatuszki na różowych łodygach, całe jakgdyby z mgły i z rosy utkane. Zerwiesz je — i giną ci w rękę, maleją w oczach, gasną.

Dalej od rzeczki, w miejscach bardziej suchych, łąka aż pstrzy się od kwiatów. Na wiosnę są to przeważnie jaskry, świecące beczelnie, jak wyczyszczony mosiądz, trochę drobnych dzwonków, kwitnące trawy. Później — łąka staje się jużto krwawa od wysoko wybujałych szczawiów, jużto błękitnie-liljowa od skabiozy, rozpanoszonej tu we wszystkich odmianach gatunku i barwy.

W tej chwili są jeszcze skabiozy, choć to koniec września. Lato było dosyć wilgotne, pewnie dlatego łąka wygląda dotychczas tak świeżo. Więc te skabiozy od tyłu lat kwitną rok rocznie tak samo?

„Boże mój... Boże mój...” Idąc powtarzam sobie z zachwytem, potrosze ze smutkiem, te dwa wyrazy. Znow charakterystyczny szcze-

gół: ilekroć byłam w tem miejscu, tu właśnie, gdzie rzeczka nagle zakręca i srebrzy się pod światło, powtarzałam zawsze te same słowa. Piętnaście, dwadzieścia lat temu... Dawniej...

Mój Boże! Mój Boże!...

Mój Boże... Zachwyt mam w sercu ten sam, lecz smutek jakiś nowy. Postarzałam od wczoraj tylko o dzień, a zdaje mi się, że chyba o lat dziesiątek.

Kiedy wchodziłam przez bramę do tej cienistej alei lipowej, byłam bardzo samotna, ale nie czułam ciężaru tej samotności na barkach. Człowiek tak długo nie jest sam, jak długo sobie tego nie powie. A cóż ja powiedziałam sobie wczoraj? No, cóż to sobie mogłam powiedzieć, wróciwszy do małej, ciemnej izdebki, w której własnymi rękoma co wieczór zapalam lampę? Musiałam sobie powiedzieć coś, co jest prawdą bezwzględną: stara już jesteś i bardzo samotna, moja Krysiu. „Taki już porządek na świecie, rybeńko!” — westchnęłaby Balbina, która w latach mojego dzieciństwa miała najpewniejsze lekarstwo na smutek wszelki i gorzkie strapienie: gruszki suszone i śliwki, nadziewane kminkiem...

Ale niema Balbiny, niema gruszek, niema wogóle nic z owych czasów, oprócz mnie samej — i nic tego nie zmieni, nawet fakt, że się tu na starych śmieciach znalazłam. Jestem na tych śmieciach jak liść, wiatrem zagnany. Jutro kie-

runek wiatru zmieni się i — fiut! — żegnaj, mój liściu! Szukaj sobie innego miejsca na świecie, innego schroniska, gdziebyś przylgnęła całą duszą, nim cię los znowu oderwie i hen odniesie.

Zbliżającą się starość przeczuwam nie od wczoraj. Że mam kilka siwych nitek we włosach? To jeszcze drobiazg. Szatynki wcześniej siwieją. A zresztą: „Bodajbyś cudze dzieci uczył” — tak przecież brzmi przekleństwo, choć kto, jak kto, ale te dzieciśka kochane siwizny mi nie przysporzyły.

To zresztą także drobiazg. To nie to. I lekki zarys zmarszczek pod oczami, zapowiedź „kurzych łapek” w przyszłości — i ten ledwo widoczny, a przecież widoczny żółtawy ton skóry, przeświecający jakgdyby od wewnątrz — to także nie to. Starość moja, starość, czekająca na progu, to owe dziwne nastroje, którym poddaje się coraz częściej, to ta jakaś *malaise*, na którą nie znajduję w tej chwili polskiego określenia. To te okresy smutnych zapadań w zadumę... W zadumę nad czem? Bóg raczy wiedzieć. Nad niczem specjalnem, albo po prostu nad tem, że życie płynie i ucieka mi z przed oczu coraz chyżej...

„Ucieka?” Zły wyraz. Ja życia nie chwytam za poły, nie staram się powstrzymać go w biegu. Więc nie ucieka, ono tylko przechodzi. Przechodzi mimo mnie, nawet mnie mija. A niech tam!

Dlatego tak lubię patrzeć w słońce o zachodzie, że zawsze z jednakiem wzruszeniem obserwuję odwieczne zjawisko. Drgnęło? Ostatni raz? Nie: jeszcze błysło. I jeszcze. I jeszcze maleńki rąbek płonie różowo nad linią horyzontu. Podobno tu już jedynie spectrum słoneczne, lecz drga i płonie tak samo...

Słońce wędruje przez niebo, jak człowiek przez własne życie — i jeden tylko ma zenit: południe. A potem rozpoczyna się pośpieszna wędrówka w dół, ku innej, ku tamtej stronie. Wreszcie, nim wszystko zapadnie w nicość, zszarzeje, zgaśnie, — ta jedna, krótka chwila — jak błysk — która zdaje się trwać nieskończenie... To przejście w inne światy ten moment, w którym zarówno człowiek, jak słońce w jednym ułamku sekundy przeżywa całe swoje istnienie.

Wszystko to mogło być powiedziane lepiej i piękniej. Nie mam pretensji do celowania w doborze metafor. Jestem zwyczajną śmiertelniczką, nie wynalazłam prochu. Należę do rzędu tych istot, które każda stara prawda, przez nie odkryta, zachwyca i dziwi...

Miałam raz ucznia, który kosztował mię wiele pracy. Chodziło zwłaszcza o mnożenie, czy dodawanie. Chwilami z rozpaczą sądziłam, że dziecko jest chyba kretynem, skoro w żaden sposób pojąć nie może, iż dwa razy trzy jest sześć, a trzy razy trzy — dziewięć. Przez sze-

reg dni chłopaczek odpowiadał bez sensu, na chybił trafił. Szalałam. Wreszcie pewnego ranka malec niechcący odpowiedział trafnie... I nagle oczy mu zabłysły, klasnął w ręce, wykrzyknął:

— To, proszę pani, jest tak: jak dostanę dwa razy od mamy na tramwaj, to będzie sześć kopiejek, a jak dostanę trzy razy, to będzie... — zastanowił się i po chwili dorzucił triumfalnie: — To będzie dziewięć!

Zrozumiał. Coś błysnęło w mózgu, jakieś pojęcia oderwane skojarzyły się ze sobą, przestały być abstrakcją...

Ilekoć zdarzy mi się w życiu coś zrozumieć, uczynić takie fenomenalne odkrycie prawd znanych i uznanych — przypominam sobie tego malca i nabieram otuchy...

III.

Chaos w myślach trwa nadal. To już czwarty dzień od pamiętnej niedzieli, czwarty tydzień od mego tutaj przyjazdu.

Więc naprawdę można tak długo przetrwać wspomnienia? Nie uwierzyłabym, gdyby mi powiedziano rok temu, że kiedykolwiek pozwolę się do tego stopnia obezwładnić pierwszej lepszej fali, płynącej z błękitnego Wczoraj ku szaremu Jutru. Czyż doprawdy przeszłość była taka błękitna? Kto wie, może moje bezbarwne „dziś” nabierze kiedyś przez oddalenie koloru?

Postanowiłam sobie nie odwiedzać zbyt często klimontowskiego zakątka. Zanadto mię obraz znajomy przenika. Jestem później jak klisza, którą wywołano, ale nie utrwalono. Kontury wszystkiego, co żywe wchłaniałam w siebie ongi, zarysowują się wyraźnie, by wkrótce poczerńnieć w świetle rzeczywistości. Czegoś nie dostaje tym obrazkom z natury. Może *camera obscura* — owo sanktuarjum wspomnień — nie była tak szczelna, jak sobie wyobrażałam?

Na szczęście, tydzień składa się z sześciu dni powszednich i jednej tylko niedzieli... Od ósmej do dwunastej dzieciaki siedzą rzędami na długich ławkach, poustawianych pośrodku tak, że przy każdej ścianie mam wolne przejście. To mi ułatwia kontrolę nad niesforną gromadką. Przechadzam się między trzydziściorgiem drobiazgu, zaglądam w zeszyty, czasem na kolana, gdzie wzdęty fartuszek świadczy o pokaznym zapasie antonówek i złotych renet... Mimowoli uśmiecham się w duchu. Te dzieciaki jeszcze się mnie boją, a raczej — będą się mnie obawiały zawsze. Jestem dla nich autorytetem, władzą, jednostką wszechmocną, od której zależy wysokość stopni i wymiar kary za każde wykroczenie.

Od drugiej do czwartej następna porcja: dzieci młodsze. Czekam niecierpliwie na obiecaną pomocnicę. Kopa mózdzków nieskazitelnie pustych, to trochę za wiele na moje trzydzieści sześć lat, na mój chroniczny katar krtani, na mój sterany organizm.

Chciałabym, aby ta pomocnica nie była koniecznie osobą rutynowaną, z dyplomami, ale musi być młoda i energiczna, musi lubić dzieci i swoją pracę tutaj. Ma wkrótce takie stworzenie przyjechać i zamieszkać na plebanji, gdyż „burmistrz” (jak to brzmi patetycznie w mieście, która się nawet brukami od zwy-

kłej wsi nie odróżnia) nie przystaje na drugą lokatorkę.

Naogół jest mi niezłe wśród tych ludzi. Żyją „po prostemu“, ale jest w nich ta jakaś godność, cechująca tutejszych mieszczan. Podobno po dziś dzień przechowują z pietyzmem papiery, świadczące o przywilejach, nadanych temu „miastu“ przez samego króla Władysława IV-go. Dlatego mieszczenie tutejsi cenią swe pochodzenie narówni z zaściankową szlachcią, której przedstawicieli mam zaszczyt oglądać codziennie, drepcących boso przy pługu, gdyż właśnie idzie w najlepsze jesienna orka.

Na wieść o moim przyjeździe burmistrz kazał wybielić czysto izdebkę i wstawić nowe szyby. Było to zresztą koniecznością, gdyż powybijała je tutejsza młodzież, uprawiająca do niedawna dziwny rodzaj sportu. Zabawa polegała na tem, że z nadejściem zmierzchu chłopcy, zgromadzeni na „Ulicy Klimontowskiej“ (jedynej zresztą w całym N.) dzielili się na dwie partje. Jedni nawoływali się w ciemnościach dyskretnem: A hu! A hu!, reszta zaś usiłowała trafić kamieniami w miejsce, skąd dobiegały głosy. Ucierpiało na tem sporo szyb w mieszczkańskich i żydowskich domkach, bo były mniej wytrzymałe od łąbów tutejszych podrostków. Podobno kres tej pomysłowej igraszce położyła dopiero nasza, polska policja.

Wiele też innych kulturalnych przepisów, mających na celu ochronę zdrowia, a nawet i życia, zawdzięcza miejscowa ludność „polskim rządóm“. Ja sama, w dniu przyjazdu, wybałuszyłam oczy na wielki, przyciągający wzrok napis, zawierający niniejszą przestrożę: „Myj ręce przed jedzeniem. Brudne ręce — to cholera.“ Sądzę, że zwłaszcza ostatnie słowo, jako najbardziej zrozumiałe, przemówiło do przekonania tutejszym obywatelom polskim.

Kochany, pocziwy ludek, równie pocziwy, jak chytry i równie skryty, jak pobożny. Na zapytanie, kto zacz, odpowie ci z naiwną prostotą:

— Ja tutejszy, panoczku.

A jeśli pragniesz czegoś więcej się dowiedzieć, pociągnąć za język, wówczas dialog powtórzy się niezmiennie, jak Kanon:

— Wy tutejszy? Więc znaczy się Polak, katolik?

— Taż hawariu, panoczku, szto ja tutejszy.

— No dobrze, dobrze. A katolik, czy prawosławny?

— Ja, panoczku, polskiej wiary, tutejszy znaczy. Prawosławne n a c h o d z ą s i ę w drugiej wsi, a katoliki musi na polskiej stronie.

Czyli poprostu stoi przed tobą białorus, katolik jak się patrzy, nawet nie unita, choć nie

brak w okolicy takich, którzy ongi przekradali się nocą lasami na chrzty i śluby.

Dziwny zakątek kraju. Niemal w samym sercu Polski leżący, a na pograniczu dwóch kultur, wschodniej i zachodniej. Ta „polska strona” w której mieszkają „katoliki” to — była Kongresówka, a zaraz o miedzę, ściślej mówiąc, za pasem bagien mieszkają ci, „tutejsi” ale koniecznie „polskiej wiary”.

Język też mają swoisty. Ni białoruski, ni polski. Nijaki. W sąsiedniej gminie już mówią „po ichniemu” tu — „po prostemu”, a jak bardzo do muru przycisnąć — po polsku, boć przecie i wiara polska i ksiądz kazania polskie mówi i nie masz takiego, któryby nie zrozumiał, chyba dziecko małeńkie.

Z proboszczem, poprawdzie, przyjaźń nie taka wielka, jak ongi z księdzem Urbanowiczem, którego grzmiące kazania budziły grozę w mem dziecięcym serduszk.

Łajał, bo łajał. Często wcale niewybredne słowa padały z ambony, a jednak mir miał wielki i posłuchanie wśród ludzi.

— Czy oni byli bardzo niegrzeczni, że się ksiądz proboszcz tak gniewa? — pytałam nieraz, ciągnąc matkę za rękaw.

Potężny bas księdza Urbanowicza huczał w kościele, grzmiał, niczem organy, a uderzenia wielkich, żylastych pięści wtórowały twierdze-

niu, że zgnilizna moralna szerzy się pośród parafjan.

— Arystokratowie i socjaliści... hm... Demokratowie i nihiliści... hm... Wszyscy oni wyznajom jednom wiarem bezwyznaniowom, hm... Albowiem i szatan bezwyznaniowym jest! — wypalił kiedyś staruszek podczas politycznej dysputy, którą Janusz Klimontowski stale zagajał w popołudnia niedzielne, ku radości wszystkich bowiem najzacniejszy pod słońcem proboszcz zwykł był mieszać nazwy różnych prądów i ugrupowań społecznych, nie rozeznając ich jasno.

Drogi, kochany ksiądz Maciej! Kiedy mnie (bardzo już dawno) spłakaną i wystraszoną przyprowadzili do pierwszej spowiedzi, położył mi ciężką rękę na głowie i jał uspakając swoim tubalnym głosem:

— Nie bój się, moje dziecko. Podejdź śmiało i wyznaj wszystkie grzechy swoje. Święta Marja Magdalena wielką była grzesznicą, a przecież Pan Jezus miłosierny wszystko jej przebaczył.

Miałam wówczas niespełna dziewięć lat...



IV.

Krótką i cicha była ta msza, którą jak zawsze zakupiłam za dusze rodziców w rocznicę ich ślubu. Odprawił ją młody wikary, ten, co zwykle obchodzi kościół z tacą w dni świąteczne. Mały chłopiec odrecytował ministranturę, bardziej, niż zwykle połykając wyrazy. Czarny ornat, dwie świece po bokach ołtarza — to wszystko. Gdzieś w głębi kościoła kilka bab starych, opatulonych w chustki, mamrotało pacierze.

Wracałam zziębnięta i smutna do domu. Przeniknął mnie do szpiku kości grobowy chłód, wiejący od kamiennych tafli posadzki.

Wracałam smutna, myśląc o tych rodzicach, których tak mało pamiętam. Nie, to nieprawda. Pamiętam ich. Pamiętam nawet ojca, choć umarł, gdy byłam jeszcze bardzo mała. No, sił dziwną, aksamitną kurtkę w prążki (przedmiot mojego zachwyty) i umiał gwizdać prześlicznie. Kiedy o zmroku dawał się słyszeć odgłos jego kroków na schodach, mama szybko zbliżała się ku mnie, poprawiała kołnierzyk,

przyglądała włoski obiema dłońmi, przestrzegając szeptem:

— Teraz Krysiunia będzie grzeczna. Tatus wraca. Teraz Krysiunia będzie bardzo cichutko bawiła się sama, bo tatuś wraca zmęczony...

Więc byłam grzeczna. Przyczajałam się w kąciку, śledząc z pod oka, jak tatuś zdejmuje filcowy kapelusz z szerokim rondem, jak wita mamę serdecznym pocałunkiem w czoło, jak potem siada na kanapie i ruchem znużonym zaplata ręce nad głową.

Czekałam z upragnieniem chwili, kiedy zapyta: „A gdzie Krysia?” Wówczas wysuwałam się z mojej kryjówki i biegłam pędem, jak tylko pozwalały małe nóżki, przez cały pokój. Rzecz dziwna — nigdy nie mogę przypomnieć sobie dokładnie twarzy ojca, a za to, ilekroć przymknę oczy i o nim pomyślę, widzę wyraźnie jego postać, te szczupłe, długie ramiona, w które wpadałam radośnie i które umiały, jak żadne inne, unieść mię wysoko w powietrze, prawie pod sam sufit. Potem siedziałam na kolanach ojcowskich, a dobry, żartobliwy głos nucił za moimi plecami:

Jedzie, jedzie pan, pan,
Na koniku sam, sam!
Sługa za nim
Ze śniadaniem,
A za sługą żyd, żyd!...

Zanosilałam się poprostu od śmiechu, gdy przychodziło do ostatnich słów i gdy finał tej

jazdy bajecznej przemieniał się w istną galopadę:

A za żydem żydóweczki,
Pogubiły patyneczki'
Patata! Patataj!
Patataj!

Wtórowała radośnie, aż do utraty oddechu:

— Pat... tataj! Pat... tataj!...

— Dajże pokój, Tolku, daj pokój! Roztrzęsiesz dziecko i sam się zmęczysz, zobaczysz!

— Co mówisz, droga? Zmęcę się? Zobaczymy! — i ojciec poczynął się śmiać tak serdecznie, że aż dostawał napadu kaszlu. Zsadział mię z kolan i ciągle powtarzał nawpół ze śmiechem, kaszląc i zakrywając usta ręką:

— Zobaczymy! Zobaczymy...

Co wieczór, kończąc herbatę, ojciec zapytywał niezmiennie: (To już należało do programu)

— A teraz pewno zagwizdać? Co królewna rozkaże?

Wiedziała, że królewna, to ja i odpowiadałam pośpiesznie:

— Pośła Filiś...

I ojciec gwizdał, a mama nuciła półgłosem: „Poszła Filis do ogrodu.”

— A telas o gwiazdečko!

Znowu dzwięczała piosenka, wibrujące srebrzyście gwizdanie ojca i pełen słodczy głos matki.

... Czemu, czemu, gwiazdko mała,
Twój promyczek zbladł?...

— A telas „Siumiście” (Szumi liście z drzewa)... A telas Kalcmalecko Safalecko! — dopominałam się coraz gwałtowniej, zaledwie przebrzmiały ostatnie tony.

— A teraz, moja panno, spać! — mówił ojciec. Brał mię znienacka w ramiona i niósł do sypialni, gdzie stały rzędem trzy łóżka: tatusia, mamy, a zaraz obok moje maleńkie, z niebieską siatką.

— Kalcmalecko! Kalcmalecko! — protestowałam prawie z płaczem.

Ojciec spoglądał na matkę, naradzali się wzrokiem: a możeby Karczmareczkę? Tylko tę jedną jeszcze? Zwykle kończyło się na tej naradzie i ojciec oznajmiał poważnym tonem:

— Karczmareczka jutro. Karczmareczka dzisiaj zmęczona i poszła spać, tak, jak Krysia. Bo przecież Krysia nie chce martwić mamusi?

I to już prawie wszystko, co pozostało w mych wspomnieniach po ojcu. Zato pamiętam bardzo dobrze starą sąsiadkę, tę, która przychodziła codziennie i zabierała mię z mieszkania rodziców. Miała bardzo wyraźne wąsiki pod nosem i głos niemiły. Bałam się jej z początku, chociaż musiała to być niezła kobie-

cina. Gdy po raz pierwszy zabrała mię ze sobą, zanosila się od płaczu.

— Chcie do mamy! Chcie do mamy! — wołałam bezustanku.

Wzięła mię na ręce, zaniósła do swego mieszkania na niższym piętrze i podchodząc ku ścianie, pokazała coś palcem:

— Popatrz. Ładne?

Były to trzy talerze gliniane z nędzną płaskorzeźbą, pomalowaną jaskrawo. Na jednym widniał młyn z czerwonym dachem, drugi przedstawiał pejzaż zimowy, drzewa o nagich konarach i kościółek z dzwonnica, pokrytą śniegiem. Już nie pamiętam, co wyobrażał trzeci, wiem tylko, że utrzymany był w tonach zielono-żółtych, przypominających jajecznice ze szczypiorkiem.

Szczególnym jednak zachwytem przejmował mię ów talerz z młynem. Wprawdzie, gdy otrzymałam go w podarunku od zacnej sąsiadki i przyniosłam z triumfem do domu, mama krzyknęła: „Fe! Cóż za szkaradzieństwo!” — tem niemniej dla mnie było to arcydzieło sztuki. Nie rozstawałam się z tym skarbem przez długie tygodnie i mogłam całymi godzinami przypatrywać się błękitnym skrętom rzeczki, albo wodziłam palcem po szklistej płaszczyźnie czerwonego dachu, albo też snułam nieskończone historie o człowieku w zielonej kurtce, który stał we drzwiach młyna i trzymał obie ręce w kieszeniach.

Nie bałam się już sąsiadki, gdy przychodziła na kilka godzin zabierać mię do siebie. W domu naszym było teraz zupełnie inaczej, niż dawniej. Tatus nie wychodził rankami na miasto, nawet nie wstawał z łóżka, a mama coraz częściej miewała zaczerwienione powieki i kazała mi bawić się cicho w kuchence.

U sąsiadki, oprócz talerzy, znajdowało się mnóstwo rzeczy ciekawych, godnych uwagi. Na ścianach wisiały obrazy w malowanych na płótnie ramach. Z treścią tych malowideł o lśniącej, gładkiej powierzchni, zapoznawałam się stopniowo, w miarę płynących dni. Na etażerze między oknami stało mnóstwo przedziwnych figlików: psy, konie, ptactwo i karzełki z terrakoty, wiązanka metalowych kwiatków, wtopionych misternie w szklaną doniczkę; było tam również jajko kryształowe, mieniające się tęczo-wo i duża, zakurzona szkatułka z aksamitu, wykorzystywana paciorkami.

Wolno mi było oglądać to wszystko, a nawet dotykać ostrożnie, końcem paluszka. To też chodziłam i oglądałam, a czas uciekał niespodziewanie prędko.

U sąsiadki zawsze był ktoś na herbacie, jakaś znajoma, z którą lubiła gawędzić, siedząc na małej kanapce, krytej czerwonym pluszem. Często moja osoba była przedmiotem rozmowy.

— A, to ta malutka? — pytała znajoma naszej sąsiadki.

Przywoływano mnie, przypatrywano mi się bacznie, kiwano głowami. Po takich oględzinach mogłam znowu powrócić do przerwanej zabawy, do tej wędrówki w zaczarowane kąty mieszkania, pełnego cudów. Czasem dobiegał mnie strzępek rozmowy, której treść była mi obojętna:

— Jakże tam, pani kochana? Jeszcze żyje ten biedak?

— A zipie sobie potrochu. Ot, powiem pani, najbardziej mi żal kobiety. Ile ona nocy nie dośpi, a łez wyleje! I to wszystko nadaremno. Z nim już niedługo będzie k a p u t, a ta się jeszcze łudzi i łudzi...

— To i lepiej dla niej! — westchnęła kumoszka.

— Lepiej, albo i nie lepiej. Niechby się przyzwyczaiła powoli, bo co ma być, to jej nie minie. Strach myśleć, ile tego nieszczęścia na świecie!

Pewnego wieczoru zatrzymała mnie sąsiadka na noc u siebie. Posłała mi na tej czerwonej kanapce, przykryła własną pierzynką, a potem schyliła się nagle nade mną i pocałowała serdecznie. Ogarnęło mnie rozżalenie, poczęłam wołać, jak kiedyś: „do mamy! do mamy!”

— Jutro zobaczysz mamę, sierotko — rzekła wówczas sąsiadka, a głos jej brzmiał dziwnie miękko.

Nazajutrz deszcz padał od rana. Długie sznurczki wody spływały po szybach. W południe przyszli jacyś ludzie, bardzo głośno stukali po schodach ciężkimi butami. Przysłuchiwałam się przez drzwi zamknięte gwarowi obcych głosów. Dopiero o zmierzchu odprowadziła mnie sąsiadka na górę. Łóżko tatusia było puste, zasłane tylko kapą. Na otomanie, gdzie zwykle siadywał, leżała mama z twarzą ukrytą w poduszce.

— Tss... — rzekła nasza sąsiadka. — Cicho... Mama chora.

Ale w tej samej chwili mama poruszyła się, podniosła głowę.

— Krysiuniu! Moja Krysiuniu! — jęknęła i pochwyciła mnie w ramiona. Nie płakała wcale, tylko piersią jej wstrząsało suche łkanie. Czułam wyraźnie nierówne bicie serca przez cienką warstwę starej, zniszczonej sukni. Mama nie powiedziała nic więcej. Sąsiadka wysunęła się, zamykając ostrożnie drzwi, a ja zasnąłam w objęciach matczynych i twardo spałam do świtu.

Drugiego dnia również padał deszcz. Mama trzymała mnie mocno za rączkę, idąc środkiem ulicy. Prawie kurczowo wczepiła palce w moją biedną, zziębniętą piastkę bez rękawiczki. Woda wlewała mi się za kołnierz, a pod stopami chlupotało błoto. Miałam ochotę płakać i wołać, byśmy wracały do domu, ale się bałam. Ogrom-

ny, czarny wóz z podłużnym pudłem, umocowanym na wierzchu, skrzypiał i trząsł się po bruku. Szliśmy tuż za nim, daleko, bardzo daleko. Za nami kroczyła sąsiadka, kilka znajomych osób i kilka zupełnie obcych, nieznanych mi postaci.

Gdy się wóz wreszcie zatrzymał, nogi miałam zdrętwiałe ze zmęczenia i z zimna. Jacyś ludzie ponieśli na ramionach podłużne pudło. Ktoś długo mówił nad pustym dołem, przy którym stałyśmy, a mama trzęsła się, jak w febrze. Gdy zarzucono dół ziemią, ten sam człowiek (pamiętam, jak przez mgłę, jego nos orli i długie, wtył zaczesane włosy) podszedł do mamy i podał jej ramię.

— Pani pozwoli!.. — rzekł.

Mama przyjęła ramię i nie puszczając mej ręki, poszła z tym obcym panem aż ku pustej, czekającej za bramą dorożce.

To wszystko, co mogę sobie przypomnieć dziś, w rocznicę ślubu moich rodziców trzydziestą siódmą...

V.

Przyjechała nareszcie moja „koleżanka”. Jest to młoda, dwudziestoletnia dziewczyna z twarzą bardzo rumianą, przystojną, chociaż dość pospolitą. Wzrost ma raczej niski, ruchy żywe, prawie dziecinne. Oczy jasnoniebieskie, trochę za blisko osadzone, co uderzyło mię od pierwszej chwili. Włosy obcięte, ubranie dość wyszukane, buciki na wysokich obcasach. Mówi głosem donośnym, z wybitnym akcentem kresowym.

Imię ma nader romantyczne: nazywa się... E-le-o-no-ra! Pierwszego zaraz dnia oznajmiła mi, że lubi, gdy ją nazywają L e n a, ale ja nie należę do zwolenniczek podobnych zdrobnień. Mówię jej więc „panno Leonko” co zaakceptowała, aczkolwiek z lekkim żalem w oczach.

A więc personel nauczycielski w komplecie. Najwyższy czas, bo nawet kopanie kartofli ma się ku końcowi. Zniknął ostatni motyw zaniedbywania szkoły przez dzieci.

Lubię swą pracę, poświęciłam się jej całkowicie, a jednak chwilami czuję ogromne znużenie. Szesnaście lat! Najstarsze uczennice

moje zapewne powychodziły zamaż i z kolei dzieci ich teraz chodzą do szkoły. Stara jestem... Ci malcy, których nie znam, to jakby moje wnuczeta...

Patrzac na pannę Leonję, widzę jakgdyby własny wizerunek z przed lat szesnastu. Rumieńców tak silnych wprawdzie nigdy nie miałam, ale zapal ten sam, bodaj, czy nie większy. No — i ta wiara, ta cudowna wiara w świat, w ludzi, w samą siebie... Wiara, której nie zdoła wydrzeć nikt i nic, a którą rok po roku przyćmiewa rosnąca bryła czasu. Jak ja kochałam życie, mając dwadzieścia lat! Jakże kochałam je później jeszcze, aż do... Eh, mniejsza z tem! Pierwsza skaza na sercu człowieczem podobna jest do plamki rdzy, która się zczasem rozszerza, wgryza w hart ducha, kruszy go. Ani spostrzeżesz, jakim sposobem i kiedy giętka stal nerwów staje się starem żelastwem, zdatnem na szmelc...

Ot, znowu nastrój minorowy. Znowu ten pół- czy ćwierć- ton melancholiji, w którym rozplywa się i gubi jasny, bo prosty rysunek dnia.

Mój dzień wygląda przecież ogromnie prosto: Praca w szkole, przerwa na obiad, znów praca w szkole. Poza tem trochę czytania, trochę włóczęgi po rudych, jesiennych polach. Takie przechadzki „z własną duszą pod rękę”. Czasami chwila gawędy z ludźmi, ot tak, żeby

pokazać, że jednakże współżyję, współczuję z nimi, że mię obchodzą ich radości i troski. Potem znów trochę samotnej ciszy, czytania, nieco rozklekotanych myśli, czasem figlarny promyk jakiegoś wesołego wspomnienia i — noc. A nazajutrz to samo. Dzień po dniu, jak krople dżdżu jesiennego. Czas mija niewidocznie i tylko drzewa nad rzeczką stają się wiotsze, roniąc ostatnie liście w wodę i między zeschłe żdzbla trawy.

Zaraz pierwszego dnia zadała mi panna Leonka sto pytań. Jedno z ostatnich brzmiało, czy dawno tu jestem? Byłam naprawdę w kłopotcie, co odpowiedzieć. Bo jakże?

— Pracuję w szkole od wakacji.

— A przedtem?

— Przedtem bywałam w różnych miastach. W Warszawie, w Łodzi...

— Nauczycielką?

— Tak. Od paru lat w szkołach powszechnych. Dawniej byłam nauczycielką prywatną...

...A dawniej? A przedtem... Ot, wędrowałam po świecie... A jeszcze dawniej byłam tu. Tak, właśnie tutaj, w tych stronach. Tu rosłam. Ale to do rzeczy nie należy. Uśmiechnęłam się smutno do własnych myśli i powiedziałam głośno:

— Jestem już stara, panno Leonko. Zdeptałam sporo świata.

Popatrzyła na mnie prawie ze zgrozą.

— To pani mieszkała w Warszawie, a teraz tu, do takiej dziury zapadłej..

Chciałam powiedzieć: Kocham tę dziurę zapadłą bardziej, niż wszystkie najpiękniejsze miasta, jakie poznałam w życiu. Spędziłam tutaj dzieciństwo. Pani nie może zrozumieć, co to znaczy: wspominać swoje dzieciństwo, bo pani sama jeszcze jest prawie dzieckiem. Chciałam to wszystko powiedzieć jednym tchem, lecz nagle dusza ukryła się zazdrośnie w swojej mocnej, nieprzeniknionej skorupce i rzekłam grzecznie:

— Ofiarowano mi tę posadę, więc ją przyjął. Ja zresztą wolę pracować tutaj, niż w mieście.

— A ja znów „straszecznie” lubię miasto! — przyznała się otwarcie moja Eleonora. — Tylko, że w mieście życie drogie, a nam tak podle płacą... Powiedzieć prawdę, nie ruszyłabym się z Wilna, gdyby nie to. Ale cóż — trzeba żyć! Niech pani chociaż opowie, jak tu się żyje? Ludzie choć są jacy mili?

— Ludzie? Ano, tacy, jak wszędzie. Lepszy i gorszy. Rozmaici: jest proboszcz, jest wikary, są ci dwaj nasi koledzy ze starszych oddziałów, przecież ich pani poznała. Jest burmistrz, mój gospodarz, — ogromnie zacny człowiek. Są wreszcie urzędnicy gminy, kierownik poczty. Jest pan aptekarz z żoną i felczer, żyd. To już chyba wszyscy. A pani o kogo pytała?

— Ja? — uśmiechnęła się blade zpoza naturalnych rumieńców panna Leonka. — Sąsiedztwo czy jest jakie niedaleko? Dwory?

— Dwory? Ach, naturalnie, są dwory, chociaż nieliczne. Daleko — niedaleko, ale są. Zobaczy pani w niedzielę na sumie wszystkich naszych sąsiadów. Schodzą się niektórzy u księdza na herbatkę, po mszy. Teraz tu zupełnie inaczej, niż kiedyś bywało... Ubyło wielu ludzi... Jednych zmiotła zawierucha wojenna, zagnała hen, w dalekie kraje, a drugich poprostu zabrała śmierć. Ot, jak to zawsze...

— To pani chyba te strony dobrze zna?

— Zawsze się człowiek powinien zaprzyjaźnić z kątem, w którym mu żyć wypadło. A ja te okolice pamiętam z dawniejszych czasów. Mówiłam już pani — stara jestem.

Panna Leonka potrząsnęła głową.

— Pani, to się chyba umyślnie na komplement naraża... Przecież pani może mieć najwyżej... najwyżej... no... trzydzieści lat?

— Każdy człowiek ma tyle lat, ile ich czuje na barkach, panno Leoniu.

— To i prawda! — odparła rezolutnie, poprawiając filuterny kosmyk włosów, opadający na czoło. — Ale pani jest smutna. Szkoda... — szepnęła, jakby do siebie.

I patrząc w zalane deszczem szyby okienne, dodała z melancholią:

— Tutaj wogóle musi być smutno i nudno. Ludzie tacy jacyś... bo ja wiem? Ciężko się przyjdzie wypokutować przez zimę, nim człowiek tych wakacyj doczeka... Niech pani chociaż pozwoli, że ja tu czasem wpadnę, ot, pogawędzić chwilkę. Na tej plebanji trudno wytrzymać. Siostra proboszcza głucha, jak pień, nawet dogadać się z nią nie można...

VI.

Czy tu naprawdę nudno i smutno, a ludzie „tacy jacyś”, jak mówi panna Leonka?

Złapałam się dziś na gorącym uczynku tak głębokiego obcowania w świecie nierealnym, że nie dziw, iż sobie niejasne, może zupełnie błędne pojęcie tworzę o życiu istotnem.

Znowu uległam pokusie, znowu zawędrowałam do Klimontowic i wałęsałam się kilka godzin po pustym parku. Skorzystałam, że to niedziela, że lekcyj niema, że panna Leonka udała się z wizytą do aptekarzowej, że nikt nie będzie poszukiwał mojego towarzystwa, więc będę mogła przepędzić to popołudnie w cudownej ciszy, sam na sam z myślami.

I stało się. Opadły mnie wspomnienia żarłoczną zgrają, wpiły się w duszę, wessały w nią, przysłoniły mi sobą horyzont.

Zacząło się od rzeczy napozór drobnej, lecz była ona tym startem, od którego pomknęły myśli w szalonym wyścigu aż do najdalszej mety, aż do dzieciennych lat... Oto znalazłam ścieżkę, tę krętą ścieżkę, opasującą najpierw mały stawek zielony, a potem wijącą się skroś

trawników, pomiędzy kępami bzu, między kłomami, dalej przez sad, dalej przez łąkę, w dół, aż ku rzeczce, skrytej wśród olch wysmukłych.

Ścieżkę tę raczej przeczułam, niż odnalazłam, tak ją zarosły napastliwe zielska. W jakiejś chwili, brnąc pośród ostów, przystanąłam, tknięta żywem przypomnieniem. To tutaj, tak, tutaj właśnie Adaś wynalazł gniazdo trzmiela. Rozdłubał patykiem niewielką kulkę splecionych pakuł, igliwia i uschłych trawek, a stamtąd z groźnym brzęczeniem wyfrunął ciężko potwór o lśniących skrzydełkach i grubym odwłoku.

Jakże się bałam! Przypadłam ze strachu do ziemi i zasłaniając głowę rękami, błagałam piskliwym głosem Adasia, aby odpędził trzmiela. Śmiał się z mojego popłochu i długo, długo jeszcze przezywał Panną Tchorznicką.

Wzdłuż tej samej ścieżki Emilka zrywała pęki narcyzów, by niemi przystroić mieszkanie na swój ślub... Pomażałam jej wówczas, dzwigając z wysiłkiem całe naręcza kwiatów, cudownie pachnących i białych.

— A jak wyjadę, będziesz o mnie pamiętała, Krysiu? — mówiła Emilka, śmiejące się szczęściem usta chowając w bukiet narcyzów.

— Jak Emilka wyjedzie, to będę pamiętać... — powtarzało, niby papużka, małe stworzonko w perkalowej sukience i pasiastym fartuszu.

Ślub Emilki Klimontowskiej odbył się w czerwcu, drugiego czerwca. Mniej więcej pół roku przedtem przyjechałyśmy z mamą do Klimontowic na stałe. Była to ciężka ofiara ze strony biednej mamy. Ciotka Eufemja nie odznaczała się słodyczą, a już specjalnie nad mamą znęcała się poprostu, wyzyskując prawa najbliższej krewnej i dobrodziejki.

— Było ci wychodzić za tego twego malarza, rzeźbiarza, czy jak mu tam. Masz teraz, czegoś chciała. Jak kto sobie pościele, tak się wyśpi. Gwizdał, świstał, aż ci wyświstał piękny los! Jeszcze ci nicpoń pewnie suchoty w spadku zostawił, prócz tego fafla, któryby koszuli całej na grzbiecie nie miał, gdyby nie ja!

Gruba laska z orzecha stukała o podłogę w takt oburkliwych słów. Siedząc na niskim stołeczku, zajęta rozplątywaniem nici, przenosiłam kolejno wzrok z gniewnego oblicza starej damy na białą, jak kreda, twarz matki. Biedaczka schylała głowę nisko, by ukryć łzy, ale wielkie ich krople spadały raz po raz na cienkie płótno wyprawnej bielizny, którą szyła właśnie dla Emilki.

Ciotka Eufemja nie dała się udobruchać tem pokornem milczeniem.

— O to to! Becz teraz! — ciągnęła niemiłosiernie, drepzcząc tłustymi stopami w rannych pantoflach i wystukując laską jeszcze zawzięciej. — Niewsmak ci słowa prawdy! Słodsze

były androny, które ci ten gagatek w uszko prawił: A moja Helciu, a moje złotko, a tiu tiu tiu. a tia tia tia... Już ja ci pewnie takich czułości mówić nie będę, ale przynajmniej chleb daję tobie i twojej małej. Byłaby głodem przymarła z łaski kochanego ojczulka!

A w chwilę potem:

— I po co ty te swoje oczy wypłakujesz, chciałabym wiedzieć? Leżeć, Acan! — burknęła nagle na mopsa, który łaził za nią krok w krok, sapiąc astmatycznie. — Stało się, no, stało się, powiadam! Przeniósł się do wieczności, świeć Panie nad jego duszą... Mojem zdaniem to jedno mądrze zrobił, że uczynił to wcześniej, póki ja żyję. Ładniebyś wyglądała za jakich lat, powiedzmy, dziesięć z pięciorgiem dzieci (bo na pewno mielibyście z pięcioro!) bez dachu nad głową, bez mojej opieki... Przestańże raz beczeć, nie znoszę tego! Złe ci u mnie? Żałuję ci czego? Ot, masz, twoja pociecha jak teraz wygląda! Przyjechało to blade, chude, pożał się Boże... Komu, jak komu, ale tej smarkatej służy chleb klimontowski. Hę, powiedz, mała, dobry tu chlebek? Smakuje ci?

— Smakuje... — odparłam prędko, przestraszona tym nagłym zwrotem ku mnie.

— Ot, widzisz, mała ma rację, — ozwała się znowu do mamy i uderzyła trzy razy łaską w podłogę. — Ja ci powiadam, że mała ma rację.

Pogłaskała mię szorstkim ruchem po głowie i rzekła uprzejmie:

— No, to idź do kredensu, niech ci Balbina da miodu na spodeczek. Chleb z miodem jeszcze smaczniejszy, niż suchy, prawda?

— Prawda... — szepnęłam jeszcze ciszej, składając nici do koszyka i wstając posłusznie. Wysunęłam się też natychmiast z pokoju i pędem pobiegłam do Balbiny, ale jeszcze za drzwiami dobiegło mię gderanie straszliwej cioci:

— Bogubys lepiej dziękowała, zamiast chlipać...

Biedna moja mama! Dopiero znacznie później zrozumiałam, ile znosiła przykrości, upokorzeń, jedynie przez wzgląd na mnie. Cały trzyletni jej pobyt w Klimontowcach był jednym pasmem udręczeń. Pomijała milczeniem tysiączne przytyki, zwykły objaw złego humoru ciotki Eufemji, bo jednak u niej znalazła pomoc i opiekę w chwili, gdy los porzucił ją, bezradną i bardzo nieszczęśliwą, w samym sercu wielkiego miasta, pełnego obcych i obojętnych ludzi. „Ciotka rodu“ pomimo wszystko, była jedyną istotą bliską i kochała nas po swojemu.

Biedna mama... Trafiłyśmy na bardzo zły okres w Klimontowcach. Wkrótce po nowym roku Emilka zaręczyła się, ku zdumieniu wszystkich, ze swoim niedalekim kuzynem, którego znała od najwcześniejszych lat. „Ciotka rodu“,

na swój sposób kochająca rodzinę i przywiązana równie serdecznie do Emilki, jak do Janusza Klimontowskiego, była przeciwna temu związkowi. Początkowo zagroziła nawet, że wydziedziczy Janusza na korzyść dalszych krewnych, a Emilce, jako niepełnoletniej, przyobiecała, że ją osadzi w klasztorze, aż do chwili, w której „panna nabierze rozumu” — w końcu jednak machnęła ręką, stuknęła laską i rzekła z gniewem:

— A to sobie róbcie, co chcecie! Pobierzcie się, chociażby jutro! To podobno nawet w modzie teraz: łap-cap do ślubu, a potem gwałt o rozwód! Ja umyвам ręce.

Od tej chwili zapanowała względna cisza w domu, to znaczy, że „ciotka rodu” nie sprzeciwiała się otwarcie i nie starała się przekonać młodych, natomiast na każdym kroku dogadywała Emilce:

— Panna wybiera się zamaż, a co panna masz w głowie? Fatałaszki. Ty pewnie nawet jajecznicę usmażyć nie potrafisz. Ciekawam, czego was też uczyli w tym Krakowie. Słodkie oczy do chłopców robić? To i tak sama zawsze umiałaś, kochanko. Dobra z ciebie żona będzie dla Janusza! Włosy sobie na czole strozyć umiesz, że istne paskudztwo, a nawet i nieprzyzwoitość, ale skarpetki zacerować mężowi, to ani — ani, he?

Emilka najmniej sobie robiła z pogderywania starej, astmatycznej jejmości. Miała tę broń cudowną, ten pancerz czarodziejski, który daleko gorsze ciosy wytrzymać potrafi: miała młodość. Uśmiechała się z nieopisanym wdziękiem ośmnastoletniej, szczęśliwej dziewczyny, uśmiechała się beztrudno i głaszcząc ciotkę po tłustych policzkach, mówiła z przymileniem:

— Ciocia to już mię wcale nie kocha... Ani odrobinki. Nawet tyle, co Acana... Ejże! Zawsze jestem trochę od Acana ładniejsza i charakter mam przecież lepszy, to ciocia musi przyznać! Ciociu... ciotuchno! Czy ja na prawdę jestem takie nic-dobrego, gorzej Acana?

— Ty jesteś pustak! Fiu-fiu masz w głowie, nic więcej! — mruknęła gniewnie ciotka Eufemja i stukając laską wychodziła z pokoju, by się przypadkiem nie rozczulić przy świadkach nad tą upartą dziewczyną.

VII.

Zabawne to były, choć nie dla wszystkich przyjemne czasy. Wszyscy mieli za swoje, ściślej mówiąc za to, że się Janusz i Emilka postanowili pobrać na wiosnę. Ciotka Eufemja, niezwykle ruchliwa, dreptała ustawicznie po całym domu, łajac każdego o byle drobnostkę. Nawet Acanowi się czasem dostało, że po piętach depcze i suknię pyskiem oślinia.

Wszystko jej było niewsmak, wszystko złe, na wszystko kręciła głową. Zapowiedziała wprawdzie uroczyście, że o wyprawie słowa słyszeć nie chce, że palcem o palec nie stuknie:

— Niech Emilka sama rozporządza, skoro bez mojej rady, a nawet wbrew radom, rozporządziła już własną przyszłością. Żebyście pamiętali, — wołała gniewnie — że ja o niczem nie chcę wiedzieć, co tu się teraz wyrabia! Nic nie wiem, nic nie widzę!

Śliczne, stare koronki, których miała cały stos, schowała w okutym kufrze, zastępującym kasę ogniotrwałą i zamykając z hałasem zarzewiało wieko, oznajmiła:

— Niech się Emilka nie łudzi, że te koronki ode mnie na ślubny prezent dostanie. Miało tak być, ale nie będzie. Zapiszę je w testamencie komu innemu, na przykład Krysi, o ile nauczy się słuchać starszych. Hej, figo, będziesz słuchała ciotki we wszystkim, co?

— Będę... — wyjąkałam, nic zgola nie rozumiejąc.

— No to jazda, ruszaj na podwórz, zdrowszego tam rozumu nabędziesz, niż patrząc na taki rozgardjasz. O Boże, — biadała — spokojnego kąta w domu niema, całe mieszkanie do góry nogami przewracali!

Była to nieprawda, ponieważ szwalnię urządzono w starej garderobie, na samym końcu domu i terkot maszyn nikomu spokoju nie zamącał. Tam sposobiono całutką wyprawę. Przy długim stole na kozłach, dwie szwaczki, sprowadzone z miasteczka krajały, pasowały i szyły całymi dniami pod światłem kierownictwem pani Józefy Rymszyny, zwanej ogólnie „ciocią Józią“, choć niczyją ciotką w tym domu nie była. Łączyło ją jakieś dalekie pokrewieństwo, a bardziej dawna, serdeczna zażyłość z ciotką Eufemją. Mieszkała w Klimontowcach, ponieważ mąż jej pracował jako inżynier, gdzieś w głębi Rosji, a oboje pragnęli kształcić dzieci w kraju. Miała dwóch synów, z których starszy uczył się w Warszawie, a młodszy, Adaś,

zbijał baki po polach i na dziedzińcu, korzystając jak tylko się dało, z ostatnich lat swobody.

Ta, „ciocia Józia” była to kobietka niewielkiego wzrostu, szczupła, podówczas może trzydziestokilkuletnia. Zabawny kontrast stanowiła jej sucha, przedwcześnie zestarzała twarz z niezwykle żywym szafirem oczu, patrzących niemal dziecięco. Mówiła śpiewnie, ciągnąc z litewska i czasem, — ona jedyna — zdobywała się na odwagę stawienia czoła „ciotce rodu”. Cichym, nieco jęczącym tonem wypowiadała własne zdanie, płacząc przypadki i nieraz bardzo zabawnie przekręcając słowa.

Pomiędzy arbitralną damą a potulną napozór panią Rymszyną dochodziło w owych czasach do żywych dyskusyj na temat bliskiego ślubu Emilki.

— Taż powiedz, kochanieńka, — zawodziła „ciocia Józia” pokornym tonem — nacóż takie obiekcje robić? Taż wiadomo, młodzi — to i pokochawszy się, a pokochawszy, to i pobrać się radzi, wiadomo. Taż to żaden dziw, ani zgorszenie... Żeby ot tak, bez ślubu... Ale u nich wszystko po porządku idzie, jak należy... A ty sama niedawno mówiła, Femciu: Emilci pora będzie zamaż iść, lat już dochodzi...

— Ale nie za Janusza. Czy wyście wszyscy powarjowali? Oczu chyba nie macie!... Co to za małżeństwo z nich będzie! Ani wiekiem dobrani, bo Janusz smarkacz i świszczypała, ani

to dla Emilki stosowna partja, bo Janusz goły, a w dodatku — krewni.

— Taż Femciu, sama ciągle powtarzasz, że po najdłuższem twem życiu Janusz Klimontowce dostanie. A i Emilka swojego przecie ma dość...

— Głupiasz waćpani i koniec! Majątek przepisany na moje imię przez Hipolita. Dam, komu zechcę. Janusz młokos, uczy się u mnie administrować i tyle. A cóż to, śmierci mojej będzie wyczekiwał, żeby się tu z żoneczką rozgościć? — wołała zirytowana ciotka, stukając mocniej laską.

— Jak go wydziedziczysz, duszeńko, — mitygowała anielskim tonem pani Rymszyna — to pójdą na Emilcine. Albo iż Romaniszek mało? Takie nawet u nich postanowienie jest... Taż co...

Stara dama nie posiadała się ze złości:

— Postanowienie? Właśnie! Powinni to robić, co ja im każę! Powinni słuchać! A ja właśnie Janusza nie puszczę! Niech w Klimontowcach siedzi, a nie — to wydziedziczę! Wydziedziczę! — unosiła się coraz bardziej. — Jutro zaraz testament podrę i Janusz figę zobaczy!

— A, duszko, jak nowy pisać będziesz, nie zapomnij o moich chłopcach... Zawszeć to prawie tak, jak krewni... — śpiewnym akcentem dogadywała ciocia Józia, doprowadzając otyłą damę do pasji.

Zczasem uspokoiła się nieco ciotka Eufemja, pozornie pogodziła z faktami, ale chodziła chmurna, bardziej, niż zwykle opryskliwa, szukająca powodu do wydziwiania i krytyki. Włócząc się ustawicznie po całym domu, pokaszlując i sapiąc gniewnie, zaglądała raz po raz do starej garderoby, przypatrywała się robocie szwaczek, kręciła głową z niezadowoleniem:

— Na co tyle tych łaszków, chciałabym wiedzieć! Czy to Emilka za księcia idzie, że takie wymyślne monogramy na poszewkach stawiacie?

Lub też, unosząc pod światło istne arcydzieło rąk mojej matki, wołała z oburzeniem:

— Co? To ma być koszula? Ta kusajdka? W głowach wam się do reszty przewracało! Za moich czasów koszule były pod samą szyję, z mankietami, ze szlarką. Wstydu nie ma Emilka, jeżeli to dziurawe cudactwo na siebie włoży...

I trzęsąc tłustym podbródkiem, skończyła uroczyscie:

— Dawniej panny nie знаły, co to madapolam. Wszystko miały z płótna i moralność była lepsza!

Ruszała dalej z godnością, stukając kijem i nawołując Acana, który się gdzieś w stosie gałganków zaplatał. Na progu przystanęła jeszcze:

— Szyjcie to, szyjcie! Niech paraduje pani dziedziczka na swoich Romaniszkach w takiej bieleźnie! Niech gorszy czeladź!

— Ależ, ciociu... Przecież czeladź tego widzieć nie będzie! — protestowała Emilka, która od dłuższej chwili dusiła się wprost ze śmiechu i zakrywała usta obu rękami, by głośno nie parsknąć.

— Bóg wszystko widzi — surowo odrzekła stara jejmość mierzając ją groźnem spojrzeniem. — Jesteś nietylko uparta dziewczyna, ale oprócz tego zepsuta do szpiku kości. Oto są skutki nowoczesnego wychowania panien! W głowie pstro, przewracało się od tych mądrości, które czerpicie z książek bezbożnych, a wstydu, skromności niewieściej ani za grosz. Ładne pokolenie!

— Biedna ciocia! — szepnęła po jej odejściu Emilka z tak komicznym współczuciem w głosie, że wszyscy, nie wyłączając dwóch szwaczek, zachichotali. — Koszule pod samą szyję i mankiety ze szlarką... Co za brzydactwo! Boże, dzięki ci, że żyję w czasach nieco późniejszych, niż te, które wypadły na młodość cioci Femci!

Nadeszły jednak chwile, w których Emilka gorąco żałowała nietylko niemodnych szlarek i koszul z grubego płótna, ile właśnie owej ciotki, gderliwej i nieznośnej, ale kochającej ją całą mocą starego serca, jak mało kto inny na świecie...



VIII.

Panna Leonka (nazywa się Mrozowiczówna) powiedziała dziś to proste zdanie, które mi dziwnie utkwilo w pamięci:

— Miałam iść zamaż, ale się rozeszło...

Panna Leonka lubi gawędzić. Przychodzi do mnie zwykle w popołudniowych godzinach, skoro się tylko upora z obiadem u „głuchej, jak pień” siostry proboszcza. Przychodzi i zawsze mię na wstępie bardzo przeprasza:

— Bo może ja pani przeszkadzam? Pani to pewno tak, z grzeczności mówi, że nie, a ja się narzucam...

— Ależ co znowu! Proszę, niech pani siada.

— Bo widzi pani, — dodaje wówczas panna Leonka, sadowiąc się na krześle — tak mi ty jakoś nijako... Ani z kim pogadać, ani co. A jak do pani chociaż na krótko wpadnę, to zaraz cały dzień prędzej schodzi...

I zaczynają się gawędy, a raczej zwierzenia bez końca.

Czem już ta panna Leonka nie miała zamiaru zostać w czasie krótkiego swego żywota! Najpierw — rodzice jej nie byle kto. Mająte-

czek pod Wilnem mieli. Nieduży, ale zawsze. Chowała się więc na wsi i marzyła, że jak dorośnie, to się do gospodarstwa weźmie, hodowlę drobiu zaprowadzi na dużą skalę, warzywnik. Bo to pod miastem samem, więc o zbyt nie trudno. Ale cóż! Przyszły jakieś powikłania: pieniężne, kłopoty — ciężkie czasy, jednym słowem. Rodzice domek i ziemię sprzedali, przenieśli się do Wilna. Tam ojciec sklep otworzył. Też znowu nie bylejaki: galanterijny. A ona uczyła się u Nazaretanek. I wtedy właśnie zakonnicą chciała zostać. Koniecznie. Rodzicom nie powiedziała ani słowa, ale już ułożyła sobie z jedną siostrą, z siostrą Kordulą, że jak tylko nauki skończy, do nowicjatu „postąpi”. Ech, wywietrzało jej to prędko z głowy. Nie miała i szesnastu lat skończonych, jak wywietrzało doszczętu.

Przyszedł raz młody człowiek do sklepu po spinki (bo i spinki mieli). Akurat siedziała za ladą. Popatrzył na nią, zagadał coś o pogodzie. Odpowiedziała grzecznie i postawiła przed nim pudełko.

— Niech pani sama wybierze, — uśmiechnął się.

— A skądże ja mogę wiedzieć, jakich pan sobie życzy? — spytała zdziwiona, ale zrobiło jej się przyjemnie na sercu.

— Już które panienka uzna za dobre, te wezmę.

Wybrała prędko ładną parę z perłowej masy, czerwieniąc się jak burak, niewiedzieć czemu. Pomyliła się potem w cenie, powiedziała o połowę taniej i jakoś strasznie niezgrabnie szło jej z zawijaniem paczki. Znow się uśmiechnął.

— Ja pani pomogę, — rzekł. Zmiał paperek byle jak i wsunął do kieszeni.

— No, to tymczasem dowidzenia. Dziękuję pani za radę. Czuję, że będę bardzo lubił te spinki.

Uklonił się elegancko i wyszedł. Zaczęła odtąd siadywać w sklepie częściej i coraz dłużej. Aż się rodzice nadziwić nie mogli. Spędzała wszystkie godziny, wolne od lekcji, za ladą. Opierała brodę na rękach i patrzyła w okno. Myślała: „Może dziś przyjdzie?”, a gdy się zbliżał wieczór i zamykano sklep, mówiła sobie: „Na pewno przyjdzie jutro”.

Nie przyszedł nigdy więcej. Może był tylko przyjezdnym? Ubranie miał takie porządne, wielkomiejskie, w drobnouchną kratkę i oczy śliczne, czarne, jak węgle...

Nie myślała już więcej o klasztorze. Myślała o tem, jakie to byłoby szczęście, gdyby ten nieznajomy znowu się zjawił w sklepie. Po głowie snuło jej się Bóg wie co. Czytała wówczas mnóstwo powieści — i może dlatego? Wyobrażała sobie, że czeka ją niezwykły, świetny los, jak to się zdarza w powieściach. Może

ten młody człowiek miał wielki majątek i nawet tytuł hrabiowski?

— Taka byłam wtedy głupia, — zakończyła panna Leonka — Zakochałam się od jednego spojrzenia, jak jaka gęś...

A potem opisywała dalsze swe dzieje: śmierć rodziców prawie nagłą i prawie jednoczesną... Została zupełnie sama na świecie. Ludzie radzili jej to i owo, jak to ludzie. Ktoś jej zawrócił w głowie, że ma prześliczny głos. Ale gdzie tam i myśleć nawet! Strasznie dużo kosztowały ta nauka. Wybrała wreszcie nauczycielstwo. Miała przecież patent z tych sześciu klas.

Sprzedała sklepik, za uzyskane pieniądze skończyła kursy uzupełniające dla nauczycieli ludowych. Akurat wystarczyło, zanim dostała pierwszą posadę. Było to trzy lata temu. A potem... Panna Leonka zawahała się. Dokończyła ciszej, a głos jej nieco drżał:

— Potem o mało nie poszłam za mąż. Już byłam po słowie...

Poznali się w Wilnie podczas wakacji. Pochodził z ziemiańskiej rodziny, a przyjechał do Wilna dla badania jakichś zabytków. Architekturę kończył właśnie w Warszawie.

Spodobali się sobie odrazu. Chodzili często na spacer, rozmawiali dużo ze sobą. Opowiedziała mu kiedyś całe swoje życie od początku, tak, jak mnie teraz. Nawet o tych spinkach nie zataiła nic... Był taki dobry dla

niej, taki serdeczny! To on nazwał ją „Lena”. Dał jej potem pierścionek z turkusem, chciał ją nawet raz pocałować, ale nie mogła przecież pozwolić... Ułożyli sobie, że się pobiorą, jak tylko zda egzaminy i dostanie posadę. Wyjeżdżając prosił, żeby pisała i sam obiecał pisać często. Ma całą pakę listów od niego (Pokazę pani kiedyś). A potem... Ech, co tu gadać! Pisywał coraz rzadziej, pod wiosnę już wcale, a wreszcie przyszedł znowu list, ale jaki inny od tamtych! Prosił w nim o przebaczenie i o zwolnienie ze słowa. Pisał, że nie jest jej godzien, że rodzina słyszeć nie chce o tem małżeństwie, a on, choć strasznie cierpi, nie może przecież martwić rodziny...

— Et, takie wykręty męskie, proszę pani. Wywietrzało mu z głowy i to całe Wilno i te spacerki i... Więc napisał ten list... Naprawdę, to mi było bardzo smutno może z tydzień, może ze dwa. Jużem się przyzwyczaiła myśleć, że wyjdę zamaż. Długo miałam do niego żal, a i teraz mam. Bo po co było wszystko tak pięknie układać... Tak jakoś...

...Bo po co było... Prawda, moja panno Leonko. Po co właśnie tak? Każda z nas, kobiet osamotnionych, nosi później w sercu jakieś wspomnienie, zaprawne goryczą, jakiś żal głuchy do losu, do ludzi, że właśnie tak... Bo po co było roić, snuć jakieś plany, przeżywać w wyobraźni przyszłość promienną i bardzo

słodką. Dzień przebudzenia z takiego snu staje się zawsze dniem pokuty za winy niepopołnione, za to, że się wierzyło przez chwilę, że będzie właśnie tak, że tak być musi.

Panna Leonka jest wcale przystojna, jest przytem żywa, wesoła. Jest młoda. Ja, która czuję się starsza, niż nawet jestem w istocie, widzę ten moment, w którym przygaśnie piękność i młodość — i wiara we własne siły — a na jej miejsce zaświeci tylko pustka i wzbierze bunt, że się jest pominięta, zepchnięta z gościńca podrózną. W każdej z nas, kobiet, drzemie ten instynkt naturalny, instynkt rodziny, pragnienia zżycia się z kimś drogim, wybranym, — założenia ogniska, przy którym tak dobrze jest zasiąść we dwoje!

Śmieszne jest opieranie się takim nakazom, zagłuszanie najistotniejszych praw, przeczenie własnym pragnieniom. Śmieszne, bo prędzej, czy później, (raczej prędzej, jak później) nadejdzie chwila obrachunku. I jeśli życie dawało ci dotychczas wrażenie pełni, w takiej chwili powiesz sobie cichutko: To jednakniewszystko, nie...

I poczujesz, samotna kobieto, że ci się stała jakaś niezmierna krzywda. Ominęło cię w życiu coś, co nie było powinno cię minąć: wyminął cię człowiek, którego spotkałaś na swojej drodze, lub może nie spotkałaś nawet... Wyminął cię ten, o którym myślałaś, lub mogłaś pomyśleć: jest mój.

IX.

Krótką i smutną jest historia mojej matki. Za wielki ciężar złożyło życie na tych wątłych ramionach. Nie udźwignęły go.

Jeżeli myślę o matce obiektywnie — a mogę tak myśleć, gdyż utraciłam ją wcześniej — dochodzę do wniosku, że w pomyślniejszych warunkach byłaby się rozwinęła cudownie, jak rzadki kwiat, o który dbają dłonie troskliwe.

Wszystko prawie, co wiem o matce, słyszałam z ust ludzi mniej lub więcej obcych. Od niej samej nie mogłam słyszeć tych smutnych dziejów. Byłam dzieckiem, przed którym tała nie tylko swe troski i ból, ale nawet chorobę, nurtującą wyniszczony organizm. Szczegóły jej życia znam dzięki Balbinie, która nie mówiła o matce inaczej, jak „moja najmilsza panienska”; dużo opowiadała mi też Emilka, najwięcej jednak może dowiedziałam się z ust ciotki Eufemji, która zzymając się i złoścąc, nie nazywając matki inaczej, jak: „ta głupia, sentymentalna Helena”, składała jednak cierpkimi słowy hołd jej męstwu i niezrównanej słodczy charakteru.

Mój dziadek posiadał duży majątek. Słyszałam, że był to człowiek bardzo gwałtowny, niepomahowany zarówno w miłości, jak w nienawiści. Podobno kochał nad życie swą żonę, a owdowiawszy, przelał całą tę miłość na córkę, krzywdząc nawet starszego o parę lat syna.

Z opowiadań Balbiny, która młodość w rodzinie dziadka spędziła, wiem, że nie było fantazji, jakiejby ten człowiek dla dogodzenia córce swej nie spełnił. Wszystko w domu miało być zależne od woli panienki — tylko że ta panienska od dziecka zdradzała wielką uległość...

Raz jeden w życiu wszakże okazała niezlomny upór. Raz jeden, właśnie wówczas, gdy wymagano od niej pokory i posłuszeństwa bezwzględnego. Nie rozumiem, skąd wzięła siły ta cicha, potulna istota, wyglądem przypominająca wątłe trawki wiosenne, które lada silniejszy podmuch potrafi przychylić ku ziemi. Oparła się wszystkim perswazjom, błaganiom, a wreszcie i — groźbom. W niewzruszonym milczeniu wysłuchiwała zarówno jednych, jak drugich. Musiała nad życie kochać mego ojca, jeżeli dla tej jedynej miłości stargała wszystkie węzły, łączące ją z rodziną. Nie zawahała się nawet wówczas, gdy padły najokrutniejsze słowa:

— Precz z tego domu, wyrodna córko!

Było to wypowiedziane w uniesieniu, padło z ust człowieka nieprzytomnego z gniewu, jednakże miało swą wagę...

— Niesposób było patrzeć, opowiadała mi w wiele lat później Balbina, — jak to biedactwo słańało się na nogach, wychodząc z domu. Bielsza była, niż ten opłatek, a usta miała całkiem sine, spieczone, jak od gorączki. Nie wzięła z domu nic, nic, nawet węzełka z odzieżą... Poszła, jak stała, w jednej sukience, a przecież to była jesień... Wybiegłam za nią, wytłumaczyć, do rozsądku przywieść...

— Już nic, Balbisiu, już nic... — szeptała jak nieprzytomnie. — Wypędzono mię, jestem przeklęta, teraz już jego jednego mam tylko na całym świecie...

„On” czekał za parkanem ogrodu na wynik decydującej rozmowy. Wstęp do domu był mu oddawna wzbroniony: od chwili, gdy bystre oko mego dziadka dostrzegło na twarzy dziewczyny szczególny wyraz, z jakim wpatrywała się w młodego artystę. Od tej chwili minęło sporo czasu. Nie było środka, któregooby nie spróbował stary despota dla uleczenia córki z tej niewłaściwej miłości. Obwoził ją po obcych krajach, roztaczał przed nią przepych wystawnego życia, starał się rozerwać jej myśli, jak tylko umiał i mógł.

Nadaremnie. Miłość, której matka moja nie znała nigdy, wybuchnęła jak wulkan, zawładnęła jej sercem, jej wolą, opanowała ją całkowicie. Jakże musiał dziadek złorzeczyć tej chwili, w której sprowadził młodego malarza

do swego domu, sądząc, że w ten sposób zadowolili artystyczne aspiracje córki, zdradzającej zdolności rysunkowe.

W dniu wyjazdu „tego intruza, który, wślizgnąwszy się do domu, jak wąż, opętał naiwną dziewczynę” — przyszła o zmierzchu do gabinetu ojca i powiedziała poprostu:

— Ojcze, ja go kocham.

— Głupiaś, moja panno. Jeżeli tylko tyle miałaś mi do powiedzenia, mogłaś się nie fatygować. Wybijesz sobie z głowy ten kaprys — i koniec.

— Ojcze, to nie przelotna fantazja. Kocham go i nigdy kochać nie przestanę, — powiedziała z mocą. Tak mówią zawsze wszystkie zakochane panny, ale tym razem była to wielka prawda, o czym się zczasem mógł przekonać cały światek krewnych i przyjaciół, żywo przejętych „romansem Helenki”.

— To jeszcze zobaczymy, — odparł mój dziadek. — Tymczasem idź do siebie i kładź się zaraz spać. Często sen nietylko pokrzepia, lecz przynosi odmianę w myślach, czego ci życzę.

Nie odmieniło się jednak nic w tem sercu, które zadrgało uczuciem miłości do jedyne go człowieka i — na całe życie. Po roku powtórzył się dialog:

— Ojcze, kocham go. Nie przestałam go kochać. Nie mogę!

— To źle — odparł krótko.

— Nigdy nie pokocham kogo innego. Za nikogo innego nie wyjdę zamaż.

— W takim razie nie wyjdiesz wcale.

I na znak skończonej rozmowy zatopił się w odczytywaniu papierów, zalegających biurko.

Czekała jeszcze kilka tygodni, do dnia pełnoletności. Nie wiem już, jakimi drogami porozumiała się z ukochanym, dość, że przyjechał. Wówczas raz jeszcze poszła do ojca na ostateczną rozmowę. Powiedziała z determinacją:

— Ojcie, na pozwolenie Twoje czekaliśmy do dziś. Teraz już ono nie jest konieczne. Teraz czekamy na twoją dobroć. Przecież nie zniesiesz myśli, że będę nieszczęśliwa przez całe życie jedynie dzięki tobie.

— Nigdy nie uzyskasz mej zgody na małżeństwo z tym chłystkiem. Nigdy, zrozumiałaś? A jeśli postąpisz wbrew mojej woli...

Zatrzymał się dla nabrania oddechu i dokończył:

— Będę wiedział, że nie mam córki. Został mi tylko syn jednak.

Tak musiała brzmieć ta rozmowa. Odtwarzam ją sobie w wyobraźni z oderwanych słów, które mi powtarzano.

— Jak żyję, — opowiadała Balbina — nie widziałam takiego gniewu. Po wyjściu pаниenki... twojej mamusi, — poprawiła, gładząc

mię po włosach — zamknął się na trzy spusty w pokoju i wszyscy słyszeli, jak tłukł sprzętami o ściany. A później już ani słowa o niej nie wspomniał. Zaraz na drugi dzień wezwał panicza, twojego wuja, z Warszawy i cały majątek dał mu, jak się to mówi, ciepłą ręką. Bezprawie to było, bo nawet nie mógł tak zrobić, a zrobił. Prędko to wszystko pan Włodzimierz przepuścił, ani słowa! Ech, było też tak dziecko rodzone spostonować! Dopiero na łóżu śmiertelnym opamiętał się, córki wzywał, wszystko, co kiedyś w gniewie rzekł, odwołał. Ale już było za późno. Nawet na pogrzeb nie zdążyła, bo nim znaleźli, odszukali... Boże Wielki! Nikt z rodziny nie wiedział nawet, gdzie się podziewał! Doniosła tylko w liście do pani Klimontowskiej, że zamaż wyszła, a potem już nic. A pan Włodzimierz, to także gagatek! Kto innyby do serca wziął ostatnie słowa ojcowskie, uszanował... Ale jemu całkiem od tych pieniędzy zamroczyło się w głowie. Karty i karty, hulanki z dziewczętami, aż się doigrał... Ot i po wszystkim... Przepadł majątek, przepadł i on sam... Boże wielki!

Tak opowiadała Balbina, trzęsąc głową z oburzenia. I opowiadała jeszcze, że sama pani Eufemja Klimontowska, chociaż rozgniewana okrutnie na „pannę Helenkę“, przekładała wszelako jej ojcu:

— Co ty wyrabiasz, Eustachy? Tego już za wiele! Dziewczyna głupia, uparła się... Też sobie wynalazła los... No no, podziwiam! Sama kiedyś gorzko żałować będzie. Ale znowu zaraz tak srogo! Zawsze to twoja córka, jedynaczka, bo z tego urwipołcia synalka pociechy nie doczekasz się, zobaczysz! Jeszcze i ty pożałujesz, zobaczysz!

Na tem się skończył pierwszy akt dramatu mojej matki, zwanego w rodzinie „romansem Helenki”. A drugi? Są w nim momenty jaśniejsze, jakby przebliski słońca w chmurny jesienny dzień. Wtedy nie rozumiałam, dziś zdaję sobie sprawę, jaka to musiała być nędza!

Ja — miałam zawsze swój kubek mleka i bułeczkę, którą drobila matka rękoma, niezwykle kiedyś pięknymi. Później te ręce zczerniały od kurzu, co wżarł się w skórę przy zamiataniu, przy myciu rondli, przy nakładaniu węgla do pieca. Boże mój! Ile słonych łez musiało padać nieraz na płótno, z którego matka szyla moje pieluszki... Lecz to nie były piekące łzy. Dni głodu, dni nędzy prawie że czarnej, opromieniało spojrzenie dwóch par oczu wpatrzonych w siebie z miłością bezgraniczną. Kochała się ta para nędzarzy, gryząc czarny chleb i gorzkie zawody, a czasem, w krótkich przeblaskach lepszego losu, śmiała, cudowne snując marzenia!

Ten drugi rozdział, ten sen o szczęściu — przymknęło czarne wieko trumny. A trzeci?... Tak, trzeci, to była już tylko szara rzeczywistość. Sączyła się kropla po kropli, mętna, bez cienia uśmiechu, bez słonecznego jutra. Ostatnie łzy, które się nad nią polały, to były moje łzy, — dziecka miłości i straconego szczęścia.

X.

Monotonnie płynęło życie w Klimontowcach po wyjeździe Emilki i Janusza.

Zwykle wieczorem gromadzili się wszyscy domownicy w dużej bawialni, oświetlonej jedyną lampą na krągłym stole. Ciotka Eufemja, zagłębiona w swoją kanapę, migająca drutami, na których kończyła wiecznie jakiś włóczkowy szal, ozdobiony frendzlą; dalej mama, schylona nad robotą, milcząca i cicha, jak zawsze, o ile piersi jej nie rozsadzał suchy, gwałtowny kaszel. Pamiętam po dziś dzień, jak bardzo męczył biedną moją matkę.

Dalej — „ciocia Józia” pomagała Balbinie układać pasjanse, a jeszcze dalej pan Dziechciński, rzadca, czytał na głos spóźnione gazety, wtrącając od czasu do czasu jakąś osobistą uwagę, arcy politycznej natury.

W głębi pokoju, dokąd zaledwie dochodził odblask lampy ze stołu, para dzieciaków przekomarzała się ze sobą szeptem, który przechodził chwilami w głośniejszą dysputę. Wówczas ciotka Eufemja, nie ruszając się z miejsca, podnosiła bezzręczne powieki z nad okularów

i krótkim błyskiem surowych, czarnych oczu przyprawiała nas do porządku.

O ile Adaś nie drażnił kotki Waćpani, albo nie usiłował pociągnąć ukradkiem śpiącego mopsa za ogon, układaliśmy wspólnie, siedząc w kucki na ziemi, nader skomplikowane budowle z drewnianych klocków, na których prze-myślna pani Rymszyna wymalowała cały alfabet. Wszystkie samogłoski znaczone były czerwoną farbą, a wszystkie spółgłoski — czarną. Adaś, który już wówczas posiadał sztukę łączenia liter w wyrazy, starał się zawsze tak zbudować swój pałac, aby na ścianach formowały się słowa, nierzadko całe zdania. Rozmawialiśmy możliwie cicho, rzucając badawcze spojrzenia w stronę kanapy dla przekonania się, czy duże, stalowe druty migają w tempie normalnem.

— Daj mi teraz dwa o, — mówił Adaś półszeptem, a gdy napróżno usiłowałam ze stosu klocków wybrać właściwe litery, dodawał pogardliwie:

— Ach ty głuptasie! Nie możesz nawet tego spamiętać, że o jest kółko.

Wtedy raptownie rozjaśniało mi się w głowie i z miną triumfalną podawałam mu klocki.

— To nie jest o! — wyśmiewał się Adaś.

— No przecież kółko...

— Jak kółko z kreską, to jest o pochylone, rozumiesz teraz? — objaśniał tonem wyższości.

Nie rozumiałam nic, ale kiwałam głową z przekonaniem, olśniona wiedzą Adasia.

Od stołu dobiegał nosowy bas pana Dziechcińskiego, sylabizującego jakiś artykuł w gazecie. Od czasu do czasu przerywało tę monotonną czynność odezwanie się którejs z osób postronnych:

— Kładnij, duszo, dwójkę na asa! Taż leży od godziny jak wół, na stole... — jęknęła „ciocia Józia“, wyciągając palec ku zatłuszczonym kartom.

— Aj, prawdaż, pani... leży! — stropiła się Balbina.

Znudzony mops uniósł głowę z poduszki i przeciwną się leniwie, ziewając.

— Leżeć, Acan! — burknęła ciotka Eufemja. Złożyła druty i zdjawszy z nosa okulary, przetarła je końcem szalika:

— No, czytajże pan dalej o tym pomniku. Byłybyście tam ciszej z waszym głupim pasjansem!

— Taż nie głupi, Femciu! Taż to napoleoński... — protestowała pokornie pani Rymszyna.

— Mama to zawsze... — podchwycił Adaś szeptem, schylając się ku mnie. — A dziadzio Juljusz powiada, że Napoleon był kiep, bo się dał pobić pod... pod... jednym miejscem, które się bardzo trudno nazywa. Ale ty i tak nic nie zrozumiesz. Ty nawet nie wiesz, co to znaczy Napoleon.

— A właśnie, że wiem — zaświtało mi w głowie wspomnienie. — U mamusi w kuferku jest Napoleon, zawinięty w czysty papier. To nawet tatuś go namalował! — dorzuciłam z poczuciem uzasadnionej dumy.

— Ciocia Femcia mówiła, że twój tatuś był dureń, bo malował takie obrazy, których nikt nie chciał kupować. No, nie rób ze takiej bekiwey miny! Ja wiem, że twój tatuś wcale nie był dureń... Ale zawsze ciocia Femcia powiedziała... A mój tatuś buduje kolej w Rosji, wiesz? A jak ją zbuduje, to przyjedzie tutaj, przywiezie dużo pieniędzy, kupi mi kuca i rewolwer z prawdziwymi kulami, aha! I nie będziemy już mieszkali w Klimontowcach!

Duże, dziecinne łzy kręciły mi się w oczach na te słowa. Wszystko, co mówił Adaś, było takie wspaniałe, prawie czarodziejskie, jak historie Balbiny. Nie znałam wówczas słowa „zażdrość“ ale marzyłam, aby się chociaż raz, chociaż na chwilę znaleźć na miejscu Adasia.

Pamiętam, że owego właśnie wieczoru, klęcząc przy pacierzu, modliłam się półgłosem:

— O Boże, zrób, żebym ja była Adasiem! Zrób tak, żebym to ja była Adasiem...

— Co ty tam mruyczysz, Krysiuniu? — spytała mama z głębi pokoju. Odpowiedziałam szczerze:

— Bo ja proszę Bożi, żeby mię zmienił w Adasia... A ciebie w ciocię Józię, żebyś nie

przestała być moją mamusią — dorzuciłam pośpiesznie. — I żeby nasz tatuś budował kolej i żeby przywiózł dużo pieniędzy...

— Dlaczego modlisz się o to, Kysiu? — rzekła mama.

— A bo wtedy... Bo wtedybyś mi kupiła dużo ładnych rzeczy i byśmy nie mieszkali w Klimontowcach...

Biedna mama pewnie płakała tego wieczoru. Pewnie myślała z bólem, że jej córeczka naprawdę czuje się pokrzywdzona, skoro takie układa modlitwy. A przecież wtedy było mi bardzo, bardzo dobrze na świecie. Gdy teraz myślę o tych latach minionych, wspominam je z głębokim żalem, jak jasne, złote pasemko szczęścia. Ciotka Eufemja umiała gderać, jak nikt inny, ale umiała także i pochwalić czasem. Balbina — to była jedna niewyczerpana skarbnica opowieści tak dziwacznych i cudnych, że otwierałam usta z podziwu, słuchając. Kochała mię serdecznie i pieściła, a nawet psuła potrosze. W biednej mojej mateczce odnajdywałam zawsze krynicę słodyczy, kojącą każdy ból, zmywającą każdy smutek przelotny z dziecięcej duszyczki...

A ten kochany, choć czasem psotny i dokuczliwy Adaś! A ogród klimontowski, pełen niezgłęzionych tajemnic! Ten ogród, ten kraj zaklęty należał tylko do nas dwojga: — do Adasia i do mnie...

Kiedyś, po latach, chodziło tam znowu „nas dwoje”, chociaż Adasia dawno zbrakło w Klimontowcach... Dzieciństwo pierzchło bezpowrotnie, lecz w cieniu starych drzew po dzień snują się czarowne nici srebrnych pajęczyn: wspomnienia najśłodszych, najmilszych snów...

A jednak wtedy, biegając boso wśród gąszczów leszczyny, byłam szczęśliwsza, niż kiedykolwiek. Pomimo smutnych oczu matki, pomimo lęku przed ciotką Eufemją za jakieś „przeskrobanie” dziecięce, pomimo strasznego widma codziennych „robótek”...

Ach, te robótki! Ciotka miała wogóle niewzruszone zasady, a do nich zaliczała w pierwszym rzędzie umiejętność władania igłą i narparkiem. Miałam zaledwie pięć lat, a już znaczyłam krzyżykami małe skrawki płótna, specjalnie na ten użytek przechowywane w szufladach staroświeckiej komody. Gdy już umiałam znaczyć, obrębiać i szyć równiutko „za igłą”, przyszła kolej na hafty, mereżki i „frywolitki”, nad którymi wypłakiwałam oczy. Tak trudno było trzymać cienkie niteczki, owinięte na dłoni i liczyć małe pętelki, z których powstawał skomplikowany deseń... Tak łatwo się było omylić o jedno, jedyne oczko... Nedomiar złego, owa „godzina robót” przeciągała się często do obiadu.

Pamiętam, jak matka mówiła kiedyś do Emilki:

— Żebyś ty chociaż, Emilciu, wstawiła się do ciotki... Ciebie prędzej wysłucha... Czy to podobna trzymać dziecko tyle godzin bez ruchu! Biedactwo jeszcze wzrok straci! Już teraz, widzisz, jakie ma zaczerwienione powieki... A rano, to tak oczkami mruga...

Ale ciotka była nieubłagana.

— Niech się uczy! — strofowała Emilkę, mamę, ciocię Józję, każdego, kto się ośmielił wziąć mię w obronę. — Niech się uczy zamłodu. Roboty ręczne jeszcze żadnej kobiecie nie zaszkodziły. Lepsza igła w niewieścim ręku, niż te tam wasze różne mądre książki, od których w głowie się wam poprzewracało. Jak wasze matki i babki po piętnaście lat robiły ornat do kościoła, to na romanse i bzdurstwa czasu nie stało! Z tej waszej nauki taki zysk, że co druga w rok po ślubie ręce łamie i na swój los narzeka... Za wasze życie odpowiadać nie mogę i nie myślę, ale Krysię wychowam po swojemu. Zrozumiano? Wdzięczna mi kiedyś będzie za to!

Siedziałam więc skulona na niskim stołeczku u stóp otyłej damy i uczyłam się różnych ściągów, których liczba zdawała się nieskończona. Gdy w robocie okazała się najmniejsza niedokładność, ciotka Eufemja pruća wszystko

i oddając przybrukany kłak nici mówiła tylko dwa słowa:

— Od początku.

I musiałam zaczynać od początku. Po dziesięciu minutach czułam szum w głowie, ból w krzyżu i szpilki pod powiekami. Tłumiąc gorące łzy, liczyłam oczka jak najstaranniej, by się przypadkiem znów nie omylić.

Liczyłam, liczyłam, liczyłam...

A za otwartem oknem nieznośny Adaś ograżał patyczkami nasz pałac z piasku, albo uganiał się konno dokoła klombu na lasce olszowej, albo, jeśli to było jesienią, obrywał z krzaka owoce spirei, rozdeptywał je w moich oczach obcasem, a gdy pękały z trzaskiem, wołał do mnie śmiejącymi oczami:

— Aha! Widzisz! Nie przyjdiesz! Wystrzelam wszystkie kulki, co do jednej, a ty nie możesz nawet krzyknąć, bobyś dopiero od cioci Femci usłyszała kazanie! Siedź sobie i dłub tę idjotyczną robótkę!

Dławiłam się łzami i śledziłam nieruchome, okrutne wskazówki zegara, który tak wolno odmierzał czas.

XI.

Ostatnią georginę przyniósł mi dzisiaj do szkoły Teoś, ten z dużą głową, wnuczek babiny, która tak bardzo prosiła, aby się malec jak najprędzej nauczył czytać „na książce”.

Nazywa się ta kobieta Wątkowa, a mąż jej, stary, kulawy i łysy jak kolano człowieczek wartuje w opustoszałym dworze podczas nieobecności właścicieli, którzy się gdzieś czasu wojny zawieruszyli na obczyźnie.

Wątkowie nie pochodzą z tych stron, a z jakiejś wioski na Mazowszu, w majątku służy od niedawna. Mieli jedyną córkę, którą wydali nieszczególnie zamaż. Owdowiała wkrótce i sama zmarła, zostawiając dziecko — właśnie Teosia.

Jedynem, najgorętszym pragnieniem starej Wątkowej jest to, aby się chłopak dużo i dobrze uczył:

— Bo on już lata ma i tylko taki chuderlawy... — objaśniła wstępnie, przyprowadziwszy chłopca po raz pierwszy do szkoły.

Rzeczywiście — chuderlawy Teoś ma przeszło ośm lat, jak wykazuje metryka. Ma rów-

nież wielką do książki ochotę i bardzo pilnie się uczy, tylko zdolności Bóg mu poskąpił. Jakże to wytłumaczyć kobiecie, która jest zaślepiona w swym wnuczku i świetny los dla niego obmyśla!

— Niech tylko dożyjem, proszę paniusi, żeby chłopak szkołę powszechną skończył. Do miasta go wtedy wyślemy, na naukę. Później, to on sobie i bez nas rady da, w mieście nie trudno o zarobek. A potem Teoś felczerem zostanie, a może nawet — księdzem...

To, co mię łączy ze starą Wątkową, ta niewidzialna nić sympatii, związana przypadkiem przy Klimontowskiej furtce, każe mi wielkich przykładać starań, by jednak Teoś nie zawiódł babcinych nadziei.

Zaczęłam go więc zabierać do siebie na dodatkowe „kursy” czytania i pisania. Mozolimy się codziennie z godzinę nad dziwnym zjawiskiem, że „i” pisze się jak krótka pałeczka z kropką u góry, a „l” jak długa i — o dziwo — bez kropki.

— Acha... — wykrzykuje mój Teoś radośnie — to teraz już wiem. I zabiera się do pisania z namaszczeniem. Sapie przytem, wysuwa koniuszek języka, pot mu występuje na czoło. Pisze małe „l” z kropką i wielkie, niezgrabne „i” — bez kropki. Trzeba tedy tłumaczyć:

— Przecież „l” — to jest długa pałeczka — mówię łagodnie.

— A prawda... — dziwi się Teoś, a w głosie jego drga nuta zawodu i żalu.

Zaczynam wykład od początku. Nareszcie Teoś napisał bez błędu wyraz „lala” i tego popołudnia dumnie pomaszerował do domu, wsuwając do kieszeni starannie złożoną kartkę z rzeczowym dowodem swoich postępów.

Miałam już nieraz tępych uczniów i wiem, że nie należy nigdy tracić nadziei, bo niewiedomo, kiedy zaświta w śpiącym mózdzku isierka świadomości, zbudzi się pierwsza myśl samodzielna, pra-matka wszystkich następnych. A jednak, z racji Teosia, popadam chwilami w pesymizm, graniczący z rozpaczą, tracę wiarę we własne zdolności pedagogiczne. Czy to możliwe, by żadna metoda nie przystawała do tego krnąbrnego umysłu? Po czterech tygodniach wprost nieprawdopodobnych wysiłków doprowadziłam zaledwie do tego, że malec poznawał niektóre litery, witając je z zadowoleniem, jak starych przyjaciół.

Panna Leonka nie może mi się nadziwić:

— Poco pani sobie tyle trudu zadaje z tym głabem? Zostanie w pierwszym oddziale i koniec.

I wzrusza ramionami. Tłumaczę jej, jak mogę, że chłopiec jest pilny, że się chce uczyć, i że muszę mu przecież w tem dopomóc, bo to mój obowiązek.

— Et, — machnęła ręką moja młodziutka koleżanka. — Z niego i tak nic nie będzie, zobaczysz pani.

A właśnie tego się lękam najbardziej. Obiecałam przecież jego babce... Nie, Teoś nie może zostać na drugi rok, przecież Wątkowa jest już bardzo stara...

Ilekoć ogarnia mię zwątpienie, ilekoć tracę do reszty cierpliwość, przypominam sobie rozjaśnioną uśmiechem twarz staruszki, kiedy szeptała bezzębnymi ustami:

— A potem Teoś zostanie felczerem, a może nawet... księdzem...

Nie. Nie mogłam jej zrobić zawodu. Ona tak wierzy w mą obietnicę, tak mi ufa...

Staram się więc wykrzesać z chłopca tę odrobinę inteligencji, którą posiada. Nie jest on dzieckiem normalnem. Jego wybitnie duża głowa, jego karzełkowata postawa, okrągłe, wylupiane oczy świadczą o tem wyraźnie. Ojciec Teosia, o którym Wątkowie mówią niewiele i z niechęcią, musiał być albo nałogowym pijakiem, albo przechodzić ciężką chorobę, której skutki ponosi teraz Bogu ducha winna istotka, mająca przecież takie same prawo do życia, jak inne dzieci.

Odłożyliśmy nabok elementarz, daliśmy pokój krótkim pałeczkom z kropką i długim — bez kropki. Rozmawiamy ze sobą, jak przyjaciele. Wypytyuję chłopca o różne szczegóły

z jego życia, układamy wspólnie małe opowiadania o tem, jak zginęła kura czubotka, jak się przyplątał do starego Wątka chudy, żółty pies, ten sam, który teraz pilnuje ich mieszkania i tak głośno szczeka na obcych. Potem mój Teoś rysuje kolorowemi kredkami pomarańczowego potwora na słoniowych nogach, podpisujemy pod tym arcydziełem wielkimi literami: Pies Bukiet i oboje zadowoleni jesteśmy z siebie.

I tak to idzie powoli, słowo za słowem, zdanie za zdaniem. Dziś już mój Teoś pisze bez błędu mnóstwo wyrazów, lepiej, niż jego koleżdy ze szkoły. Umie się nawet podpisać z zakrętem, zupełnie, jak sekretarz gminy. Na wszystkich swoich książkach wykaligrafował starannie: Teodór Rowiński. Gdzie niegdzie dopisał nawet: Z Klimontowiec.

Rozczuła mię jego przywiązanie. Niczem pies Bukiet. Patrzy na mnie z wyrazem uwielbienia, prawie modli się do mnie. W szkole nie spuszcza ze mnie wzroku, uważa na każde słowo, a po skończonych lekcjach czeka na mnie przed drzwiami, odprowadza do domu, odnosi mi zeszyty i książki. Niema prawie dnia, by nie zaszedł choć na minutkę, a zawsze coś chowa w zanadrzu: to jakieś nadzwyczajne jabłko, które babcia umyślnie dla mnie położyła na oknie, aby dojrzało prędzej, to znowu parę jajek od tej samej kury, czubotki, która zginęła

i znalazła się cudownym sposobem po tygodniu daremnych poszukiwań... Wreszcie, gdy pewnego dnia przydygował całą głowę czerwonej kapusty, musiałam wydać stanowczy zakaz: żadnych jabłek, jaj, żadnych wiktuałów. Wolno Teosiowi ofiarować mi czasem parę kwiatków, ale nic więcej i to nie codziennie.

Ustuchał, choć miał do mnie trochę żalu o to. Teraz starannie odmierza czas przepisany i nagle pewnego dnia zjawia się w szkole z rękoma, pełnemi astrów, albo liści klonowych, purpurowych i złotych, które pozbiierał dla mnie w Klimontowskiej alei...

Dziś przyniósł tę piękną georginę i rzekł smutnie:

— To już ostatnia, proszę pani... Co ja dla pani w niedzielę wyszukam?

— Wyszukasz w swojej głowie, jak się pisze „duży“ bo przecież ty już jesteś D Ó Ź Y chłopiec i powinieneś to wiedzieć, prawda? — odpowiadam, śmiejąc się i poprawiając w jego zeszytcie czerwonym ołówkiem ten błąd.

XII.

Coraz to bardziej pochłania mię szkoła. Zaczyna się ta sama, zwykła historia: zżywam się z nowym środowiskiem obserwuję dzieci, ich charakter, ich sposób reagowania na różne przejawy życia. Staram się wnikać w ten świat, nad którym rządy przypadły mi w udziale.

Poznałam już imiona i nazwiska wszystkich moich uczniów, a teraz usiłuję poznać życie każdego z nich poszczególnie. Jest to warunek nieodzowny, jeżeli pracę nauczycielską traktować poważnie. Te wiejskie, nieokrzesane dzieci mają ogromnie rozwinięty zmysł krytyczny. Umieją odróżnić tandetę od istotnych wartości, umieją ocenić nauczyciela, jeżeli nauczyciel wkłada w swą pracę choćby iskierkę głębszego zainteresowania, choć cząstkę własnej duszy.

Dzieci — wszystko jedno, zamożne czy biedne, zrodzone w środowisku intelektualnym, czy też zupełnie surowem, są zawsze tą bogatą glebą, na której wszędzie każde ziarno. Od dobrej uprawy tej gleby zależy przyszły plon.

Zdanie pospolite, wytarte, lecz niepozbowione przez to głębokiej, mądrej prawdy...

Mam oto przed sobą trzydzieści istnień ludzkich, — trzydzieści główek dziecięcych, kręcących się w prawo i lewo, trzydzieści par oczu błękitnych, szarych i czarnych i tyleż par rąk, które do niedawna nie umiały trzymać ołówka. Zostałam kierowniczką dwóch najmłodszych oddziałów i bardzo jestem z tego rada. Ilekroć zdarzyło mi się pracować w podobnych warunkach, odczuwałam zawsze radosną dumę człowieka, który swój twórczy gmach buduje od samych podstaw, przerąbuje własne ścieżki wśród lasów dziewiczych, nietkniętych żadną cywilizacją, a więc nieokaleczonych, niespożytych w imię tej cywilizacji i kultury.

Najtrudniejszą przy orce rzeczą jest po raz pierwszy wbić pług w twardy ugor i wyprowadzić prosto pierwszą skibę. Inne już będą zależne od jej kierunku. Dlatego najtrudniejsze, choć i najmiłsze są wszelkie początki.

Mam oto swoje dzieciaki przed oczyma. Trzydzieści mózgów prawie tak nieskazitelnie pustych, jak umyta świeżo tablica. To, co przyniosły z domu, z otoczenia, to czysto zewnętrzna powłoka, którą zeskrobać można, lub utrwalić, zależnie od jej wartości. A jaka to subtelna praca, ile wymaga uwagi... Możliwy ją chyba porównać z odkopywaniem cennych zabytków z grudy, czy skamieniałej lawy. Od-

łupywać trzeba ostrożnie, po kawałeczku, by nie uszkodzić, nie nadwężyć kośćca.

W dodatku — ta nieufność naszego ludu do wszystkiego, co przychodzi od zewnątrz, rzekomo z góry, z „nakazu” — a więc przede wszystkim do szkoły i do jej przedstawicieli, figur rządowych, oficjalnych, narzuconych przez władze...

Jak dalece posunięta jest ta nieufność, przekonywam się ustawicznie, na każdym kroku. Ilekroć zaczynam wierzyć, że związek pomiędzy mną a dziećmi już się zacieśnił — dostaję obuchem rozczarowania po głowie... Dzieci przychodzą do szkoły z głęboko zakorzenionem, a przez starszych umocnionem przekonaniem, że: „oni sobie — a my sobie”. Chowają więc skrętnie jak najgłębiej każdą myśl bardziej własną, każdy szerszy odruch.

Muszą być grzeczne i zachowywać się na lekcji spokojnie, bo tego wymaga nauczyciel, ale one siedzą jak małe mumje, z wyrazem doskonałej obojętności na twarzy. Zainteresowanie lekcją jest w nich powierzchowne, udają skupienie, drżąc na samą myśl, że „pani” może zniecka otworzyć dziennik, wywołać ucznia, zadać mu pytanie i zapisać zły stopień. Ile to trzeba pracy, energii, tłuczenia głową o mur, by wydobyć jakąkolwiek odpowiedź z ust dziecka, które dopiero zaczęło chodzić do szkoły! Doprawdy, ciężka to praca wykrze-

sać iskrę bożą z tych malców, patrzących nieufnie, z podejrzliwością na niosącą „oświaty kaganiec” ich kierowniczkę...

Zastanawiam się nad tem wszystkim głęboko, bo mnie to głęboko dotyczy. Przecież ta szkoła, to mój teren pracy — to nie tylko klepsydra mojego dnia, na której liczę z utęsknieniem, rychło się piasek pięciu męczących godzin przesypie — to także klepsydra moich czynów, skala, którą odmierzam własne zdolności życiowe.

Narazie — wgryzam się w małe duszyczki, staram się przeniknąć ciemne zakamarki myśli, skrywanych zazdrośnie. A jak zazdrośnie chowają dzieci przede mną wszystkie przejawy swego życia, dowodzi choćby taki drobiazg:

Wkrótce po przyjeździe zdarzyło mi się widzieć zabawę tutejszych dzieci. Skupione na obszerным placu, noszącym szumne miano „rynku”, bawiły się w jakąś grę, podobną do „Berka” a polegającą na tem, że po wypowiedzeniu dość zabawnego dialogu, przebiegały pędem, starając się nie wpaść w ręce goniącego je „pastuszka”. Dialog ten przytaczam w całości:

— Gęsi do dwora! — woła „pastuszek”.

— Boim-sia.

— A czego?

— A lisa...

— A gdzie on?

— A w lesie!

- Cóż on robi?
- Jajka niesie!
- Wiele zniósł?
- Kopa — dwa...

Po otrzymaniu tej informacji, że lis „naniósł” już do lasu kopę jaj, pastuch rzuca się ku gromadce gęsi, by je połapać, a one jęły uciekać z piskiem, przewracając się i popychając, przypominając zaiste spłoszone ptactwo domowe.

Po chwili uciszyło się nieco. Schwyte ofiary stanęły pod drzewem i znów rozpoczęło wstępną rozmowę:

- Gęsi, do dwora!
- Boim-sia...
- A czego?

Wyłoniłam się z cienia kasztanu. Na ten widok zarówno „pastuszkowie” jak „gęsi” — zamilkli, wybałuszając na mnie oczy.

— Bawcie się dalej, — rzekłam — ja popatrzę.

Milczenie.

— No, czego tak stoicie? Czy może wam przeszkadzam?

Znowu milczenie głębokie, tylko gdzieś niegdzie stłumiony chichot. Zaczęłam z innej beczki:

— A co to za zabawa taka? Czy kto was tego nauczył? Kto was nauczył? Sami tak wymyślili? No, jakże?

Po każdym zapytaniu stawiałam pauzę, czekając odpowiedzi, ale daremnie. Wreszcie odezwał się z gromadki głos jakiś:

— Ano... zabawa taka jest.

Tyle się dowiedziałam.

Postanowiłam jednak nie zrażać się. Niepytana i nieproszona, zaczęłam opowiadanie, jak to w innej szkole, gdzie przedtem byłam nauczycielką, dzieci bawiły się podobnie. Opisałam dokładnie tę grę, jak to tam mówią: „Boicie się czarnego luda? — Nie!” A potem wszyscy uciekają, tak, jak tu „gęsi” przed chwilą. Znam także wiele, wiele innych bardzo przyjemnych zabaw... Możeby chciały nauczyć się ich? Milczenie. Ciągłe milczenie, uciśnienie dla nich, kłopotliwe dla mnie.

— Czy nie będziecie się już bawiły? Nie? No, to dowidzenia. Muszę już wracać do domu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków! — odchrząknęły chórem z przyzwyczajenia.

Odeszłam wolnym krokiem. Dochodząc do mieszkania burmistrza, usłyszałam wyraźne okrzyki:

- Gęsi do dwora!
- Boim-sia...
- A czego?
- A lisa!

Zabawa rozpoczynała się w najlepsze...

XIII.

Prawie cały dzień zaduszek spędziłam na cmentarzu.

Było słonecznie, choć wietrzno i chłodno. Ostatnie, brunatne, przegniłe liście, zalegające mogiłki, powymiatano już i pozgarniano w kopce. Od czasu do czasu unosi się z wiatrem jeden straceniec, jakby porwany żądzą lotu i pędzi, pędzi przed siebie, gna z cichym chrzęstem po ścieżkach piaszczystych, aż legnie kędyś na długi, zimowy spoczynek pod niskim murem cmentarza.

Cisza. Cisza i pustka. Żywi odeszli, zostawiwszy umarłym drobne dowody pamięci. Na niejednej mogiłce drga i chwieje się wątyły płomyczek w lampce z barwnego szkła, na niejednej odcina się jaskrawą plamą od szarej, obumarłej darni świeża zieleń świerkowego wianka. Ktoś przyniósł papierowy bukiet i zatknął go w rozłupane ramiona krzyża, pochylonego ku ziemi, zmurszałego od mrozów i deszczów...

I ja przyniosłam swoje wianki. Plotłam je, kłując palce, z gałązek świerku i sośniny, na-

niesionej z lasu przez Teosia. Porozkładałam te wianki na szarej płycie kamiennej tak, że przykryły niemal doszczętnie napisy, ongi złożone, dziś poczerniałe i starte. Największy z nich, najwyraźniejszy, chociaż najstarszy, obwieszcza przechodniowi: Oto grób rodziny Klimontowskich...

A chcesz poznać lepiej, co kryje ta wspólna mogiła, to przybliź się i czytaj. Długi, długi to poczet imion, z których niejedno brzmi już tylko w sercach pamiętliwych, choć starych...

Ciotka Eufemja lubowała się w długich epitafjach. Dlatego stary pan Klimontowski Hipolit, właściciel dóbr Klimontowce z czterema folwarkami, inicjator i prezes różnych związków ziemiańskich i były sędzia powiatowy, zmarły w latach osmdziesiątych, prosi o ciche westchnienie za duszę swoją każdego przechodnia. Dlatego Hani i Zdziśiowi, dzieciom Emilki, dostał się utwór rymowany, owoc natchnienia Balbiny, która wraz z „ciotką rodu" ułożyła ten napis, dziś prawie doszczętnie zatarty. Ostatnie tylko słowa można odgadnąć raczej, niż odczytać:

Rodziców osierociły,

Same do nieba wróciły.

Dziwna rzecz: Stara dama, oschła i przykra w obejściu, niecierpiąca (pozornie) żadnych objawów czułości, potępiająca wszelki sentymentalizm — sama obmyślała te napisy na gro-

bie, sypiąc, jak z rękawa, rzewnymi epitetami, wzdychając do pobożnych o dobre słowo, po-
grążając w żałobie rodzinę, bliższych i dalszych
krewnych, przyjaciół oraz życzliwych zmarłe-
mu ludzi.

W rocznicę śmierci matka moja otrzymała
na bocznej ścianie grobowca płytkę mosiężną
wypełnioną pochyłym pismem: „Helena z Kli-
montowskich Darowska, wdowa po ś. p. Anto-
nim, artyście-malarzu, zgasła przedwcześnie,
osierocając nigdy w żalu nieutuloną, jedyną
córkę... etc.

Nieutulona w żalu córka, mała figa z zaple-
cionymi ciasno warkoczycami, chodziła co
święto na cmentarz w N. z Balbiną i uczyła się
napamięć tych słów, sylabizując, ponieważ
wtedy jeszcze słabo umiała czytać. Dlatego
wyrył mi się w pamięci ten napis tak mocno,
że do dziś dnia powtórzyć mogę bez zająknię-
cia: Helena z Klimontowskich Darowska, wdo-
wa po ś. p. Antonim, artyście-malarzu, zmarła...
etc.

Wrażenie owej śmierci, poczucie zupełnego
sieroctwa, nie były we mnie wówczas równie
silne, jak rozsadzająca pierś дума, że oto ja
jestem ową jedyną, w żalu nieutuloną córką.
Oceniałam dziecięcem, małym serduszkem po-
wagę chwili i ważność własnej osoby. Nieraz
w nocy długo nie mogłam usnąć: płakałam i wo-
łałam z głębi zbolalej duszy „Mamo! Mamol!”

Ale we dnie, gdy cały dom roił się od ludzi,
obnosiłam swoją żałobę, jak specjalne odzna-
czenie, które nie każdemu przypaść może
w udziale. Była to jedyna może epoka mego
dzieciństwa, kiedy zwracano na mnie więcej
uwagi, to też starałam się, by to współczucie
ludzkie wzmocnić i utrwalić.

Wymagało to nawet pewnych ofiar z mej
strony. Adaś, który już wówczas przygotowy-
wał się do szkół i miał ograniczoną swobodę,
zapropoNOWAŁ mi pewnej niedzieli zabawę
„w Indjan”. Był to zaszczyt nielada, ponie-
waż ta właśnie zabawa należała do specjalności
Adasia i liczyła się do rzędu „chłopczyńskich”.
„Dziewczyńskie” traktował już pogardliwie, ja-
ko przyszyły uczeń gimnazjalny...

Olśniona wspaniałomyślnością przyjaciela,
zdobyłam się jednak na heroizm:

— Nie będę się z tobą bawiła w Indjan...

— Dlaczego?

— Bo mi mama umarła i jestem w żałobie...

— odparłam, nie mogąc jaśniej określić, jaki
właściwie zachodzi związek między temi tak
różnymi faktami.

— Hm... To szkoda — rzekł Adaś. — Jak ty
myślisz, czy długo musisz być smutna i nosić
tę żałobę?

— Nie wiem... Bardzo długo... Może całe
życie? — odpowiedziałam niepewnie i łzy praw-
dziwego żalu stanęły mi w oczach.

— To i w królowę elfów nie będziesz się bawić? A w podróż naokoło świata? Ani nawet w domino i w loteryjkę? — znęcał się nad mną okrutny, mały kat.

Serce mi się krajało, ale odparłam mężnie:

— Nie. Jestem smutna. Muszę być smutna i nie mogę się bawić... nawet w królowę elfów.

— Ha, szkoda! — powtórzył Adaś z respektem, a mnie łzy ciurkiem popłynęły z oczu i czułam się wtedy naprawdę biedną, skrzywdzoną, bardzo nieszczśliwą sierotką.

Tego dnia długo płakałam, wtuliwszy głowę w rozpostarty szeroko gospodarski fartuch Balbiny, a ona gładziła mnie spracowaną ręką po mokrej twarzy, mówiąc z rozrzewnieniem:

— Nie płacz już, nie płacz... Nie płacz, moja ty Krysienko biedna, moja ty sierotcino, moja ty...

Ciotka Eufemja, będąc zwolenniczką oszczędności, nie pozwoliła sprawić mi żałobnej sukienki.

— Niepotrzebny wydatek. Żałobę w sercu nosić trzeba — rzekła, wręczając Balbinie starą, zleżałą suknię brązową w czarne centki. — Wystarczy, jeżeli Krysia ciemno ubierać się będzie.

Nosiłam więc tę dziwną „żałobę”, brzydką i ciasną, (i tak ledwie starczyło, dowodziła Balbina) nosiłam ją z przykrością, ponieważ materiał był szorstki i brzydki i raził mój smak este-

tyczny. Nigdy, nawet w okresach największej biedy, nie miałam tak szkaradnej sukienki. Wszystko, co szyla mama kochanemi rękoma, wyglądało zawsze świeżo i ładnie, miało w sobie coś z wykwintu i dawało wygląd „pańskiego dziecka”.

Strój ten, włosy, wyczesane szczotką, zmoczona w wodzie, aby się nie kręciły nad czołem, twarzyczka szczupła i bladawa nadawały mi pozór małej sierotki z przytułku. W domu nazywano mnie pół-żartem „mniszeczką”. Owey smutnej i szarej jesieni, wlokącej się nieskończenie długo w głąb zimy, byłam naprawdę pożałowania godnym stworzeniem. Wszyscy domowi poczuwali się do obowiązku opieki nad osieroconym dzieckiem, ale nie umieli, lub nie mogli tego obowiązku dopełnić. Emilka, mieszkająca znów stale w Klimontowcach, była za nadto zajęta własną córeczką, wówczas już prawie dwuletnią Elą, a także przygotowaniami na przyjęcie nowego przybysza... Obdarzała mnie od czasu do czasu roztargioną, zdawkową pieśczętą. Miała, biedaczka, sama zbyt wiele kłopotów i trosk, by móc poświęcić więcej czasu i uwagi swojej kochanej, małej „przyjaciółeczce”.

Pani Rymszyna zabierała mnie codziennie na godzinę czytania i rachunków, ale podczas tych lekcji myśli jej pracowały nad zagadnieniem, co może w tej chwili porabiać Adaś? Czy

zdołał już umknąć przed zmorą ćwiczeń gramatycznych i czy uda się go odnaleźć w parku przed obiadem?

Ciotka Eufemja zadawała mi co sobota robotki na cały tydzień i strofowała często z racji zbliżającej się ósmej rocznicy urodzin moich... Reszta, to znaczy Janusz i ci nieliczni goście, którzy mieli dosyć odwagi, by w zamieść i wicher odwiedzić Klimontowce, zainteresowanie moją osobą ograniczali do krótkich, banalnych pytań i uwag, rzucanych wówczas, gdy przypadkowo nawinęłam się komuś przed oczy:

— A cóż tam Krysia? Uczy się, ha? Pokażno, mała, swój kajet z dyktandem. Zobaczmy, jak to tam idzie...

Czasem ktoś z bardziej „zadomowionych” raczył uszczypnąć mię w policzek, mówiąc:

— Ależ ta Krysia rośnie, jak na drożdżach. Codzień chyba wyższa...

Nieprawda. Byłam wątła i bardzo drobna na swój wiek. Adaś przerastał mię wówczas o głowę...

XIV.

Nie tak znowu daleko odbiegłam myślą z klimontowskiego cmentarza, jakby się mogło wydawać: przecież Zaduszki, to właśnie moje najboleśniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Przecież to właśnie w ów dzień...

Śmierć matki spadła na mnie, jak grom z jasnego nieba. I nie tylko na mnie — na wszystkich, pomimo, że spodziewano się jej, mówiono o niej półgłosem, jak o czemś nieuniknionem.

Na schyłku lata biedna mama była już tak słaba, tak słaba, że chodziła, czepiając się sprzętów i przystawała często dla nabrania w chore płuca oddechu. Do dziś dnia słyszę ten oddech krótki, świszczący, głośniejszy często od słów, które wypowiadała z wysiłkiem, urywając wpół zdania i walcząc z suchym, druzgoczącym kaszlem.

O nieuleczalnej chorobie matki mówiono zupełnie otwarcie: Emilka z serdecznym niepokojem, ciotka Eufemja z pogderywaniem, dodając zawsze jakiś przytyk w stronę mego ojca skierowany, zaś pocziwa Balbina z płaczem:

— Już się ona, biedaczka, nie wybałuda z tego, nie... — szeptała, wzdychając.

— Ech, takie młode życie! Doprawdy, sensu w tem ani za grosz! — sapał pan Dziechciński, pokrywając zmartwienie głębszym, niż zazwyczaj, basem.

— Żebyś ty chociaż, Helciu, usłuchała raz dobrej rady i przeleżała w łóżku ten twój chroniczny bronchit... — upominała Emilka łagodnie, śledząc z pod oka pośódką twarz i chwiejne ruchy chorej.

— Już mi to chyba nie pomoże... — odpowiadała mama bezdźwięcznym głosem. — A w łóżku nie wyleżę za nic. Ja już oddawna spać leżąc nie mogę...

— Ot i skaranie Boże z kaszlem takim! Miałam ja kiedyś kaszel zadawniony, na balu za panieńskich czasów zaziębiwszy się, to tylko mlekiem z topionem sadłem wyleczyłam... Spróbuj i ty, duszko. Taż nie zaszkodzi, anuż i pomoże? — śpiewała przeciągle ciocia Józia i uderzała się pięścią w suchą pierś, na znak, że teraz dudni zdrowiem.

Wszystkie rady, perswazje i wymówki przyjmowała matka ze słodkim uśmiechem, przepraszając nieśmiało:

— Tyle kłopotu wam sprawiam... Tyle przykrości, aż wstyd... Dziękuję, że tacy dobrzy dla mnie jesteście... Ale ja tak sobie pocichut-

ku, pomalutku... Może Bóg pozwoli, to wyżyję. Dla Krysi. A nie, to...

Milkła i przenosiła na mnie wzrok, pełen miłości i troski. Do ostatka, do końca troszczyła się tylko o mnie biedna, droga mama: o to, że źle wyglądam, że mi brak apetytu, że pewnie czuję się niedobrze:

— Czy ty aby trzewiczków nie zamoczyłaś, Krysiuniu? Wieczory teraz takie chłodne... i rosa... Trzeba uważać na siebie, dzieciно...

Schylała się z trudem i próbowała cienkimi, przezroczystymi palcami, czy mam na pewno suche obuwie.

W początkach października, o dziwo, mama poczuła się znacznie lepiej. Kaszel ustał prawie zupełnie, nawet dotkliwe bóle w lewym boku, na które skarżyła się nieraz, ustąpiły. Sił tylko nie odzyskała jakoś. Chętnie przesiadywała w swoim pokoiku, na fotelu, który jej tam ciotka Eufemja kazała zanieść, zrządzając przytem i łajac, ile wlezie, na dobrowolne marnowanie zdrowia:

— Mówiłam: napyta sobie biedy! I napytała! Ale gdzie to Helcia była kiedy inna? Głupota czysta z tem wszystkiem i tyle. Pije teraz, co jej ten amor nawarzył. Mówiłam przecież... cicho, Acan! Mówiłam zawsze...

Reszta zdania rozplywała się w głębi domu, lub przechodziła w ostrą połajankę, skierowaną do którejś z dziewcząt służebnych:

— Trzep się! Trzep się pod piekarnią po nocy! Jeszcze sobie co niepotrzebnego wytrzepiesz! Gdzież to znowu całą godzinę przesiadała, he? A jakże, myślisz, że ja nic nie wiem, nic nie widzę! Żeby ci tylko te spacer-y z Antkiem kowala bokiem nie wyszły...

O zmierzchu na woskową przezroczystą twarz matki występowały rumieńce. Zdawała się odzyskiwać siły, suche i gorące ręce szybko wykonywały robótkę. Od czasu do czasu podnosiła głowę, błyszczącymi oczyma wpatrywała się w blaski dnia, gasnącego za oknem, a potem przenosiła wzrok na mnie:

— Czem tybyś chciała zostać, Krysiu, jak dorośniesz? — pytała.

Robiłam uroczystą minę:

— Będę malować obrazy, jak tatuś! — odpowiadałam stanowczym tonem, wiedząc, że robię matce przyjemność temi słowami.

— Czy też ty dobrze pamiętasz tatusia, moja Krysiuniu? — wpatrywała się we mnie badawczo i dorzucała po chwili w zamyśleniu: — Bo mnie, to chyba będziesz pamiętać...

A potem ożywiła się nagle, mówiła dużo i z przejęciem:

— Jak tylko wyzdrowieję i nabiorę trochę sił, pojedziemy do miasta. Duża już z ciebie panna, musisz się zacząć uczyć na pensji. Założę pracownię hafciarską, a ty mi będziesz pomagała, prawda, córeczko? Mogłabym także

dawać lekcje muzyki, lub francuskiego... Przecież to umiem... Będziemy żyły bardzo skromnie, ale na życie wystarczy... Czasem nawet pójdziemy do teatru. Ty jeszcze nigdy nie widziałas teatru... Ale poczekaj, gdy tylko trochę podrośniesz... Pójdziemy razem na te wszystkie sztuki, które mię tak zachwycaly dawniej...

— Wyzdrowiej prędko, mamol — prosiłam z przymileniem, tuląc policzek do jej wychudłej ręki.

Kiedys, w takiej cudownej chwili rojeń na temat jasnej przyszłości, ujęła nagle twarz moją w obie dłonie i spytała głosem wzruszonym:

— Ale gdyby się stało inaczej... Gdybym naprzykład umarła... Czy mi przyrzekniesz, Krysiu, że będziesz zawsze dobrą dziewczynką i będziesz słuchała cioci Femci we wszystkim? Ciocia Femcia jest bardzo zacna i trzeba jej słuchać...

— Nie mów tak, mamol! Nie mów tak! Ty nigdy nie umrzesz! — wołałam z rozpaczą, szlochając. — Będę grzeczna, będę posłuszna, ale ty nie mów, że umrzesz...

— Cicho... cicho... — uspokajała mię zmęczonym szeptem. — Widzisz, Krysiuniu, ja tylko tak... na wszelki wypadek... Trzeba zawsze...

Pewnego razu, snując się po korytarzu, usłyszałam przypadkiem fragment rozmowy:

— Żebyś ty raz pozbyła się tej egzaltacji! — zabrzmiał donośny głos „ciotki rodu“, przy

akompanjamencie stukania laską, jak zawsze w chwilach, gdy zrzędna ta osoba czuła się podniecona. — Przynajmniej teraz, kiedy wiesz sama, że to już nie przelewki, mogłabyś zdobyć się na odrobinę zdrowego rozsądku!

Odpowiedź matki stłumiły drzwi zamknięte. Wydało mi się jednak, że głos brzmi niemal błagalnie.

— Uf! — sapała znowu ciotka Klimontowska. — Jak ja nie lubię takich scen! Poco te wszystkie słowa? Przecież jej na bruk nie wyrzucę, ani z niej pomywaczki zrobić nie myślę. Z głodu tutaj nie umrze, nie bój się. Cóż to, zła taka jestem, krzywdy w moim domu kiedy zaznałaś, że ciągle z tem sercem wyjeżdżasz? Cóż to, może ja serca nie mam? Dzieci własnych nie dochowałam się, a przecież muszę o kimś myśleć. Taka już głupia natura ludzka... Pewnie, że na kolanach dzieciaków sadzać nie lubię, ani się z niemi tak cackać, jak wy tam wszystkie... Śliczne wychowanie! Dobrze chociaż, że ja widzieć nie będę, jakie mazgaje powyrastają z tych waszych gagatków...

Znowu przerwa, znów ciche słowa mamy podobne do brzęczenia komara gdzieś bardzo daleko.

— No, no, — pomrukiwała po chwili stara jejmość cieplejszym tonem. — Już ty lepiej o siebie dbaj, zamiast mnie uczyć. Jak ty się zachowujesz? Czy ci do grobu tak śpieszno? Mówiłam: jedz rosół z drobiu, łykaj surowe

żółtka, pij te mikstury, które ci doktor przepisał... Zawsze taki cymbał musi coś wiedzieć, za to pieniądze bierze... Czy ja ci kiedy czego pożalowałam? Myślisz, że mię zachwycą twój opłakany stan zdrowia! Wyglądasz, jak zmore... Tfu, doprawdy! Dwadzieścia dziewięć lat!... Jak twoja córka sierotą zostanie, kto temu będzie winien, może ja?

Laska stuknęła trzy razy, w takt słów.

— Nie płaczże! Nie pora na desperację. Połóż się lepiej do łóżka i nie udawaj, że możesz szyc te łachmanki, kiedy nie możesz. Poco ty sama siebie traktujesz, jak pannę służącą? Czy kto wymaga od ciebie, żebyś ślepiła nad tą bielizną, zgięta w kłábek, jak półtora nieszczęścia! Weźmij się ostro do leczenia, może się jeszcze wykaraskasz. Dotrzymaj choćby do mrozów. Potem — zobaczymy. Chyba cię do jakiego Meranu wyślę, czy co? Obie z Emilką nadajecie się do sanatorium... Ot, czasy takie, wychowanie!... Te wszystkie wasze mądre teorie w życiu... Masz teraz!

Kroki skierowały się ku drzwiom. Uciekłam pędem, nie oglądając się za siebie. Serce moje przeniknął nawskroś lęk. Sama już nie wiem, czego się bardziej bałam: głosu ciotki Eufemji, czy tej straszliwej wizji nieszczęścia, wiszącej nisko nad moją głową, jak czarna płachta, gotowa każdej chwili spaść i zmieść mi z przed oczu słoneczne światło dnia...

XV.

Ostatni tydzień października przyniósł tę tylko zmianę, że matka usłuchała wreszcie namowy i położyła się do łóżka.

— To już chyba i koniec ze mną... — rzekła smutno do Emilki, która jej układała poduszki pod głowę i plecy.

Były to ostatnie słowa zwątpienia, ostatnia skarga, jaką słyszeliśmy z jej ust. Leżała od-tąd cicha, zrezygnowana, z rękami, zaplecione-mi na kołdrze. O ile przebywałam zbyt długo w pokoju, usiłowała nakłonić mnie do ruchu:

— Nie siedź tu, Krysiu... Trzeba korzystać ze słońca, póki czas. Pogoda przecież ładna, prawda?

— Ładna, mamusiu.

— No widzisz. Idź... Idź do ogrodu... Zobacz, czy liście już wszystkie poopadały... Opo-wiesz mi potem, jak tam wygląda... Albo mi listek przyniesiesz... Żółciutki listek klonu... Dobrze?

— Dobrze, mamusiu! — mówiłam i wysuwa-łam się posłusznie z pokoju. Wybierałam potem wśród trawy największe, najpiękniejsze liście

klonowe i układałam je w krwawo-złote wią-zanki. Znosiłam całe ich pęki i rozsypywałam na łóżku matki. Zsuwały się po kołdrze z ci-chym chrzęstem i spadały na ziemię, czerwone, żółto-brunatne, płowe...

— A teraz idź na roboty do cioci Femci. Trzeba się trochę przymusić, córeczko... A te-raz pobaw się z Adasiem. A teraz... — dawała mi coraz nowe polecenia.

Spełniałam je chętnie. W domu szło wszyst-ko zwykłym trybem. Snując się jak cień, śla-dem Balbiny, pomiędzy kredensem i garderobą, słuchając gderań ciotki Eufemji, goniąc się po ścieżkach z Adasiem, zapominałam często, że mama taka chora, że leży sama w swoim po-koju. Mijała jedna godzina, dwie... Ani się opatrzyłam, jak zmierzch nadchodził, jak zapala-no światła, jak podawano wieczerzę... Wsta-wałam nazajutrz zdrowa i uśmiechnięta, biegłam do mamy, a ona witała mnie także z uśmiechem na białej twarzy.

W dzień Wszystkich Świętych domownicy udali się gromadnie do kościoła. Nawet ciotka Eufemja pojechała z wiankiem, tak, jak czy-niła rok rocznie od śmierci męża. Zostałam w domu sama z mamą.

— Popraw mi trochę poduszki, kochanie... O, tak. A teraz zmówimy pacierz za tatusia... — ozwała się do mnie.

Mówiłam na głos Anioł Pański, a mama skrzyżowała ręce na piersiach i przymknawszy powieki, poruszała lekko wargami.

Po południu kazała przywołać Emilkę:

— Lepiej mi dzisiaj — rzekła — może naprawdę niedługo wstanę? Kto wie...

Nazajutrz od rana zrobiło się istne piekło w domu. Acan gdzieś przepadł i szukano go wszędzie na próżno. Ciotka Eufemja stuknęła łaską, krzyczała na służbę, wyrzekała na nieporządek w domu i lała każdego, kto nie zdołał w porę zejść jej z oczu.

— Gdzie się też psisko zadziało? Do wody nie wpadł przecie, ani go szczury zagryzły, a na taką rudere niktby się nie zlakomił! — wydziwiała Balbina, drepcąc tam i sam po wszystkich pokojach i zaglądając w każdy kącik.

Podczas obiadu nastrój był mocno ponury. Wszyscy siedzieli w milczeniu, wbijając wzrok w talerze, oczekując jakiegoś wybuchu. Stara dama, wbrew zwyczajowi, milczała również uparcie i tylko od czasu do czasu rzucała niechętnie spojrzenia to na Emilkę, to na ciocię Józję, to wreszcie na jedno z nas, dzieci.

Janusz, który się spóźnił jak zwykle i szybko połykał przestygłą zupę, ozwał się nagle, między jedną a drugą łyżką, niesioną do ust.

— Chyba w konkury gdzie pobiegł! Ha, ha, ha! Co cioteczka na to? Przypomniał wół...

Niefortunny koncept utknął mu w gardle. Ciotka Eufemja zmierzyla Janusza groźnem spojrzeniem:

— Głupie i niesmaczne żarty trzymają się dziś waćpana — rzekła cierpko. — Mój pies tem się różnił od pewnych młodych ludzi, których znam, że nigdy na folwarku przygód nie szukał...

Emilka upuściła widelec i schyliła się, aby go podnieść. Zapanowało przydługie milczenie.

— A co? — podjęła po chwili nieubłagana ciotka — prawda w oczy zakłóła i zadrasnęła delikatne serduszko? Nie wiem, jak tam teraz, bo się nie wtrącam, ale był z twego męża miły gagatek! Pilnuj go lepiej, a na mnie oczu nie wybałuszaj, bo wiem, co mówię!

— Taż, Femciu... — jęknęła pani Rymszyna. — Taż co na ciebie przystąpiło?

— Przystąpiło, że mam was wszystkich po dziurki w nosie, ot! A jak się Acan do wieczora nie znajdzie, to służbę porozpędzam, nowe tu porządki zaprowadzę! Wam się aż oczy śmieją, że pies przepadł... Chętniebyście go w łyżce wody utopili, bo wiecie dobrze, czem on jest dla mnie! A ja wam otwarcie powiadam, że gdybym mogła jemu cały majątek zapisać, to tylebyście po mnie schedy powąchali!

Emilka zerwała się z miejsca i wyszła, trochę za głośno zamykając za sobą drzwi. Za nią od-

dał się Janusz z powagą złożywszy serwetkę i mocno ironiczny ukłon całemu towarzystwu. Balbina westchnęła i przeżegnała się ukradkiem, a my siedzieliśmy jak trusie, nie śmiejąc prawie oddychać, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

— Poco ty, Femciu, wszystkim przykrości mówisz? — zagaiła po wyjściu Janusza pani Rymszyna głosem miodowym — Emilka niezdrowa teraz... Nerwy u niej kiepskie... Ot i niepolitycznie wyszło. A jak im raz, drugi na d o k u c z y wezmą i na stałe wyjadą. Sama potem żałować będziesz!

— Niema strachu, wróć! — burknęła korpulentna dama. — Jak Romaniszki Janusz w karty przepuści, albo i gorzej, wróć na moje podwórko! Do kochanej cioteczki wróć, która pieniążki ma i pewnie im cały majątek zapisze!

— Taki ty racji nie masz! — ciągnęła niezbita z tropu „ciocia Józia”. — Poco te swary w rodzinie, te wymawiania... Acan się przez to nie znajdzie przecież...

Miała specjalny dar doprowadzania swej starej kuzynki do pasji. Już ciotka Eufemja otworzyła usta, by obraźliwą jakąś wyrazić uwagę, gdy do jadalni wpadł, jak bomba, Adaś, wołając, że Acan się znalazł.

Wypatrzył go niedaleko domu pan Dziechciński. Mops nie władał tylnymi łapami i wyglądał nader opłakany. Ciotka Eufemja rzu-

ciła się ratować ulubienica, klnąc, na czym świat stoi, całą służbę dworską.

— Krzyż mu zapewno przełamali polanem jakim! — dowodziła, układając psa na kanapie i próbując palcami, czy grzbiet ma cały. Acan pisnął, a następnie zawarczał, ukazując swoje ohydne, żółte ze starości zębiska.

— Cicho, piesku, — ozwała się doń łagodnie — ja cię wyleczę, biedaku...

— Pójdź, Krysienko, zajrzemy do mamusi... — szepnęła mi na ucho Balbina, korzystając z sytuacji. Wzięła mię za rękę i wyszliśmy cicho z bawialni, zostawiając starą damę w czułem sam na sam z faworytem.

— Mamusiu! Acan się znalazł! — wykrzyknęłam jednym tchem wielką nowinę.

— A jakże, znalazło się psisko. Ale też było, paniuńciu, co słuchać! O mało mię... Chryste Panie! — krzyknęła nagle i podbiegła do łóżka. Mama leżała w zwykłej pozycji, oparta o stos poduszek, ale miała jakiś dziwny, szary cień na twarzy: usta jej raz po raz otwierały się i zamykały, jakby nie mogła powietrza uchwycić. Powieki półprzymknięte drgały co chwila, ukazując źrenice bez blasku.

— Paniuńciu moja... O, Jezu! — jęknęła Balbina, chwytając obie jej ręce, rozrzucone na kółdrze. — Heluśko złota... Ooo...

Nagle, obracając się ku mnie, krzyknęła:

— Leć, Krysiu, zawołaj panią Emilkę, panią starszą, wszystkich. Powiedz, że z mamą źle...

Wpadłam, jak burza, do pokoju Emilki.

— Z mamą źle... — powtórzyłam słowa Balbiny. Emilka cisnęła w kąt ręcznik, którym właśnie przecierała zaczerwienione od płaczu powieki:

— Co ty pleciesz? — szepnęła. — Skąd wiesz?

— Z mamą źle... Balbina przysłała mię tutaj... O, Emilciu, mama usnęła i tak dziwnie chrapie przez sen...

Na progu stanęła Balbina w przekrzywionym fansoniku i nie patrząc wcale w mą stronę, rzekła do Emilki zduszonym, gardłowym głosem:

— To już trzeba zaraz do proboszcza... Natychmiast!

W całym domu wszczął się zamęt. Biegano tam i zpowrotem, szukano jakichś kluczy, wysyłano konie po doktora z miasteczka, a drugą parę po księdza. Ciotka Eufemja rozstała się nawet z mopsem, spowitym w bandażę i przyszała, gderząc: „Zwarjowałeś, Balbino? Skąd tak nagle...” Ale spojrzawszy w twarz mojej mamy urwała wpół zdania i siadła ciężko w fotelu:

— No tak — mruknęła — no, tak...

Już nie pamiętam, co działo się dalej. Tłukłam się po pokojach, po korytarzach, czepia-

łam się sukni Emilki, to znowu ciągnęłam za fartuch Balbinę, która gdzieś biegła, z kluczami od apteczki w rękę.

— At, — krzyknęła na mnie zniecierpliwionym głosem — nie widzisz, że czasu nie mam? Płacze się to pod nogami i tylko przeszkadza!...

Stanęłam, jak wryta. Było to na progu ciemnej bawialni. Zdumiona, oszołomiona niesłychanym postępkim Balbiny, wsunęłam się do tej bawialni i stałam, wsparta plecami o kanapę ciotki Eufemji. Trzęsłam się, jak w febrze. Cały dom rozbrzmiewał odgłosami kroków, stukaniem otwieranych i zamykanych drzwi, lecz bicie mego własnego serca głużyło wszystko. Nawpół przytomnie nadśluchiwałam, co to za turkot słychać przed gankiem. Potem dostrzegłam przez szybę sylwetkę starego proboszcza. Niósł w rękach białe zawiniątko i szybko wszedł do przedpokoju.

W domu wszystko ucichło nagle. Mały dzwoneczek dzwonił „dyń, dyń”, mały srebrny dzwoneczek, o którym wiedziałam, że dzwoni wtedy, gdy ksiądz jedzie z Panem Bogiem do umierających...

W bawialni stawało się coraz ciemniej, prawie czarno. Zaczęłam się nagle bać tej ciemności, tej dziwnej ciszy w domu. Runęłam całym ciałem na poduszki w rogu kanapy i wtuliłam w nie głowę, łkając spazmatycznie. Gdy

wreszcie przyszedł nieco do siebie, w pobliżu uchylonych drzwi słyhać było głośną rozmowę:

— Zawsze to samo! — huczał ksiądz Urbanowicz potężnym swoim głosem. — Szkoda, że jeszcze później po mnie nie przysłało!

— Nie zawracałby głowy ksiądz dobrodziej! Kto mógł przypuszczać, że właśnie dziś... — odpowiadała gniewnie ciotka Klimontowska.

— E, przypuszczać można było oddawna — wtrącił trzeci, nieznajomy głos. — Przecież ona dawno płuc nie ma. Mówiłem...

— Mówiłeś doktor, że powinna umrzeć rok temu, a ona żyła sobie, na złość pańskiej mądrej nauce. Wyglądała dziś rano tak samo, jak przed miesiącem, jeśli nie lepiej, bo od paru dni była rzeźwiejsza. Wy wszyscy lekarze ogromnie mądrzy jesteście, ale ponieważ...

— No no, — mitygował proboszcz zirytowaną jejmość — niestosowna chwila na takie porachunki! Bogu pani podziękuj, że zdążyłem jeszcze chorej udzielić Najświętszych Sakramentów, choć lepiej byłoby, powtarzam, lepiej byłoby odbyć spowiedź, jak należy...

Kroki poczęły się oddalać, głosy przycichły. Usłyszałam w przedpokoju charakterystyczny tupot: to ksiądz Urbanowicz wsuwał buty w wysokie kalosze. Zerwałam się z kanapy i wbiegłam pędem do sieni. Ciotka Eufemja zamykała właśnie drzwi za proboszczem. Wsu-

nęła nieodłączną laskę pod pachę i mocowała się z kluczem, sapiąc przytem, jak lokomotywa.

Skończywszy obróciła się ku mnie i ciężką rękę oparła mi na ramieniu:

— Pójdź pożegnać się z matką — rzekła głosem, jakiego nigdy jeszcze u niej nie słyszałam. — Ostatni czas...



XVI.

W wigilję świętego Marcina spadł pierwszy śnieg. Od wczesnego rana gęste, duże płatki sypały się z ołowianego nieba. Wiatr ustał prawie zupełnie, było cicho, sennie i coraz bardziej biało. Ziemia w skupieniu zdała się witać pierwszych zwiastunów zimy.

Około południa już tylko gdzie niegdzie sterczała grudka zoranej roli; konary drzew drzemały pod śnieżnym płaszczykiem, domy przysiadły, skuliły się pod białą pierzyną dachów, każdy kołek z krzywych opłotków stał dumnie we własnej czapie, nasuniętej głęboko na łeb omszały. Nagle rozdarła się opona chmur: poczęły uciekać, rozpierzchać się bezładnie, jakby w popłochu przed majestatem słońca, które wyrzało przez pierwsze błękitne okienko, najwidoczniej w celu przekonania się, czy świat już dostatecznie wypiękniał.

Jak tu utrzymać dzieci w ciasnej izbie, kiedy za oknem dzieją się takie cuda! Małeństwa z mojego oddziału tęsknie i z tajoną zazdrością patrzyły na gromadkę swych rówieśników, których cały rój wysypał się przed szkołę i literal-

nie tarzał się w śniegu. W mgnieniu oka rzewna historia o stopce Królowej Jadwigi straciła cały swój czar. Ach, wybiec, własnymi stopami ugrzeznąć w miękkiej, iskrzącej bieli — odcisnąć własne ślady grubych, podkutych trzewików na śniegu — oto jakie marzenia czytałam wyraźnie we wszystkich oczach rozbieganych i nieuważnych. Nie miałam serca pozbawić dzieci tej radości, jaką daje pierwszy śnieg. Złożyłam książkę, w której zgąst i poczerniał tak nagle barwny konterfekt miłosiernej królowej i powiedziałam dzieciom:

— Dzisiaj skończymy lekcję wcześniej. Musicie iść do domu, tylko nie popychać się, nie bić, nie przeskakować ławek! Wychodzić po jednemu, spokojnie!

Ot, próżne słowa! Dzieciarnia już się cisnie w sieni, chwytą pośpiesznie swoje chustki i kożuszki. Słychać pisk, tupot nóg o podłogę, wykrzykniki ucieszne, narzekania, sprzeczki, a nawet płacz. To mała Julka rozdarła swój błękitny, „amerykański” szalik o gwóźdź, a teraz znowu Micik nie może znaleźć czapki, więc krzyczy na odchodzących, by poczekał chwilę.

— Kab ciabie chalera! — słyszę zza drzwi popularne życzenie. — Pahladzi, durnyj, taż ana u ciabie na hołowie, Micik!

— Praudu każe... — podziwiał chłopiec, macając głowę obiema dłońmi.

Gwar powoli ustaje. Ktoś szuka jeszcze swojej „wierouki” (sznurka) którą przyniósł w kieszeni kubraka, ktoś inny narzeka, że mu kurtkę na ziemi butami podeptali... Wreszcie tupot ostatniej pary nóg milknie za progiem. Słychać już tylko zdala wesołe pokrzyki, pogwizdywania, nawoływania, śmiech...

Zebrałam i ja swoje manatki, jak mogłam najprędzej... Ej, Krysiu, przyznaj otwarcie! I ciebie, narówni z dziećmi, wygania z izby ten pierwszy śnieg! Prędzej, prędzej do domu na obiad, a potem hen, gdzie oczy poniosą, w dalekie, białe pola...

Służąca burmistrza, puciołowata, rumiana dziewczyna w wiecznie rozdartym na łokciach kaftaniku, ozwała się, stawiając zupę na stole:

— A to, proszę pani, naniósł od rana! Biało i biało!

A prawda! Biało! Chwała Bogu, biało!... Połknęłam porcję zacierek, parząc język. Kawalek mięsa wydał mi się mniej twardy, niż zwykle. A to wszystko sprawiła radość, owa radość bez sensu, że na świecie mroźno i biało, błękitnie i brylantowo od roziskrzonych promieni słonecznych!...

Wsunawszy brodę w kołnierz palta, a ręce w kieszenie, ruszyłam zatem „przed siebie”... Nagie konary stuletnich lip klimontowskich odcinały się mocnym rysunkiem od białej płaszczyzny pola i błękitnego tła nieba. Z głównego

gościńca wiodła wprost ku nim wydeptana już ścieżynka. Poszłam tamtędy. Miękki śnieg nie skrzypi, ale usuwa się lekko z pod stóp... Pierwsza jego warstwa zaczyna zwolna topnieć...

Dziesięć, dwadzieścia minut — i oto jestem u celu. Skrzypnęły przyjaźnie stare, zmurszałe wrota, zapraszając mnie gościnnie do wnętrza parku. Gdzieś, z wysokości, z cienkich gałązek, splełanych w dziwne arabeski, spada co jakiś czas grudka śniegu, rozpyła się w powietrzu, miljonem drobniutkich gwiazdeczek siada mi na ramionach... Idę ostrożnie, by nie otrząsnąć tych diamentowych kryształów. Nadaremnie jednak. Wsiąkają w szorstki materiał wełniany, topnieją z każdą chwilą, nikną...

Przed domem stary Wątek odgarnia śnieg ze schodów. Dostrzegam jego połamaną sylwetkę poprzez bataljon chochołów słomianych, otulających krzewy róż. Zbliżam się do starego i zagaduję:

— Cóż, panie? Pierwszy śnieg mamy?...

— A jest, paniusiu, jest. Chwalić Boga, robotę w ogrodzie skończyliśmy. O, będzie twarda zima, jak się patrzy!

Przez chwilę przyglądałam się w milczeniu grudom śniegu, lecącym z łopaty na dróżkę, przysłuchuję się, jak zgrzyta żelazo o kamienne stopnie, wreszcie zagajam znowu:

— A cóż tu u was słyhać? Dawno nie byłam...

— Widzi mi się, co dawno — przytakuje stary kuternoga, rozprostowując grzbiet i skrobiąc się w głowę nad uchem. — Ano, u nas nic... Po staremu, robota. Dziś to, jutro tamto. Żona w mieszkaniu nagwałt szpary zakleja, co przez nie nocą śniegu nawiało. Rudera wszystko, dziurawe to, jak sito. Jeszcze się na łeb człowiekowi kiedy zawali... Może paniusia wstąpi na chwilę do żony? Rada bardzo będzie...

Rzeczywiście, Wątkowa, stojąc na krześle, zaklejała papierem szczeliny w ramie okiennej, utkane poprzednio pakułami. Duży sagan z kłajstrem stał obok na stole.

— A, to pani! — uradowała się szczerze i poczęła złazić ze stołka, postępując. — Jużśmy dawno paniusi nie widzieli. Myślałabym: chora, ale mi Teoś codzień nowiny o pani ze szkoły przynosi. Co to pani tak dawno nie zajrzała?

— Kawałek drogi, moja pani Wątkowa. Przytem — roboty w szkole dużo... Deszcze... Jakoś tak zeszło.

— Bo też i chlapanina była! Nie daj Boże, jakie tu blocko! Zaraz za ogrodem ugrzęznąć można po pas. Teoś, hej, Teoś! — krzyknęła nagle. — On tu gdzieś był niedaleko, tylko teraz pewnikiem na strychu siedzi... Calutki

dzień na tym strychu się grzebie, proszę paniusi. Żeby pozwolić, nocowałby.

— Cóż on tam robi?

— Kto jego wie? Ot, takie różne szpargały przebiera. Nie brak tam tego. Jak tu we dworze wojska kwaterowali, to wzieni, i powyrzucali wszystko, co im się nie spodobało, na ten strych, w jedną kupę. Papierzyków tam leży różnych, książków, natłuczonego szkła, połamanych mebli... Takie, ot, graty. Raz Teoś stamtąd lampę wyciągnął, wcale jeszcze niczego. O, widzi pani, ta, co tu stoi. Knot dokupiłam w miasteczku, szkiełko — i pali się niezgorzej. Brać, to ja nic z pokoiów nie biorę... Ale ta lampka... Juści, nic nikomu po niej, a nam zawsze trochę poświeci... Teoś! Tee-oś! A chodź-że! Pani przysła!

— Nie wołajcie. Sama go później poszukam. O co to chciałam jeszcze zapytać? — Aha... A o dziedzicach wiadomości żadnej niema?

— Gdzie zaś niema! Właśnie że jest. Był tu administrator Romaniszek w zeszłym tygodniu. Nakrzyczał, nakotłował, nosa wszędzie nawściubiał... Nam to nic, bo to nie jego interes przy domu, a mąż swoje robił i robi. Ale e k u m o n o w i się dostało. To ten administrator miał rzec do kogoś, że się przecie nasze państwo znalazło. Pani dziedziczka cięgiem we Warszawie siedzi, że chora niby. Nieprędko oni tu zjadą... Może i nigdy? Miastowy

musi być człowiek, ten pan Rymsza. Hadwokatuje, czy co? Pani tutejsza, to pani chyba lepiej wie... — zerknęła ku mnie.

— Nie, teraz nie wiem. Oddawna nie wiem nic. Wyczytałem tylko w gazecie, że matka pani Rymszyny, pani Emilja Klimontowska, umarła.

— Ano, nie żyje, wiem. W Rosieji umarła. Będzie ze dwa lata, albo i więcej. Że też jej było trzeba jechać do tej bolszewickiej hołoty... Poco?

— Za mężem pojechała.

— A prawda, słyszeliśmy, jak ludzie opowiadali. My tu niedawno siedzimy w tej okolicy zatraconej. Bo my z mazurów, mówiłam już pani, prawda? Ech, Boże drogi! Nas także wojna zagnała w świat... Poprzerzucało też ludzisków, poprzerzucało! Z jednego końca ziemi w drugi... Że potem ani trafić do rodzinnego kąta! A starszy pan Klimontowski to chyba także w Rosieji zmarł?

— Tak, jeszcze dawniej.

— Oho, namarnowało się narodu przez tę wojnę! W pieskich czasach żyjem, paniusiu złota. Ot, nie przymierzając, tutaj. Dwór, jak się patrzy, budynki... Ziemia, że lepszej nie trzeba. Gdzie u nas kartofle takie? Na piaskach? A tu się wszystko przez pół marnuje. A kto winien? Musi, nasze państwo serca do ziemi nie mają, że ich po świecie nosi. Dwa

majątki, jak złoto... Ale oni w Romaniszkach także mało kiedy nosa pokażą...

— Pan... Rymsza ma swój fach. W mieście mieszkać powinien.

— Et, — machnęła ręką Wątkowa — Kiepski to fach, swojego dobra nie pilnować! Już pani idzie? Bóg zapłać, że pani tu do nas zaszła. I za Teosia mojego Bóg zapłać, za wszystko. Chłopak się strasznie ochotny zrobił do tej nauki, a panią, to już chyba kocha, jak matkę rodzoną...

Wracałam do domu, brnąć w błocie po kostki. Z śnieżnego puchu zostały tylko lśniące kałuże na drogach i gdzieś niegdzie płaty bielejące w polu. Wiatr zaczął dąć od zachodu i napędził ciężkich, deszczowych chmur...

Przemoczyłam obuwie, zziębłam i posmutniałam w tej drodze powrotnej. Miałam takie uczucie, jakgdybym, pragnąc u źródła zgasić pragnienie, napiła się wody mętnej, przestałej... Przesiała mi dusza goryczą wspomnień, uczułam zimną pustkę grobu.

Jak gorzko... Jak gorzko...

XVII.

Moja rozkoszna influenza kwitnie w najlepsze ani myśli mię opuścić. Tego samego dnia, gdy obudziłam się z silną gorączką i dałam znać do szkoły, że przyjść nie mogę, zjawiała się panna Leonka.

— Ajaj! Co pani najlepszego wyrabia! Żeby też chodzić po jakichś wertepach, po błocie, a jeszcze nocą! Ma pani teraz...

Ano, prawda, mam. Kości łamią, w gardle drapie, kaszlę jak owca, a zamiast chustek do nosa zaczęłam chyba używać ręczników... Ot, jakiego piwa nawarzyły mi sentymentalne przechadzki! Ja już chyba nigdy nie zmądrzeję. Mogłam przewidzieć, że przeprawa przez trzy wiorsty błota musi się skończyć katarem... Ach, prawda: śnieg mię upoił! Pierwszy śnieg wywabiał mię z ciepłego pokoju i zawiódł aż do Klimontowiec!

Mam teraz zasłużoną pokutę: leżę już drugi tydzień i mogę pławić się we wspomnieniach od rana do nocy, od nocy do rana. A moje dzieciaki musztruje tymczasem panna Leonka i ten przetowłosy nauczyciel z czwartego od-

działu. Codzień czasem nawet dwa razy dzień nie zabiega do mnie Teoś. Przynosi mi rumiane jabłka, które wydobywa z kieszeni zaplamionej kurteczki i pyta niezmiennie:

— Kiedy pani przyjdzie do szkoły?

Za tem pytaniem kryje się niema prośba i wyrzut: tak mi bez pani źle... Nie mogę wcale zrozumieć, czego tamta nauczycielka żąda ode mnie. Gniewa się, a ja przecież robię co mogę, by wszystko tak umieć, jak inne dzieci...

Tego wszystkiego Teoś nie wypowiada głośno, lecz my się dobrze rozumiemy bez słów. Niedarmo przeżyliśmy wspólnie całe tygodnie ciężkiego mokołu: nauki czytania i pisania. Teraz biedak uśmiecha się do mnie, podając jabłka, przysłane przez babcię i pyta:

— Kiedy pani przyjdzie do szkoły?

— Przyjdę, mój mały, przyjdę na pewno, niech tylko trochę wydobreje. I będziemy znowu pokonywali spiętrzoną górę trudności, narosłą podczas tej przerwy w naukach...

Wręczywszy swój dar, chłopiec jeszcze przez chwilę obraca czapkę w czerwonych piąstkach, wreszcie odzywa się niespodzianie:

— A Marylka Bańcukowa to się dziś, proszę pani, pobiła z Julką!

Przybieram wyraz surowy:

— Choćby cię smażyono w smole, nie mów...

— A kiedy ja nie dlatego, proszę pani... Tylko one się naprawdę pobiły i za włosy ciągały się, aż pani nauczycielka do kąta kazała iść... Obie stały. I ja też stałem, — dorzuca nagle z determinacją.

— I ty także? A za co?

— A bo ja, proszę pani, Marylce język pokazałem...

— Ooo, to bardzo nieładnie. I czemuż to pokazałeś język Marylce?

— A bo, proszę pani... Bo ona jeszcze gorsza, jak Julka. Julka ma złe oczy, ale ona przecież nie winowata, że taka jest. A Marylka to każdemu dokuczy. I teraz Julce dokuczyła, aż się pobiły. Powiedziała, że ja ze wsi wyświecę, bo ona łacistej krowie Wojciulika mleko odebrała, ona, nikt inny... A to właśnie może wcale nieprawda jest! Julka ani tej krowy nie widziała... A Marylka zaraz na nią i jeszcze zaczęła inne dzieci podmawiać, żeby Julkę nabili...

Przemykam oczy i słucham tej paplaniny dziecięcej. Nawet nie próbuję zaprzeczać. Wiem, że to daremny trud. Wieki przesądów, guseł, zabobonów, wypłenić mogą tylko wieki kultury, kropla za kroplą sączonej na twardą opokę głów...

Julka. Staje mi jasno w pamięci jej zgrabna postać, widzę jej warkoczyki, o barwie dojrzalej pszenicy, subtelne rysy i te śliczne, prze-

śliczne oczy. Julka cierpi prześladowanie jedynie za to, że jest skończenie piękna. Tak, właśnie za to. Jej niepowszednia uroda, a zwłaszcza te oczy cudowne, zielone, mieniające się oczy koloru wody morskiej, są powodem ogólnej opinii, która Julkę uznała za czarownicę.

Wmieszana w gromadkę dzieci o czerstwych, rumianych i pospolitych twarzach, jest zjawiskiem niezwykłym i jako takie, budzi nieufność wśród tutejszego ludu. Jej oczy rzadkiej piękności wywołują niepokój: są to oczy uroczone. Baby wiejskie oskarżają to dziecko o siłę nadprzyrodzoną. Wierzą święcie, że zdolna jest „odebrać mleko” krowie, „urzec” drób, że zdycha masowo, ba nawet sprowadzić grad czy suszę...

Sama na własne oczy widziałam kiedyś Julkę, stojącą w wietrzny, ponury dzień przed chatą. Była w jednej sukience i trzęsa się z zimna.

— Czemu tu stoisz? Czemu nie wejdiesz do domu?

— A bo tam „niczelnice” wstawiają w krosna.

— Wstawiają... to i cóż?

— A to, jakby ja popatrzyła, nici się mogą splątać...

Innym razem zawiązuje się Julce oczy, by nie widziała, jak kurę „sadzą na jaja”. Innym

razem każą jej nabrać pełno wody do ust i potem tą wodą splunąć trzy razy w twarz dziecka, na które nieopatrznie „spojrzała”. Ma to być niezawodny środek na odczynienie uroku.

Setki, tysiące podobnych bredni. Nawet jej własna matka, spytana przeze mnie, czy naprawdę wierzy w „nieczystą siłę” dziewczynki, odparła, wzruszając ramionami:

— A kto ją wie, jakie te jej oczy. Może prawda, co ludzie gadają. Pewnie i prawda, boby nie gadali...

Oto najprostsze stanowisko: jeśli gadają, musi w tem coś być. Nieczysta siła — i koniec. Dziewczynka sama przywykła uważać się za niebezpieczną. Przechodząc mimo łąnów dojrzewających, odwraca głowę, bo może zuroczyć zbiory. Idąc do studni, zawsze nabiera w wiadro nieco wody, bo gdyby „ją” z pustemi wiadrami kto spotkał — gotowe nieszczęście... Nawet kołysząc rodzonego braciszka, przymyka powieki, by go przypadkiem nie urzec...

Wszystkie te praktyki wypełnia bez zdziwienia, z doskonałą obojętnością. Być może, sama uważa swoje promienne źrenice za rodzaj upośledzenia, z którym przybyła na świat i które trzeba osłaniać, aby nie szkodzić bliźnim. Znosi to swoje „kalectwo” cierpliwie, nie usiłując zgłębić przyczyn ani buntować się przeciw niemu. Widocznie tak musi być — i koniec.

Dzieciom, które jej dokuczają, odpowiada łagodnie, że przecież ona „nie winowata”. Czasem, gdy jej zbyt mocno dopieka, wpada w gniew i wówczas z cichej, potulnej dziewczynki przemienia się istotnie w małego szatanka. Oczy jej płoną tysiącem ognia, fosforyzują zielono, małe pięści zaciskają się mocno, a różowe, cudowne usteczka miotają groźby:

— Bo ja ci powiem, zobaczysz! Ręce ci uschną i odpadną, jedno oko ci z głowy wypłynie i w oszy (wszy) cię żywcem zjedzą!

W ten sposób okupuje biedactwo swój własny spokój. Dzieci boją się, by ich naprawdę nie przekleła i na pewien czas zaprzestają dokuczliwych żartów.

W szkole jest grzeczna, cicha, uważna. Uczy się bardzo dobrze i robi szybkie postępy. Byłaby dzieckiem przemiłym, gdyby nie małomówność, a raczej mrukowatość, której powodem są owe oczy nieszczęsne, tak, jak są one powodem ustawicznych zajęć w szkole i we wsi. Ot, i dziś: pobiły się z Marylką, „ciągały się” wedle relacji Teosia, za włosy, poszły do kąta i dostały zły stopień za zachowanie, — a wszystko dlatego, że przesłiczne tęczęwki, lśniące, jak drogie kamienie, co chwila zmieniają barwę, zależnie od nieba, koloru sukienki, a nawet od błysku wesela czy cienia smutku, który w nich zagości.

Gdy Teoś skończył opowiadanie o dzisiejszej awanturze z Marylką, biorę go za rękę i przyciągam ku sobie:

— Popatrz-no dobrze, — mówię — przyjrzyj się dobrze: jakie ja mam oczy?

Teoś, zdziwiony, milczy.

— No, popatrz, jakie? Czarne, niebieskie, czy szare?

— Szare.

— Sam widzisz. Teraz są szare, bo i dzień szary. A jak włożę tę bluzkę z krawatem, robią się zupełnie niebieskie. Widzisz. Tak samo i Julka. Jej oczy wcale nie są inne, niż moje i twoje. Są tylko bardzo ładne, dlatego dziwią ludzi. Rozumiesz? Przrzeknij mi, że ty nigdy nie będziesz dokuczał Julce, ani powtarzał takich głupstw, ani wierzył w te wszystkie brednie...

— Nie będę... — mówi Teoś — Ale pani, to zupełnie co innego...

XVIII.

Siedzę wygodnie wśród stosu poduszek; kolana okryte pledem, łokcie oparte na stole. Za oknem prószy śnieg. Teraz — to już prawdziwa śnieżycą. Świata nie widać, tylko chwilami, gdy się na moment rozwieje biała mgła drobniutkich płatków, przebłyśka tu i ówdzie suchy konar drzewa, lub zarys dalekiego domostwa.

W pokoju ciepło, zacisznie. W bielonym piecu potrzaskuje od czasu do czasu wilgotna szczapa drzewa: zasyczy, pryśnie i zadrga poprzez nieszczelne drzwiczki czerwonym płomieniem. Godzina jest szara, prawie szara. Może ta sama właśnie, którą wskazuje milczący zegar...

Ustawiłam go na komódce w ten sposób, by móc dowolnie napaść oczy jego widokiem. Patrzę i patrzę, czas płynie... Mała wskazówka stoi wciąż nieruchomo na rzymskiej czwórce, duża — na rzymskiej dziesiątce. Z wnętrza oszklonej szafki nie dobiega żaden głos. Mechanizm jest popsuty. Bronzowy Chronos, wsparty ramieniem o kulę ziemską, jakimś zastygłym ru-

chem dzierży w prawicy kosę — godło swej władzy — i patrzy przed siebie niewidzącymi oczyma bez źrenic. Surowa twarz starca ma ten sam wyraz kamiennej powagi; tak samo, jak i przed laty ciemna, prawie czarna sylwetka budzi w mem sercu lęk, niemal grozę.

Wpatruję się w milczący zegar z jakąś podświadomą nadzieją, że lada chwila wskazówki drgną, poruszą się naprzód i że niebawem usłyszę cztery głębokie, miarowe uderzenia. Zegar powinien wydzwonić czwartą godzinę.

Gdy dziś, jak zwykle po lekcjach, odwiedził mnie Teoś, nie mogłam zrazu rozeznaczyć, jaki to przedmiot dźwiga ostrożnie w obu rękach. Spory przedmiot, owinięty w kawał grubego płótna.

— A ja to znalazł wczoraj u nas na strychu i przyniósł dla pani! — rzekł Teoś, który przyswoił sobie mowę tutejszych dzieci szybciej, niż naukę czytania.

— Znalazłem, przyniosłem, — poprawiłam z przyzwyczajenia.

— Przyniosłem pokazać. Zegar to jest, ale popsuty. Nie mówiłem nic babci, ba jeszcze wyłaje. Przyniosłem to dla pani. On wcale nie chce iść i tak w nim turkocze, jak potrząsnąć. O, słyszy pani? Na strychu ten zegar naszedł się, w kącie samym, za skrzynią. Czy pani nie gniewa się na mnie?

Słowa nie mogłam wykrztusić. Wargi drżały mi ze wzruszenia, mrugałam śmiesznie powiekami, nie wierząc własnym oczom. Stary zegar! Zegar ciotki Eufemji Klimontowskiej! Ten sam, który tyle lat temu... Ten sam... Zdawało mi się, że oto przyjaciel dawny przybył do mnie, by mi przypomnieć minione dzieje, pogwarzyć o czasach przebrzmiałych. Kazałem Teosiowi zostawić zegar. Może się da naprawić? Zobaczę. Może warto nawet wziąć go do miasta. Zobaczę. Idź już do domu, Teosiu. Zmęczona jestem. Pierwszy raz wstałam z łóżka po chorobie. Wróc znowu jutro, a teraz idź do domu. Dowidzenia.

Po wyjściu chłopca ustawiłam zegar na komódce. Dotykałam każdej skazy w palisandrowych ściankach, wodziłam po nich palcami z uczuciem, że dotykam blizn szanownych. Odemknęłam szafkę i zajrzałam do wnętrza. Nieruchome sprężyny i kółka, nieruchome wahało z wyobrażeniem tarczy słonecznej, zapyłone wnętrze, pełne kłaków, pajęczyn, much wysuszonych — cały ten obraz ruiny wstrząsał mną, napęlał duszę żalem, pobudzał niemal do łez.

Biedny Teosiu, ty nie wiesz, coś przyniósł do mej izdebki! Nie wiesz, że wniosłeś, razem z zepsutym zegarem, całe dzieciństwo moje, całą młodość, wspomnienia smutnych i radosnych godzin, które wydzwaniał ongi... Zniknęła

pustka, za siódme góry uszła samotność moja. Mały pokoik zaroił się od twarzy znajomych, rozebrzmiał dźwiękami umilkłych dawno głosów. Mam znowu dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat... Obrazy zmieniają się szybko, jak w czarodziejskim śnie.

Oto przez pokój przebiega Balbina. Szeroka spódnica o niezliczonych fałdach furkocze za nią. Czarny, koronkowy czepeczek siedzi na bakier. Twarz rozgorączkowana, ruchy gwałtowne. Macha rękoma, jak wiatrak śmigami i woła:

— Adasiu! Adasiu! Czwarta dochodzi! Konie już z a j e c h a l i...

Od strony starej kanapy dobiega cichutkie pochlipywanie. To panna Krystyna, z noskiem czerwonym, jak poziomka, przeciera oczy pięściami i nadaremnie usiłuje powstrzymać potok łez. Adaś, który odjeżdża do szkoły i którego po całym domu szuka właśnie Balbina, pochyła się nade mną i szepcze:

— Nie płacz, ty... płaksol! Cóż to wielkiego znowu, że wyjeżdżam! Przyjadę przecież na święta... A teraz muszę już iść. Ta głupia Balbina lata po całym domu i wrzeszczy, jakby się paliło. A pamiętaj, com ci mówił. I żeby królikom dawać codziennie koniczynę i marchew... To już ty dopilnujesz, prawda?

— Do... dopilnuję...

Chropowate, czerwone ręce Adasia znajdują się nagle na moich ramionach, wpijają się w nie mocno, prawie sprawiają ból. Pocziwe, szafirowe oczy przez chwilę wpatrują się we mnie z bardzo serdecznym wyrazem. Biedny Adaś, widzę to dobrze, sam z całych sił panuje nad wzruszeniem. Po kilku sekundach odzywa się nieswoim, grubszym jakimś głosem:

— No... to już wszystko, co ci miałem do powiedzenia. Będiesz pamiętać? Wybieraj resztę kasztanów, ale tylko same największe. Waćpanią, jak będzie miała kocięta, poić mlekiem cztery razy dziennie... Doglądać kuca... Żeby mi Ela wózka nie popsowała, bobym jej wysypał... I co jeszcze? Tak, to już wszystko. Będziesz pamiętać? Najlepiej powtórz za mną jeszcze raz: Waćpani, wózek, króliki...

— Waćpani... wózek... króliki... — wyliczam drżącym głosem pięcioro Adasiowych przykazań.

— ...i zachodzić do kuca. Dobrze. A teraz już naprawdę dowidzenia. Acha, jeszcze jedno: „Ducha puszczy” wolno ci wziąć z półek, ale pamiętaj, zrób mu okładkę i nie pozaginaj kartek!

— Adaś! Adaś! O Jezusie Nazareński, czy on się w ziemię zapadł? Czwarta godzina, czwarta! A-da-siu!

— Jestem. Czego Balbina tak krzyczy? — mówi Adaś hardo, wysuwając się z cienia na

środek pokoju. — Czy to Balbina jedzie, czy ja? Też robić zaraz taki gwałt Antoni zawsze za wcześniej zaprzęga...

— A, jesteś! Chwała Bogu! Będziesz tu jeszcze rezonował? Bierz czapkę i pakuj się na bryczkę, mądralo! Chcesz całą noc czekać potem na stacji na ranny pociąg? I niech cię Pan Bóg błogosławi, mój ty, kochanieńki...

Dyń... dyń... dyń... dyń... Zdawało mi się, że zegar wybił czwartą. Otwieram zmęczone oczy. Nie. Wskazówki wciąż stoją nieruchomo. Wizja z przeszłości rozviała się. Lecz na jej miejsce natychmiast jawi się inna:

Siedzimy w bawialni. Pokój zalany słońcem. Na wiśniowym drzewku w pobliżu okna siedzą chmarami wróble i wiele czynią hałasu nieustającym ćwierkaniem. Pochylona nad książką, splatam i rozplatom końce długich warkoczy. Udaję, że pilnie czytam, chociaż właściwie nadśluchuję ze drżeniem, czy nie zbliża się odgłos kroków w korytarzu. Cisza. Ciągła ta sama dręcząca cisza...

Ela trzyma w ręku kromeczkę chleba, kruszy ją i rzuca swarliwym ptaszkom przez okno. Nagle obraca się ku mnie i mówi:

— Krysiu... Przecież Zdziś chyba nie umrze, jak Hania? Co, Krysiu?

Nie mogę nawet odpowiedzieć. W gardle mi zaschło zupełnie, żadne słowo przejść nie chce. Moje piętnastoletnie serce, które już

różnych zaznało goryczy i cierpień, kurczy się w nagłym bólu. Ja wiem dokładnie, ja czuję, że Zdziś umrze. Ten mały Zdziś o lnianej czuprynce i turkusowych oczach, skradzionych Januszowi. To śliczne bobo, tak bardzo kochane przez wszystkich. Biedna Emilka!

Ktoś szybko podchodzi do drzwi, uchyla je, zagląda. To właśnie Janusz. Ogorzała piękna jego twarz jest w tej chwili prawie tak popielata, jak ubranie. Śmiejąc się zwykle usta mają wyraz bolesny.

Ela zrywa się z miejsca:

— Tatusiu!

— Tsss... — szepcze Janusz i szybko przy-
myka drzwi. — Nie podchodź, Elu. Nie można.

Dziewczynka spuszcza głowę. Teraz ja zko-
lei podnoszę swoją z nad książki i rzucam
pytanie oczami. Niema odpowiedź jest smutna,
beznadziejnie smutna. Wyraża już tylko bez-
radność i rozpacz.

Jesteśmy odseparowane od całego domu. Wszyscy są tam, przy Zdzisiu, który jeszcze żyje. Raniutko Balbina przekradła się do nas na górę, stanęła w progu i rzekła:

— Lepiej!

A potem w porze obiadowej, gdyśmy sie-
działy we dwie przy dużym, pustym stole, uka-
zała się w oknie otwartym i potrząsnęła głową:

— Znów gorzej... — szepnęła z westchnie-
niem i poszła prędko, śpiesząc się do gospo-

darstwa, jak zwykle. Od tej ostatniej sztafety nie wiemy nic. Ela drepcze na miejscu, przerzuca kartki albumu, dobrze jej znane widoki Krakowa, bębni palcami po stole, gapi się w okno.

— Poczytaj głośno, — mówię. — Nie miałyśmy dziś lekcji.

— Ech, czy to można się uczyć, kiedy Zdzis taki chory. Krysiu?

— Co?

— Czy z szkarlatyny każdy umiera?

— Nie, Elu, nie każdy.

Dziewczynka westchnęła z ulgą.

— Bo ja myślałam... Hania przecież umarła... I na czworakach dwoje dzieci furmana... Jak ci się zdaje, czy my też dostaniemy szkarlatyny?

— Nie... Myślę, że nie... Już przeszło dwa tygodnie, jak Hania zachorowała. A nas w tej chwili przenieśli na górę. To już pewno będziemy zdrowe.

Jak ten czas wolno się wlecze, jak wolno... Wskazówki zegara zdają się wcale nie ruszać. Minuta... Znowu minuta... Boże, Boże...

Znów hałas w korytarzu. Zamieniam się cała w słuch. Ktoś biegnie... Trzaskają jakieś drzwi... I nagle dolatuje z oddali stłumione, a przecież wyraźne szlochanie. Zegar cyknął cichutko przed uderzeniem godziny... „Ah... ah... ah...” płacze Emilka w trzecim po-

koju, a zegar poczyną bić powoli: „Dyń... dyń... dyń... dyń...” i głosy te mieszają się ze sobą, płaczą, tworzą straszliwie smutną symfonię z łez i dzwonów pogrzebnych...

Pierzchl obraz. W pokoju ściemniło się zupełnie. Tylko tarcza zegara majaczy jeszcze niewyraźnie, a nad nią Chronos — Czas, zbrojny swą kosą. Wyteżam wzrok i zdaje mi się, że widzę jego twarz starczą, a na niej wyraz półdrwiący. Surowe wargi mówią:

— Przypomnij sobie. Jeszcze jedną godzinę dzwoniłem w twym życiu. Pamiętasz? Minał dziesiątek lat, a ty nie zapomniałaś...

O, tak. Pamiętam. Dlaczego miałabym kłamać sama przed sobą, że zapomniałam? Lecz wówczas — wiele lat temu — to ty, Chronosie z brązu, skłamałaś przede mną. Twoje spokojne oczy mówiły mi co innego, niż dziś. Mówiły, że wszystko mija, że wszystko, wszystko przemija...

Patrzę na zatrzymany zegar i myślę ze smutnym triumfem: oto wskazówki, znaczące ulatujący czas, stanęły na tej godzinie — na tej właśnie mojej godzinie — której nawet czas nie zdołał zwyciężyć...

XIX.

Skończyły się te moje przymusowe wakacje. Z prawdziwą radością wracam jutro do szkoły, do kochanych dziecisków, do ścian, popstrzonych barwnymi wycinankami i do czarnej, pokierszowanej tablicy, na której miałabym wielką ochotę wypisać ogromnemi literami motto dla samej siebie: „Lećmy — i odtąd nigdy nie niżajmy lotu!”

Bowiem ostatnio zniżyłam mój lot — mój lot życiowy. Przeszło sześć tygodni przetrwałam w jakimś dziwnym półśnie, w odrętwieniu, w zupełnem oderwaniu od realnego życia.

Teraz czuję się, jak rekonwalescent po długotrwałej, ciężkiej i niebezpiecznej chorobie. Trochę mi się w oczach ciemi, trochę niepewnie stawiam kroki, uczę się na nowo chodzić po ziemi, ale — już chodzę.

Ostatnią, najsilniejszą dawkę słodkiej trucizny wspomnień przełknęłam w wieczór wigilijny, spędzony między burmistrzem a jego żoną. Przełamali się ci zacni ludzie ze mną opłatkiem i życzyliśmy sobie wzajemnie wszelkiej pomyślności.

— Oby pani jak najdłużej została tu z nami! — ozwał się mój gospodarz serdecznie, a ja pomyślałam: „Kto wie, czy na przyszłe święta będę tu jeszcze... Wigilijne życzenia tak rzadko spełniają się w życiu...”

Wieczera skończyła się o dziewiątej. Wymówiwszy się zmęczeniem, (co po tak długim cherlaniu było zupełnie zrozumiałe) wróciłam do swego pokoju i tu dałam się całkowicie opętać wspomnieniom. Powrotna ich fala silniejsza była, niż kiedykolwiek. Obrazy przeszłości kłębiły się pod czaszką. Wszystkie „choinki” zajaśniały na nowo, wszystkie święta Bożego Narodzenia przesunęły się przed oczyma we wzorowym ordynku, a spędziłam ich w Klimontowcach niemało. Nie zbrakło i tej ostatniej „gwiazdki”, która wzeszła na niebie mych marzeń właśnie w taki wigilijny wieczór, a choć niebawem miała zagasnąć na zawsze, ta jedna gwiazdka nie zbladła i nie szczylniała w pamięci, jak tyle innych.

Dlaczego nigdy nie wymówiłam głośno imienia Zbigniewa Rymszy od dnia, gdy jednym, olbrzymim wysiłkiem woli wypadło mi przekreślić najpiękniejszą kartę własnej historii? Czyżbym w owej chwili wymazała na zawsze z pamięci to imię najdroższe, jedyne? Z pamięci — nie. Raczej z serca, to wielka różnica. Serce mogło przeboleć, — pamięć zostaje, nawet się czasem zaostrza.

O, jak wyraźnie widzę dziś bezsens owego domniemanego „zwycięstwa!” Chciałam być do ostatnich granic ofiarna, a byłam tylko bezgranicznie naiwna, wierząc wówczas że tak, od jednego zamachu zdeptawszy własne szczęście, stworzę raj na ziemi tym dwojgu: Jemu i Eli.

Stało się i już się nie odstanie. I nie powinienam myśleć o tem. A jednak...

Na te ostatnie święta przyjechaliśmy razem do Klimontowic. Razem! Ile goryczy zawiera dziś to słowo, jakim chłodem i pustką wieje od niego! Wówczas wierzyliśmy, że nic nas nie rozłączy. Stanęła między nami drobna, wątła istota ludzka, która dziecięcym uporem i własną bezradnością złamała nasze święte przysięgi, wydarła cel i radość życia mnie — a może i jemu...

Pamiętam, jechaliśmy do Klimontowic polami. Zawiana śniegiem droga nie była jeszcze przetarta. Jasnowłosy Andruk, który po starym Antonim „stangretował”, oznajmił uroczysto, otulając nam nogi szeroką baranicą:

— Zima — bo jest.

Nie czuliśmy jej, choć sanki skrzypiały, szorując płozami o niepokalane zawały śnieżne, choć para buchała z nozdrzy końskich i z naszych ust, choć nam na brwiach i rzęsach osiadł szron gęsty i biały, a mróz smagał policzki. W sercach czuliśmy wiosnę, tę najjaśniejszą,

która tylko raz w życiu zakwita: wiosną naszej miłości.

Na jakimś zakręcie, (krzyż tam stał, otoczony krzakami głogu, którego owoce krwawiły się jeszcze wśród ciernistych gałązek) Zbigniew mocniej ogarnął mnie ramieniem i spytał z niewypowiedzianą tkliwością w głosie:

— Nie zimno?

Potrząsnęłam głową na znak, że wcale mi nie zimno. Nie mogłam nawet mówić, bo mi w tej chwili szczęście odjęło głos i najmilsze słowa straciło zpowrotem w głąb serca. Ale Zbigniew ozwał się znów po chwili:

— Krysiu?

Obróciłam ku niemu rozpromieniony wzrok.

— Jedziemy! — rzekł.

— O, tak! Jedziemy! — powtórzyłam tę wielką nowinę.

Podróż skończyła się dziwnie prędko. Zdaleka dostrzegliśmy już wszystkich, oczekujących na ganku. Był tam pan Dziechciński, łysy jak kolano i mocno postarzały w ciągu ostatnich lat, była Emilka w narzuconym naprędce kożuszk i „ciocia Józia”, niklejsza jeszcze w swojej czarnej sukni, której nie porzuciła od śmierci Adasia. Wymachiwali w naszą stronę rękami i wołali coś, a gdy sanie stanęły, pan Dziechciński huknął swoim pocztowym basem:

— Jakże tam droga? Bardzo zawiąło?

Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałam na progu domu, do którego tęskniłam przez wiele, wiele miesięcy. Odpowiedziałam ze łzami szczęścia w głosie: „O, zawiało!” i jednocześnie poczęłam ścisnąć Emilkę, całować ręce pani Rymszyny — „Jego” matki — potem ścisnęłam znowu Emilkę, a łzy już na dobre płynęły mi po zmarzniętych policzkach.

Wśród wykrzykników, zapytań i odpowiedzi, krzyżujących się z sobą, wprowadzono nas do jadalni. Śniadanie, jako w dzień wigilijny, było postne i skromne. Do tej chwili nie mogłam zapomnieć, jak z ustami, pełnymi sera musiałam informować ciocię Józję, że moje uczennice są bardzo grzeczne, że nie wszystkie studentki mają obcięte włosy, że Wawel stoi na miejscu, a w teatrze grywają do dziś dnia „Kościuszkę pod Racławicami”, jak wówczas, gdy pani Rymszyna zawiozła swoich chłopców do Krakowa, aby się „nałykali tej ojczyzny kochanej”.

Widząc mą kłopotliwą sytuację, (walczyłam bowiem bohatersko z serem) Zbigniew umyślnie począł dorzucać coraz nowe pytania, tak, że nie mogłam przelknąć dławiącego kęsa; pogroziłam figlarzowi oczami, ale on patrzył na mnie z miną łobuzerską i śmiał się w najlepsze. Wreszcie Emilka przyszła mi z pomocą:

— Poczekajcież trochę! Dajcie jej chociaż śniadanie dokończyć!

W tej samej chwili drzwi się otwały i w progu stanęła Ela. Boże, jakże się zmieniła! Z nijakiego podlotka stała się nagle dorosłą panną! Włosy miała skręcone po bokach w misterne „kukielki”, przeplecione wstążką, suknię prawie do kostek, pantofle na francuskich obcasach. Błada i wąska jej twarzyczka, nazwana ongi przez Adasia „lisim pyszczkiem”, wyciągnęła się jeszcze i wydawała szczuplejsza, może dzięki uczesaniu; czarne oczy patrzyły inteligentnie z pod cienkich, jakby ołówkiem narysowanych brwi.

W tej chwili wyraz jej twarzy znamionował gwałtowną walkę pomiędzy szczerą chęcią rzucenia mi się na szyję a obawą, że taki odruch może być poczytany za dziecinnadę. Wybrała coś pośredniego: podeszła wolno, z namaszczeniem ucałowała mię w oba policzki i rzekła serdecznie:

— Tak się cieszę, że wreszcie przyjechałaś!

Dopiero teraz spostrzegła Zbigniewa, a może udała, że go dopiero zauważyła, gdyż dodała ze zdziwieniem:

— Ach, i pan tu jest! Zapomniałam, że mieliście państwo przyjechać razem.

Słowo „pan” było zaakcentowane bardzo wyraźnie. Podczas nielicznych wakacji, które Zbigniew spędził w Klimontowcach, mówiła zawsze do niego w trzeciej osobie, a on ją prosto nazywał Elą, albo nawet — o zgrozo —

smarkuła! Widocznie teraz Ela chciała zaznaczyć niestosowność tego „tykania” i jednocześnie uprzedzić, że chce być traktowana z całym respektem. Ta scenka tak mię rozbawiła, że przełknawszy wreszcie ser, parsknęłam śmiechem. Zbigniew natomiast odparł z niezmaconą powagą:

— Czy wolno mi na powitanie, po tak długim niewidzeniu, ucałować rączkę „panny Elżbiety”?

Ela zaczerwieniła się. Było jej z tym rumieńcem bardzo „do twarzy”. Wogóle wyglądała zupełnie inaczej, wydawała się prawie ładna. Z czarniawego pączka wyrósł kwiat, może nieco wąty i blady, ale niepozbawiony uroku. Patrząc na nią, na jej ruchy „dystygowane”, na jej usta, rozchylone w dyskretnym, konwencjonalnym uśmiechu, powtarzałam w duszy ze zdumieniem: „I to jest Ela, ta sama Ela, którą lajałam za palce, powalane atramentem i za błędy ortograficzne, jakich nie brakło w dyktandach!”

W kilka miesięcy później przyszło mi pomyśleć z jeszcze większym zdumieniem:

— I to ona, ona jest przyczyną mego nieszczęścia! Ona właśnie...

Tak, właśnie ona. Ta moja droga, mała Ela, dla której tyle miejsca przeznaczyłam w sercu, zdeptała to serce bez wahania, z egoizmem, na jaki tylko rozpieszczony i psuty przez wszystkich dziecko zdobyć się potrafi.

XX.

Na tłusty wtorek otrzymałam zaproszenie od pani Bujakowskiej, żony tutejszego aptekarza. Bardzo różowy, bardzo pachnący konwalia biletik: „Mamy nadzieję, że pani nie odmówi nam i przyjdzie na herbatkę z faworkami. Czekamy między czwartą a piątą pp. Będzie kilka osób znajomych”.

Kilka osób znajomych, byli to naturalnie: panna Leonka, młody nauczyciel z czwartego oddziału, asystujący jej bardzo wyraźnie, siostra proboszcza, kierownik poczty i jeszcze jakiś wyrostek, tytułujący panią Bujakowską rozkosznym zdrobieniem „kuzyneczko”.

Przyszłam o piątej. Całe towarzystwo siedziało już dookoła krągłego stołu, nakrytego przedziwnym obrusem w czerwone i szare kwiatki. Na dużym, nieco wyszczerbionym półmisku złożyły się sławetne faworki, których poważną część unicestwili już zebrani goście przed moim przybyciem.

— Nareszcie! Witam drogą panią! Ciągłemy tu o pani mówili! — wykrzyknęła aptekarzowa, zrywając się z krzesła i śpiesząc z wy-

ciągniętemi rękoma na moje spotkanie. Ten wylew serdeczności natrafił na niespodziewaną przeszkodę w postaci wywróconego krzesła, o które uprzejma gospodyni zawadziła nogą w pośpiechu. Zdarzenie to spowodowało zamęt wśród zebranych. Jedni rzucili się podnosić krzesło, inni śpieszyli z pomocą aptekarzowej, która o mały włos nie utraciła równowagi. Tylko panna Monika, przygłucha siostra proboszcza, nie ruszywszy się z miejsca, wrzasnęła, z ustami pełnymi faworków:

— Wczas pani zjawiła się, boby my to wszystko sami pojedli!

I poczęła sobie nakładać nową, tęgą porcję z półmiska.

— Proszę siadać! Proszę siadać! — rzekła aptekarzowa, ochłonawszy i ucałowawszy mnie dokumentnie w oba policzki. Okazało się jednak, że zaproszenie było trudne do wykonania, gdyż jedyne wolne krzesło, to właśnie, które upadło na ziemię, nadwreżyło sobie w tej przygodzie nogę, wobec czego, po krótkich certytowaniach, jasnowłosy nauczyciel (nazywa się Dąbek) przysunął sobie do stołu prostą drewnianą skrzynkę i wcisnął się pomiędzy mnie, a swoją Dulcyneję, pannę Leonkę, rezygnując nawet z dostępu do przysmaków na stole.

— Doprawdy, aż mi wstyd! — tłumaczyła się pani Bujakowska — z temi naszymi meblami istna kompromitacja! Krzesło mało, a i to

się ciągle łamią. Ale my tu tylko przelotem, więc mówię: niewarto rzeczy sprowadzać na taką poniewierkę. Jak Stasiuńcio dyplom zrobi i dostanie praktykę w większym mieście, wtedy dopiero urządzimy dom, jak się należy! Sprowadzimy wszystko: garnitur salonowy, sympialnię, fortepian... A teraz, ot, aby czemkolwiek kąty zastawić...

I wskazała owe „kąty” istotnie pozostawiane gratami tak szczelnie, że trudno było lawirować w tem wszystkim i nie dziw, iż co chwila ktoś o coś zawadzał i wywraçał z hałasem.

Zasadniczym tematem rozmów aptekarzowej jest przyszły doktorat jej męża, bujający, jak dotąd, w obłokach. Pani Bujakowska pochodzi aż z Nowego Targu, tutaj znalazła się właściwie „przypadkiem” i mieszka tylko „chwilowo”, co każdemu przy każdej sposobności klaruje i przypomina.

— Bo widzi pani, — rzekła mi zaraz po poznaniu (proboszcz nas sobie przedstawił na plebanji) — ja pochodzę z Nowego Targu i mam tam własną willę. Bardzo ładną willę z ogródkiem. A drugą willę mam w Zakopanem, może jeszcze ładniejszą. Jakem się ze Stasiuńciem zaręczyła, radził mi dalej prowadzić pensjonat, ale ja sobie pomyślałam inaczej: Cóż to, mam zawsze się z tym pensjonatem kłopotać? Lepiej odnajmę obie wille, a on niechaj się uczy.

Mąż, naturalnie. Miał być doktorem, właściwie już mu tylko roku brakowało do ukończenia studiów... Powiedziałam mu jeszcze przed ślubem: jak zdasz, Stasiuńciu, egzaminy, to ci podaruję willę, nawet tę w Zakopanem, choć ładniejsza. Podaruję ci ją na własność. Trzeba przecież, żeby doktorem został. Za przyszłego doktora wychodziłam, a nie za farmaceutę... Ale on, ten mój Stasiuńcio — poeta! Wiecznie w obłokach, wiecznie rozmarzony i ja za niego o wszystkim muszę myśleć i pamiętać... Namówiłam go, żeby chociaż, tymczasowo, kursy aptekarskie skończył... Tę apteczkę mu także kupiłam tymczasowo, bo to bardzo niezdrowo dla młodego mężczyzny tak siedzieć bez żadnego zajęcia. Ale jak Stasiuńcio doktorem zostanie, w dużym mieście zamieszkamy, to i meble sprowadzę i gabinet mu urządzę i willę na jego imię przepiszę. Bo co obiecałam to święte. Słyszysz, Stasiuńciu?

Wysoki, chudy jak tyka „Stasiuńcio” ma wielkie, czarne, wylupiąste oczy, śpiczasty nos i nieco za „wyniosłe” czoło. Bujnej swej czupryny, jak mi się zdaje, nie stracił ślęcząc nad książkami, do których nigdy nie czuł zbytniego pociągu. Wówczas, gdy był jeszcze studentem i poznał przyszłą swą połowicę, miał może wyższe aspiracje. W każdym razie szybko skombinował w swoim niewielkim mózdzku, że lepiej żyć beztrudno u boku starszej, do-

świadczonej i rozsądnej niewiasty, właścicielki aż dwóch nieruchomości, — niż brnąć dalej w niepewne jutro, zaciemnione jeszcze mniej pewnym rezultatem ostatnich egzaminów.

Właściwie patrząc na tę parę, powinnabym doznawać raczej przykrego uczucia, gdyby nie dziwna właściwość natury ludzkiej, która w rzeczach politowania godnych widzi często powód do śmiechu. Należałoby współczuć z panią Bujakowską, o dobry dziesięć lat starszą od męża. Ta różnica wieku, po sześciu czy siedmiu latach pożycia małżeńskiego poczyną się uwydatniać coraz jaskrawiej i nie wiem, czy już w najbliższej przyszłości intensywny ruż, — jakim ta podstarzała eks-właścicielka pensjonatu usiłuje podtrzymać swe wiecznie wdzięki, — zdoła utrwalić wierność wiecznego studenta dla jego prawowitej połowicy.

Opowiadała mi panna Leonka (a ta jest a u c o u r a n t wszystkich spraw, nie do niej należących) że Bujakowscy kłócą się często wieczorami i że odgłosy tych sprzeczek aż nadto wyraźnie dobiegają do uszu sąsiedzkich. Tematem sporu są zawsze jakieś bosonogie piękności okoliczne, którym romansowy farmaceuta po znížonej cenie sprzedaje „skrom zajęczy” lub inne „komarowe sadło”.

— Co robiłeś kwadrans po piątej w alei Klimontowskiej? — woła pani aptekarzowa,

a głos jej znakomicie przenika cienkie ściany domowego ogniska. — Widziałam dobrze, Stasiuńciu, że wyszedłeś z apteki razem z tą bezwstydną Bobowikówną, która miała czelność rozpowiadać po sumie, że ją zeszłego piątku pocałowałaś w rękę na pożegnanie! Takiego wycirusa w rękę! I to ja wysłuchiwać muszę, ja, która dla ciebie wyrzekłam się życia bez troski w Nowym Targu, pensjonatu w Zakopanem i własnego ogródka! Odnajęłam to wszystko za psie pieniądze i gniję w takiej podłej dziurze, aby zamknąć gęby znajomym, którzy gadają, że wyszłam za wałkonía i głupca, co nawet uniwersytetu skończyć nie może, tylko się na żoniny fartuszek ogląda!

Słynna wymowa pani aptekarzowej może się w takich dyskusjach rozwijać swobodnie, bowiem „Stasiuńcio” trzyma się taktyki wysłuchiwania w milczeniu wszystkich pod jego adresem skierowanych zarzutów. Po niej jakimś dopiero czasie zdejmuję z wieszadła palto, kapelusz i poczyną sposobić się do wyjścia. Wówczas rozżalona małżonka hamuje wylew wymówek i pyta niespokojnie, znacznie zmoderowanym tonem:

— Dokąd idziesz?

— Napić się piwa u Szlomy, kochanie. Tak mi jakoś w gardle zaschło...

— Zaczekaj! Pójdę razem z tobą na to piwo

— decyduje się szybko pani Bujakowska, bo

cóż ma robić? — Tylko kapelusz włożę. Chyba ci będzie przyjemniej ze mną, niż tłuc się samemu po żydowskich wyszynkach...

W ostatnim zdaniu brzmi już imperatyw. „Stasiuńcio” czeka pokornie, a po krótkiej chwili sąsiedzi mogą obserwować przez okna, jak maszeruje zgodnie z żoną pod rękę, wzdłuż zabłoconej uliczki.

W takiej małej mieścinie domy są jakby ze szkła. Każdy, chcąc nie chcąc, widzi ich wnętrza. Najdrobniejsze zdarzenie roztrząsane jest i komentowane tak długo, zanim wszyscy nie znużą się tematem, a to nie może nastąpić wcześniej, nim nowy jakiś doniosły fakt nie pochłonie uwagi i nie wstrząśnie „opinią” publiczną.

Mówiliśmy właśnie o tem z panną Leonką, wracając z „tłustego wtorku” od Bujakowskich. Panna Leonka spytała, czy może mię odprowadzić do domu, co nie zdziwiło mię zbyt, gdyż powrót w towarzystwie „głuchej, jak pień”, siostry proboszcza, nie należy do atrakcji, zwłaszcza, gdy wiatr dmie w oczy i zapiera oddech; panna Monika lubi zadawać pytania, wymagające odpowiedzi wyczerpujących, które trzeba formułować, przekrzykując wichurę. Moje towarzystwo było tedy jedynym ratunkiem i ostoją.

Stąpając ostrożnie krok za krokiem, (cóż za ohydna ślizgawica wypadła w ten ostatni dzień zapustny!) gawędziłyśmy o tem i owem, jak

zwykle. Panna Leonka, chociaż przybyła tu w miesiąc po mnie, zna wszystkich i wie o wszystkich znacznie więcej, niż ja. Ona też jest moją gazetką informacyjną i powiadamia mię zawsze, kto zachorował, dla kogo leżą na poczcie przesyłki, z kim w niedzielę chodziła na spacer córka felczera i jaką suknię szyje sobie pani aptekarzowa u miejscowej mistrzyni kroju.

— Tak, tutaj trudno mieć swoje prywatne życie — zauważyłam, wysłuchawszy steku nowinek o starych sprzeczkach, kłótniach i awanturkach miłosnych między tą garstką znajomych, której znaczniejszą część pożegnaliśmy przed chwilą u pani aptekarzowej.

— Ot, proszę pani, co tu się dziwić? W wielkiem mieście zupełnie co innego. Ruch, gwar, tyle obcych twarzy. Wyjdiesz na ulicę, pogapisz się na wystawy sklepowe, wstąpisz do cukierni, czy do znajomych, — rozerwiesz się... A tu co? Nawet kina niema. Więc tak sobie ludzie zajmują wolny czas, jak potrafią. Przecież myśleć o czemś trzeba, z czegoś się cieszyć, albo i uśmieć, prawda? Co mię obchodzi, że pani Bujakowska sprowadza aż z Warszawy rozmaite farby do włosów, albo francuskie mastyksy do smarowania twarzy? Ale jak kiedyś umalowała sobie głowę na fioletowo, tośmy się wszyscy śmieli do łez, bo potem musiała biedaczka chodzić z taką fryzurą, a wie-

czorem, to pewnie nakładała czepeczek, żeby „Stasiuńcio” nie zauważył... Hi hi! Nikomu się nie zwierzyła z tej przygody, a przecież wszyscy o tem przez tydzień gadali. Ma pani słuszność: tu wszyscy wszystko wiedzą.

Zamyśliła się, a potem dodała z nutą podziwu w głosie:

— Najmniej to wiedzą o pani. Pani jest jakaś inna. Tak, o pani to nawet ja nic nie wiem.

— Dlaczego? Przecież ja mieszkam w takim samym domku z przezroczystymi ścianami. I nie chowam swojego życia. A że nie sprowadzam z Warszawy barwiczek... Kto wie? Może sobie inaczej radzę? Może niejeden siwy włos wyrwę ukradkiem przy czesaniu? Ha! Każdy ma swoje wady, swoje śmieszności, swoje „słabe struny”!... Mało kto lubi się stażać. I ja także, zapewniam panią, ja tak samo, jak wszyscy...

— Nie — odparła — pani właśnie jest inna, niż wszyscy. Ja panią widzę codziennie w szkole. Widzę, jak pani umie przemawiać do tych smarkaczy. Pani, taka wykształcona, (przecież wszyscy o tem wiedzą) a mówi pani do nich poprostu, że każdy zrozumie. Dzieci panią kochają, bo pani jest bardzo dobra, wyrozumiała dla nich. I ja też panią kocham z całego serca. Wiem, że pani zawsze cierpliwie wysłucha mojej gadaniny i mam do pani dużo

zaufania... Niema rzeczy, z którejbym się nie zwierzyła, nie poprosiła o radę. A z tem wszystkiem pani jest jakby obca wśród nas. Jakby tu pani przyszła na krótką chwilę i miała zaraz odejść, prawie, że bez pożegnania. Ot tak, jak to się człowiek wymyka z tłumu, na dworcu kolejowym, gdzie pełno obcych ludzi i nikt się z nikim nie wita ani nie żegna...

— Wcale nie myślę odjeżdżać stąd, a jeśli mi przyjdzie odjechać, panno Leoniu, uczynię to z żalem i na pewno będzie mi bardzo smutno rozstać się z panią.

Urwała się rozmowa, bo właśnie stanęłyśmy przed domem burmistrza. Zaprosiłam moją młodą koleżankę na szklaneczkę herbaty. Przyjęła zaproszenie z radością i długo jeszcze gawędziłyśmy o sprawach szkolnych, o projektowanym zjeździe nauczycieli powiatowych, o postępach dzieci i wreszcie... o błękitnem spojrzeniu pana Dąbka. Ten ostatni obiekt dostarczył dużo materiału, nietyłe do dyskusji, ile do bardzo szczegółowych rozstrząsań ze strony panny Leonki.

A jednak do późnej nocy rozpamiętywałam to, co wyraziła tak prosto i — tak ogromnie trafnie. Bo ona ma słuszość. Pomimo wszystko, pomimo, że całą duszą staram się żyć z tymi ludźmi — odczuwać to, co oni czują, myśleć tak, jak oni myślą i tak, jak oni żyć — pomi-

mo to jestem i będę dla nich zawsze jakaś inna, prawie obca.

...Tak, jakbym przyszła na chwilę i wkrótce miała iść dalej, — samotny, nikomu nieznaný podróżny, który wszedł cicho do przepełnionej kawiarni, posiedział, ogrzał się trochę, zapłacił za swoją porcję herbaty i wymknął się, przez nikogo niespostrzeżony...

XXI.

Czy to możliwe, że wiosna, prawdziwa wiosna rozgościła się już na dobre?

Wdycham mocną woń pierwszych ziółek, wychylających z ziemi nieśmiało listki patrząc na niebo, rozblękitnione najczystszym lazurem o barwie słodkiej i głębokiej, słucham rozświetlanej czeredy ptactwa, które z dalekich wędrówek całymi chmurami powraca i śpiesznie wije gniazda wśród pólnagich gałązek, — i nie chce mi się wierzyć, że to dopiero połowa marca, że mogą jeszcze przyjść ostre wichury i deszcze, zmieszane z topliwym śniegiem — chłodne dni opamiętania po niewczesnej radości!

Nigdy jeszcze chyba wiosna nie wydała mi się tak upragniona, jak obecnie. Z niepokojem i niedowierzaniem badam jej triumfalny pochód przez skostniałe pola, przez oziminy, pokryte gdzie niegdzie szmatką zbrukanego śniegu, przez wezbrane strumyki leśne i rozległe mokradła łąkowe...

Codzień zrana biegnę do okna, otwieram je naościę, z rozkoszą wciągam w płuca powie-

trze, przepojone ozonem. Przysmykam oczy, by uczuć na powiekach to cudowne dotknięcie słońca, które już grzeje, a jeszcze nie pali. Wczoraj zauważyłam na szybie okiennej dużą czarną muchę. Lazło to po gładkiej powierzchni szkła trochę ociężale, niepewnie, przystając po drodze, rozprostowując zwątlące skrzydełka i próbując nieśmiało pobzykiwać. Wreszcie nabrawszy odwagi, oderwała się od szyby i jęła z głośnem brzęczeniem krążyć pomiędzy czterema ścianami pokoju, w którym przetrwała zimę, odrętwiała i senna, ukryta gdzieś w szczelinie muru, czy między belkami sufitu.

Podobnie i moja odrętwiałość znika z dniem każdym. O, wspaniałe słońce, cudowny tworze boski, który masz tę niespożytą energję odradzania w każdej najlichszej roślinie soków zakrzepłych, wsączasz w nią siłę do życia, pomagasz do jej rozrostu i wydajności! O dobre słońce, najgenjalniejszy lekarzu wszystkich krzywizn ducha i ciała! Jednem ciepłem spojrzeniem przenikasz i ogrzewasz serce człowieka, zabijasz w niem zarazki szkodliwe, osuszasz stęchlą wilgoć jego tkanek, oczyszczasz je i prześwieglasz!

Jak w sukni odświętnej chodzę w upojeniu. Obnoszę moją zmartwychwstałą radość pomiędzy ludźmi, ciesząc się, gdy oni to widzą.

Codziennie po skończonych lekcjach idę na długą przechadzkę, tak długą, jak tylko po

zwalają mi zwątlale siły. Nie mogę jakoś jeszcze odzyskać ich w zupełności po owem ciężkiem zaziębieniu. Są dni, że mówię z trudem, przekłeta chrypka tamuje mi głos, który po pięciu godzinach szkolnych brzmi, jak spekany garnek.

Na owe przechadzki zabieram czasem Teosia, a czasem pannę Leonkę, o ile imć Dąbowski wypadło jakieś ważne zajęcie, odrywające go od narzeczonej. Bo oni już się zaręczyli. Wyznała mi to sama panna Leonka, właśnie na jednej z takich przechadzek. Szliśmy drogą w kierunku Klimontowic, choć tam teraz błocko prawie po kolana. Ale zato zachody słońca niezrównanej piękności, zwłaszcza od strony łąk zatopionych pod wodą.

Stanęliśmy i patrzyły na te mokradła, różowe od ostatnich słonecznych blasków. Dalej widniał już tylko wąski skrawek lasu na horyzoncie, a wyżej — rozpętało się całe morze ognia na niebie. Panna Leonka zadumała się jakoś niesamowicie, wreszcie rzekła:

— Proszę pani... Bo ja już dawno chciałam pani coś powiedzieć... W niedzielę zaręczyłam się z panem Władysławem!

Przymknęłam oczy i odwróciłam głowę od tej orgii barw złoto-amarantowych, by sobie uprzytomnić, że to mój kolega Dąbek ma na imię Władysław i że z nim właśnie zaręczyła się moja koleżanka Eleonora Mrozowiczówna.

— Co słyszę! — rzekłam ze zdumieniem, jakgdyby rzeczywiście ta nowina zaskoczyła mnie zupełnie niespodziewanie.

— A tak, proszę pani! Zaręczyliśmy się w niedzielę, po sumie. To się stało nagle i ja sama...

Przyszło mi na myśl, że tu, w N., wszystkie ważniejsze wydarzenia zachodzą zwykle w niedzielę, po sumie. Po sumie siostra proboszcza sprasza wszystkich na obiad do plebanji. Po sumie madame Bujakowska prezentuje swą nową toaletę na rynku i wzdłuż całej alei Klimontowskiej, po sumie upija się szewc Kazmierowicz i po sumie zabiega do mnie „na minutkę“ Teos z jakąś bardzo ważną nowiną...

Nie zdziwiło mnie też zbyt, że panna Leonia zaręczyła się akurat w niedzielę po sumie. Tak należało. W wielkiem mieście można się zaręczyć w karnawale po balu, albo w poście — po raucie; albo podczas okresu majówek, na promie, na statku i t. d.... Tu, u nas, nabożeństwo niedzielne jest jedyną atrakcją tygodnia. Ludzie przychodzą, aby się pomodlić, ale przy tej sposobności przypatrują się sobie, wymieniają trochę myśli, dzielą się ploteczkami, słowem — niedziela dostarcza im rozrywki.

Spoglądałam na moją pannę Leonkę uważnie. W tej chwili dostrzegam, że jest bardzo ładna, z twarzą, różową od zachodzącego słońca,

z oczyma promiennemi, z tym uśmiechem szczęścia, które najwidoczniej przepełnia jej serce i musi wyladować się nazewnątrz, w jakichś słowach, w jakimś ogromnym wylewie szczerości. Mówię:

— Przyznam się pani, wiedziałam, że to wkrótce nastąpi. I cóż — zadowolona pani?

— Zadowolona? O, ja nie potrafię wypowiedzieć, co się ze mną dzieje od trzech dni! Chce mi się płakać i śmiać na zmianę... Całkiem zdurniałam, proszę pani. Bo myślałam sobie zawsze: lubić, to on mię lubi, może nawet coś więcej... Ale żeby się chciał ze mną ożenić? Cóż ja jestem? Biedna dziewczyna, bez rodziny, bez majątku, tyle, że na ten kawałek chleba zarabiam... A on taki inteligentny! Na uniwersytecie był, proszę pani! On daleko zajdzie, prędko inspektorem zostanie, — zobaczysz pani! Taki młody, a jak go wszędzie „uważają“, jakie on ma uznanie w naszym „Ognisku“! Wie pani, on ma dopiero dwadzieścia cztery lata, sam się do tego przyznał wtedy, w niedzielę...

— Jakże to tam było, panno Leoniu? — pytam, bo widzę, że aż drży z niecierpliwości, aby mi opowiedzieć wszystko, słowo po słowie, aby raz jeszcze przeżyć wzruszenia tamtej niezapomnianej chwili.

— Jak było, proszę pani? Tak jakoś... nadzwyczajnie... Anim się spodziewała! Po su-

mie zaszliśmy do szkoły, bo ja tam zeszyty zostawiłam, co je miałam poprawić na poniedziałek. Wzięłam te zeszyty ze stołu, a on mi je odebrał z rąk i mówi:

— Proszę pozwolić, ja pomogę...

I raptem, ni stąd, ni zowąd, powiada do mnie:

— Jabym tak całe życie te zeszyty za panią nosił... I każdy ciężar radbym pani odebrać... Jabym tak z panią chciał przez całe życie iść razem, jak teraz idziemy na plebanję...

Umilkła panna Leonka i uśmiechnęła się do niedalekich wspomnień. Po chwili dorzuciła, patrząc znowu rozmarzonymi oczyma na wodę, pełną blasków słonecznych:

— I to były całe oświadczyzny, proszę pani, bo potem... już dobrze nie pamiętam... Odpowiedziałam coś, ni w pięć, ni w jedenaście. On znowu o tem życiu wspomniął, we dwoje... I zaraz zaczęliśmy układać sobie, jak to będzie, gdy się pobierzemy. Pan Władysław chce, żebym latem pojechała do jego matki, która mieszka daleko stąd — w Stryju. Z Małopolski pochodzą. A po wakacjach wrócimy tutaj, wynajmiemy sobie mieszkanko, dwa pokoiki z kuchnią, pewnie u Szlomki, bo tam są najładniejsze mieszkania, słoneczne. Ślub weźmiemy tam, w Stryju, żeby matka pana Władysława nie potrzebowała wyjeżdżać. Oj, proszę pani, aż mi się wierzyć nie chce w to wszystko... Kwiecień,

maj, czerwiec, lipiec... We wrześniu już się zacznie szkoła... Oj, proszę pani, czy to możliwe? A ja nawet wyprawy nie mam. Nic, nic... Jak tu teraz szyć? Z czego? Pan Władysław śmieje się ze mnie, powiada, że u matki ma trochę własnych mebli, a resztę, co będzie potrzebna, to się potrochu dokupi... Jaki on dobry! Jaki on kochany, proszę pani! Strach, jaki kochany! I żebym ja choć cośkolwiek miała, chociaż własną szafę na rzeczy! Wszystko to seminarjum zjadło, wszyściutko! Aż mi wstyd, że tak nic nie mam, jak żebraczka jaka!

— Ma pani coś ważniejszego, panno Leoniu. O to serce, które pani wniesie do swego domu, więcej panu Władysławowi chodzić powinno, niż o wszystkie bogactwa świata...

Oj, stara, niepoprawna Krysiu! Gadasz, jak pensjonarka, a dobrze wiesz, jak to bywa na świecie! Dobrze, dobrze wiesz! Na stu najzaczniejszych Dąbków dziewięćdziesięciu dziewczęciu nie oprze się zalotnemu uśmiechowi uwdziicielki — Fortuny. Niechaj dziś zjawi się w N. niebrydka a zamożna panna, któraby nagłym dla pana Władysława zapłonęło afektem, a kto wie, czy i onby się ostał? Serce — to taka drobnostka! To tak niewiele kosztuje pominąć głos serca milczeniem... Może potem, kiedyś, przyjdzie taka chwila, gdy przeszłość nabierze ceny. Wówczas dopiero spostrzegamy,

że serce to było nieocenionym skarbem — i przeto nie potrafiliśmy go docenić...

Niechby ta panna Leonka była szczęśliwa. Niechby się okazało, że jej Dąbek silniejszy jest, niż wszelkie pokusy. Niechby sobie mieli jasny, pełen słońca dom, lnianowłose dzieciaki, sporo trosk, ale i radości dużo w życiu cichem i bardzo własnem...



XXII.

Wiosno, wiosno! Twój przemożny wpływ na serca ludzkie nie jest wymysłem poetów!

Od miesiąca całe N. żyje pod znakiem miłości i jej spraw. Moja Leonia chodzi w aureoli szczęścia, a złoty jego pył przysłania zakochanej dziewczynie świat do tego stopnia, że wogóle świata poza swoim Dąbkim nie widzi.

W moich oczach zakiełkowała i zakwitła ta miłość. Purpurowy jej blask zdołał nawet z tak czerstwych lic zetrzeć rumieńce... Panna Leonka straciła sen i apetyt. Odurzona i senna chodzi po klasie, myli się przy wypisywaniu rachunków na tablicy, popełnia nawet błędy ortograficzne... Podczas pauzy śledzi przez okno zabawy czwartego oddziału (sic!) a jej dzieciaki robią, co chcą, podczas, gdy nauczycielka marzy o niebieskich migdałach pana Dąbka.

Niechby się raz pobrali...

Córka felczera, czarnooka, piękna Chana uwiodła całkowicie duszę i zmysły kierownika poczty. Włóczą po rynku swą gorącą miłość, a roztrzęsione od plotek miasteczko czeka,

rychło-li pocztmistrz zjawi się ze swą semicką pięknoscią w kościele, na sumie.

U państwa Bujakowskich wiosna rozpętała piekło swarów, niesnasek, a nawet — podobno — doszło kilkakrotnie do rękoczynów...

Oto wysmukły „Stasiuńcio” zanadto polubił opłotki przy świetle księżyca, przesianem przez białe od kwiatów korony drzewek wiśniowych. W upodobaniu tem nie byłoby nic gorszego, gdyby nie okoliczność, że te wędrowki niedośzłego doktora rzadko kiedy bywają samotne.

Przewąchała to pani aptekarzowa; wyrażenie w danym wypadku o tyle ściśle, że sylfidy Stasiuńcia istotnie mocno pachną nietylko sianem i chlebem razowym, ale również oborą i tą specyficzną wonią niezbyt często zmienianej odzieży. Jednakże trzeba przyznać, że są urodziwe, dobrze w sobie związane, a lica ich krasi rumieniec zupełnie naturalny, nie zaś — kunsztownie wycieniowany na kościach policzkowych przy pomocy specyfików paryskich...

Z końcem kwietnia począł kochany Stasiuńcio coraz częściej wymykać się z apteki i coraz później wracać do domu, a dziesiątego maja, tak, dziesiątego maja, ściśle o godzinie dziesiątej wieczorem wybuchła awantura jakiej nawet N. oddawna nie pamiętało.

Oto z cierpliwości wyprowadzona pani Flora, (ona ma Flora na imię!) udała się na poszu-

kiwania i znalazła lubego małżonka w sytuacji wcale niedwuznacznej ze służącą miejscowego piekarza. Rozłożysty krzew jaśminu zacierał nieco kontury tego rodzajowego obrazka, ale nie zgłuszył bynajmniej muzykalno-wokalnej części widowiska. Co zaszło dalej, nie wiem — ale przynajmniej połowa ludności, obsiadająca środek rynku, porosły murawą (wieczór był istotnie nadzwyczaj ciepły) mogła stwierdzić zręczność i siłę, przy których pomocy pani aptekarzowa uprowadzała niewiernego Stasiuńca w kierunku domu.

Trzymała go poprostu lewą ręką za kołnierz marynarki, prawą zaś, zbrojną w parasolkę z czerwonej tafty, okładała go rytmicznie i prawidłowo w okolice ciała, leżące poniżej krzyża pacierzowego.

Wśród publiczności zapanowała wesołość. Żydy poczęły cmokać, ktoś zagwizdał popularnego oberka, ktoś inny — zapewne obaj nabrali edukacji w służbie wojskowej — zawtórował z mazurska:

Ona go prała bez tydzień cały,
A on ją tylko przy święcie!

Inni śmieli się głośno, albo rzucali krótkie słowa zachęty:

- To, to! Jeszcze go raz!
- Nie daj się babie!

— Mocniej go, mocniej, pani aptekarzowo! Grubszym końcem bo takich pręcików to ani poczuje!

Traf zrządził że byłam jednym z widzów na rynku, a nazajutrz zupełnie niespodziewanie przypadła mi w udziale rola — powierniczki.

Postanowiłam oto przed rozpoczęciem lekcji kupić cukierki przeciw chrypce, która mi często mówić przeszkadza. Apteka, mimo dość wczesnej godziny była otwarta, ale ujrzałam w niej tylko panią Bujakowską. Otoczona wojskiem słoików i flaszeczek najwidoczniej robiła spis lekarstw, bowiem co chwila, odstawiając jakieś pudełko czy gąsiorek notowała coś na dużym arkuszu papieru.

Wygląd jej był okropny, poprostu opłakany. Widocznie od fatalnego wieczora nie przebrała się nawet, lecz spała w ubraniu. Bluzkę miała pogniecioną i pękniętą na szwie w paru miejscach. Twarz jej, prawie tak samo zmięta, jak suknia, nosiła gdzieś niegdyś ślady pudru i owych „mastyksów“, rozmazanych przez łyzy, a uczernione włosy w rozfryzowanych kosmykach spadały na czoło, żółkłe i poorane brózdami głębokiej troski.

Na mój widok podniosła z nad pulpitu głowę i spojrzała smutnemi, nieprzytomnemi oczami.

— A, to pani... — rzekła po chwili głosem chropawym. — Czem mogę służyć.

Wyjaśniłam cel mojej wizyty, a pani Buja-kowska jęła wśród stosu lekarstw wyszukiwać owych pastylek.

— Ostatnie pudełko, — oznajmiła wreszcie po długiej chwili. — To nawet mąż dla pani sprowadził cały transport w styczniu. Właśnie się kończy. Ostatnie pudełko. Służę pani.

Podawała mi zawiniątko i jęła obliczać resztę z banknotu, który położyłam na ladzie. Nagle przerwała tę ważną czynność, spojrzała na mnie i rzekła:

— I cóż pani powie?

— Ja?

Pokiwała głową kilkakrotnie.

— Wie pani... Zwijamy aptekę. Wyjeżdżamy stąd. Tak, wyjeżdżamy wkrótce.

— Ooo... — zaczęłam, niedobrze wiedząc, co mówić dalej w tej sprawie.

— Tak, proszę pani. Właśnie obliczam wartość pozostałego towaru. W tej chwili nie mamy nawet kupca, ale cóż robić... Ktoś przecież przejmie aptekę, a wyjechać trzeba koniecznie.

Powtórzyła z mocą:

— Koniecznie. Jak najprędzej.

— Co państwa skłoniło, tak niespodzianie...

Popatrzyła na mnie zezem, wzruszając ramionami.

— Pani się pyta! Pani! Przecież pani na pewno była wczoraj na rynku. Wszyscy byli...

Ech, co tu w bawełnę owijać, proszę pani, kiedy wszyscy wiedzą! O, ten Stasiuńcio, ten Stasiuńcio! Co on mi biedy narobił! Ten potwór, ten niewdzięcznik, to nic-dobrego!

Roztkliwiła się. Z oczu spłynęły nowe łzy, torując sobie drogę wśród widocznych obecnie zmarszczek. Nie usiłując powstrzymać tych łez, nie ocierając ich nawet, zaczęła nagle długie, bezładne opowiadanie, płacząc lata i fakty, zatracając o przeszłość zamierzczył, to znów wracając do ostatnich wypadków, do ostatniej karty swego dramatu. Z tej kupy gorączkowo ciskanych zdań, odbudowałam sobie bez trudu nędzną, och, jakże nędzną historję jej miłości i małżeństwa.

Poznali się w Zakopanem. Podobał jej się odrazu, jak to mówią, od pierwszego wejrzenia. Taki był wtedy ładny, z temi czarnemi oczami, z ciemną, gęstą czupryną... „Istny cherubin, proszę pani!” Chodzili razem na wycieczki, całem towarzystwem. Niedaleko, ale zawsze — w góry. Rozmawiali niedużo. On nigdy nie był rozmowny, ale często w „trudnych przejściach” podawał jej ramię. Był dla niej bardzo uprzejmy, nawet więcej, niż wobec innych pań. Parę razy sam zachodził po nią, żeby się nie spóźniła na „zbiórkę”. Zabierał do swego plecaka jej żywność, przytracał do swoich rzeczy jej pled... Czasem nawet próbował powiedzieć jej komplement: „Dobrze pani w różo-

wem" — zauważył raz w cukierni. Odtąd starała się nosić różowe suknie. Nawet, idąc na wycieczkę, przypinała do bluzki różowy krawacik, żeby było tak, jak on lubi.

Kiedyś — poszli na Nosal. „Maleńka górka, ale jednak niebezpieczna, proszę pani, bo tam pełno zwietrzałych skał”. Właśnie na takie skały zapędziła się za szarotką. Poskoczył ku niej, odciągnął od niebezpiecznej krawędzi... Trzymał ją przez dobrą chwilę w objęciach, nie mogąc wymówić słowa — ze wzruszenia. Wreszcie zaczął powtarzać:

— Co pani robi! Co pani robi!

Najmniej z dziesięć osób widziało tę scenę. Widzieli, jak ją trzymał w ramionach i niepotrzebnie przyciskał do siebie. A potem pomógł jej zejść i nie puścił jej ręki, dopóki nie zeszli ze skał i nie znaleźli się na gładkiej jak stół drodze. Od czasu do czasu mówił z wyrzutem:

— Jak można być tak nieostrożną! Ta skała mogła się oberwać! Czy pani zdaje sobie sprawę? Ta skała mogła się oberwać — razem z panią!

Doszli do jakiejś cukierni... Do Karpowicza, zdaje się. Ach, tak, naturalnie, do Karpowicza, Stasiuńcio, (wówczas jeszcze „pan Buja-kowski”) zaproponował, aby po tych emocjach napić się czegoś chłodnego. Pili mazagran przez słomkę. Wówczas to właśnie dostrzegła

nad bufetem z ciastkami ów napis: „Ciastko dotknięte uważa się za nabyte”.

— Pokazałam mu w milczeniu ten napis — ciągnęła aptekarzowa z przejęciem — i on zrozumiał, co to znaczy. Zrozumiał — i natychmiast oświadczył się o moją rękę. Nie czekał nawet, aż skończę mazagran.

Tak się zaczęło. Potem miała dużo przykrości, przede wszystkim z własną rodziną. Chórem zakrzyczeli ją wszyscy, że zwarzowała. Nie mówiąc już o różnicy lat — takie małżeństwo! On goły, niedouczek, niewiedomo, kiedy skończy tę swoją medycynę — i czy ją wogóle skończy. Żeni się na pewno dla pieniędzy. Wymawiali jej obie wille: w Zakopanem i w Nowym Targu. Przekładali, że ten gagatek tylko na jej majątek dźbycie, aby sobie móc żyć wygodnie; że to skończony dureń, ale i spryciarz, oho ho!... Gadali Bóg wie co. Zatknęła na to uszy. Uwielbiała bez miary swego Stasiuńcia, na złość rodzinie oświadczyła, że mu obie wille w intercyzie, przed ślubem, zapisze. Ledwie jej wyperswadowali.

Mieli słuszość, zapewne, mieli słuszość we wszystkim. Ona sama rozumiała już, że Stasiuńcioby jej tak bardzo nie kochał, gdyby nie owe dwie wille i „ta trocha gotówki w banku...”

Namawiała go, prosiła, aby zdał egzaminy, aby pokazał wszystkim, że to potrafi. Wykre-

cał się sianem przez pięć lat. Obiecywała mu prezenty, pieniądze, obiecała mu podróż do Włoch... Przyrzekła, że mu zapisze jedną willę na własność... Nanic. Wolał grać w bilard i grał w bilard po ośm godzin dziennie. Musiała sama chodzić i wyciągać go z knajpy. A potem — zaczęło się jeszcze gorzej. Zaczęły się spódniczki. Co miała robić? Dobrocią nie wskórała nic, chwyciła się awantur. Robiła mu piekielne sceny o każde „oko” na ulicy, o każdy ukłon, złożony kobiecie, której nie znała osobiście.

Milczał. Wszystko to znosił w milczeniu, obojętnie. Tylko czasem, kiedy mu czyniła zbyt gorzkie wymówki, przeklinając dzień ich poznania, zaręczyn i ślubu, odpowiadał z flegmą:

— Samaś sobie winna. Poco było pokazywać ten napis o ciastkach. Nigdybym się nie oświadczył. Do głowyby mi nie przyszło oświadczać się starej pannie.

— Jakto? Więc nie kochałeś mię ani trochę? Nawet wtedy?

— Owszem, kochałem cię... Zapewne, że cię kochałem, ale żeby znowu aż tak...

— Ale mię teraz nie kochasz! Nie kochasz swojej żony, która wstyd znosi przez ciebie, na twoje utrzymanie łoży, jakbyś był niedołęgą, kaleką! Było się z tobą cackać, chuchać i dmuchać, wałkoniu!

— Ależ, kto ci mówił, kochanie, że cię nie kocham? To chyba złe języki ludzkie? Muszę cię kochać, skoro nie uciekłem od ciebie, gdzie pieprz rośnie! — zapewniał rozbrajający „Stasiuńcio”.

— Siedem lat! Siedem lat, proszę pani! — kończyła aptekarzowa, ocierając wkońcu łzy razem z resztkami bielidła. — Kupiłam mu tę aptekę, wywiozłam z miasta... Myślałam: usatkuje się wreszcie, zrozumie, że przecież mężczyzna musi być czemś... Bo on na pewno ma zdolności, choć mu i tego odmawiają... I widzi pani, jak to się usatkowało! Zabrakło aktorek i pensjonarek z Plantów, to sobie i tu nawet marcepany wynalazł! Dziewki od gnoju! Chamskie dziewuchy! Z niemi baraszkował po kątach, a ja w aptecę godzinami siedziałam, jak głupia, boby ludzie wydziwiali, że ciągle zamknięte... Teraz wyjeżdżam. Zabiorę go do Warszawy. Powiedziałam mu: albo-albo. Albo, Stasiuńciu, zdasz egzamin i zostaniesz porządnym człowiekiem, albo też...

Urwała i machnęła ręką, a w geście tym była cała determinacja nieszczęśliwej kobiety, która kocha, sama nie będąc kochaną, cierpi nad tem i męczy się, a jednak nie ma dość sił, by sobie raz, mocno powiedzieć: albo — albo.

XXIII.

Na uroczystość zamknięcia roku przybył inspektor powiatowy, proboszcz i kilku okolicznych obywateli, którzy należą do dozoru szkolnego. Urządziliśmy coś w rodzaju egzaminu, coś w rodzaju popisu. Dzieciarnia, wypucowana i ubrana odświętnie, zachowywała się wzorowo.

Dopiero w tym dniu uwydatniła się wyraźnie zmiana, jaka zaszła w dzieciach, zwłaszcza z pierwszego oddziału. Moje kochane dzieciaki! Miałam ochotę wyściskać je, wycłować, takie były uważne, grzeczne, tak inteligentnie i ze skupieniem odpowiadały na zadawane pytania. Nie patrzą już dziś z podębą, nie gapią się na obcych, nie pociągają tak głośno nosem i mają prawie zawsze dość czyste ręce i uszy, chociaż w ostatnich czasach daleko rzadziej urządzałam przegląd krótko ostrzyżonych głów i szorstkich łapiąt.

Mój Teoś w czystej nowej kurteczce z domowego płótna wyglądał okazale. Opowiedział bardzo ładną historję o bocianach, które nie mogąc wynieść swoich małych z palącej się

wioski, spłonęły razem z niemi na gnieździe; poczem, zachęcony mojem spojrzeniem, wystąpił śmiało na środek klasy i narysował na tablicy bociana z bardzo, bardzo długim dziobem i bardzo, bardzo wielką żabą w tymże dziobie.

A potem dzieci śpiewały chórem. Śpiewały piosenkę o zimie, co to jest taka zła: „Szczypie w nosy, szczypie w uszy, ostrym śniegiem w oczy prószy” i piosenkę o chrabąszczu w mocnym pancerzu i wiele, wiele innych. Gdy wreszcie program się skończył, inspektor zaproponował:

— A teraz zaśpiewajcie, co same chcecie!

Naradzały się przez dłuższą chwilę, szeptały, zbite w gromadkę, wreszcie jakiś głosik zaczął nieśmiało, przeciągle, wedle tutejszej mody:

Gdzieś ty bywał,
Czarny baranie?
We młynie, we młynie
Mościwy panie...

I naraz wszystko trzydziścioro podchwyciło melodję. Popłynął zgodny chór:

Cóżeś tam robił,
Czarny baranie?
Meł mączki na pączki,
Mościwy panie...

Cóżeś tam jadał,
Czarny baranie?
Kluseczki z miseczki
Mościwy panie!

A gdy przyszło do słów „Kto ciebie bijał, czarny baranie, sam młynarz, sam młynarz, mościwy panie” — dzieciarnia rozswawoliła się na dobre:

Jakeś ty płakał,

Czarny baranie?

Meee... Meee...

Mościwy panie...

Cały pokój zamienił się w jedną wielką owczarnię. Najgłośniej „meczal” Teoś, uszczęśliwiony, że może jakoś wyładować swą radość.

Poprzedniego dnia oznajmiłam jego babce, że chłopiec przeszedł do drugiego oddziału. Dziękowała mi ze łzami, jakby to moja była zasługa, że wnuczek nie zrobił jej wstydu. Nikt tutaj nie ceni tak szkoły, jak stara Wątkowa. Baby wiejskie naogół posyłają dzieci na naukę, bo taki jest „przykaz” od rządu i można karę zapłacić. Jeszcze dopóki trwały zimna, dzieciarnia chodziła regularnie, ale z nadejściem cieplejszych dni, a zwłaszcza z chwilą, gdy bydło ruszyło w pole — skończyła się ta pilność. Kto będzie krowy i świnię pasał? Kto będzie ojcu pomagał? Tłumaczyły się wszystkie gospodynie.

Nie pomogą perswazje, zapisywanie dzieci nieobecnych, nie pomogą nawet kary, wyznaczane przez wójta. Chłopak w domu potrzebny — i tyle. Dziewczyna musi gęsi pilnować — i kwita.

Jedna tylko Wątkowa stale i pilnie baczyła, aby jej Teoś uczył się jak najwięcej. Kazała mu codziennie w domu czytać z elementarza i słuchała uważnie z zamkniętymi oczami dziecinnych powiastek. Ona sama nie umie czytać zupełnie. Ma wprawdzie książkę do nabożeństwa, a w niej kilka obrazkami pozakładanych stronic, gdzie się znajdują modlitwy, które od dzieciństwa umiała napamięć. A teraz — wnuczek potrafi wyczytać i z tej książki... Trochę mętnie, trochę koślawo, ale przecież przesyłabizował modlitwę św. Bernarda! Na przyszły rok potrafi daleko więcej, a później po skończeniu szkoły powszechnej wstąpi do seminarjum.

— Dałby Bóg chociaż tej chwili doczekać, — rzekła mi z cichem westchnieniem babina, która ma przeszło sześćdziesiąt lat i nietego się czuje. Coś jej tam ciągle w boku dolega, w „dolku” ją gniecie. Starość.

— Tylko tego Teosia na świecie mamy — powiada nieraz do mnie — niechby Bóg pozwolił doczekać, aż na ludzi wyjdzie...

Była i na popisie stara Wątkowa. Czekała w sieniach, dopóki nie nadbiegł wnuczek rozpromieniony, z oczyma iskrzącymi, dumny z siebie — i słusznie. Rzucił się babce na szyję i opowiadał bezładnie o bocianie, o swoich rysunkowych popisach i o tem, jak to on „meczal” najgłośniej ze wszystkich!

Po ostatniej godzinie lekcji zaszliśmy na plebanję. Proboszcz poprosił całe „ciało nauczycielskie” na skromną przekąskę. Ta przekąska składała się z mnóstwa specjałów, które słynnie przyrządza panna Monika. Leonka Mrozowiczówna, jako poniekąd „domowa”, pomagała jej rozstawiać półmiski z pięknie nakrajanem mięsiwem i szklane miseczki, pełne najrozmaitszych sałatek.

Toczyła się dość ożywiona rozmowa, przeważnie na temat rozpoczętych wakacji. Ten jechał do rodziny, ów do dalszych krewnych, lub dobrych znajomych. Panna Leonia przysiadła się do mnie i szepnęła z roziskrzonymi szczęściem oczami:

— Jutro wyruszamy do tego Stryja... Wie pani, to bardzo daleko. Nigdy jeszcze nie byłam w Małopolsce... Tak się cieszę! Władzio (— powiedziała z dumą: Władzio —) odwiezie mnie, spędzi tam kilka dni, a potem pojedzie na kursy. On ciągle, ciągle się uczy, proszę pani! A ja zostanę u jego matki, aż do...

Urwała ze wzruszenia i dokończyła jeszcze ciszej, uroczyście:

— Aż do dnia ślubu.

Poszukała swojego kochanego Władzia wzrokiem i nie mogła go już oderwać od tej jasnej czupryny i oczu, które są „zupełnie, jak dwie smugi niebieskie” prawda, proszę pani?...

Jednakże w chwilę później znów się zwróciła do mnie:

— A pani kochana dokąd wyjedzie?

— Ja?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Dotychczas nie pomyślałam o sobie, o tych moich „wakacjach”. Nikt mnie nie oczekuje, na całym świecie niema chyba istoty, któraby pamiętała o mnie. Pomyślałam: jest takie jedno miejsce na świecie, gdzie może czekają na mnie — to cmentarz Klimontowski. Tak, tam na pewno czeka mnie droga mama, a może także i ciotka Eufemja. Stara dama niecierpliwi się pewnie i zżyma w swojej obszernej trumnie dębowej... Zastukałaby laską, gdyby ją miała pod ręką i burknęłaby gniewnie:

— A, to ty? Nareszcie! Długo trzeba było czekać, aż sobie o nas przypomnisz! Chodź-że, nie marudź dłużej! Zawsze marudna byłaś, moja panno...

Jak wyraźnie zabrzmiał mi w uszach gniewny chrapliwy głos... Jak słodko byłoby usłyszeć ten głos na prawdę, raz jeszcze dostać burę, jak mała dziewczynka i pocałować ze skruczą stare, kochane ręce, ostatnie ręce, które mnie ongi, przed laty, błogosławiły na drogę w świat...

Nie omyliłaś się, zacna staruszko, wyrażając powątpiewanie o moich zdolnościach życiowych, wtedy, przed laty. Rzekłaś wówczas:

— Trzymaj się, Krysiu, trzymaj się, bo ty masz serce z wosku, a ręce z ciasta... Mazgaj z ciebie, jednym słowem, a z tem między ludźmi niewiele wskórasz...

No — i stało się tak. Odbierano mi — po kolei — co kto zapragnął: miłość, pieniądze... Nawet pieniądze. Nawet — miłość... Pozwoliłam wydierać sobie wszystko bez protestu, a jeśli nawet buntowałam się, to tylko wewnętrznie, tak cicho, że nikt nie słyszał...

A teraz — mam blisko trzydzieści siedem lat i jedyne go przyjaciela: stary, popsuty zegar z Klimontowiec. Z nim rozmawiam o młodości „górnjej i chmurnej”, gdy samotność za nadto zacięży na sercu.

Spojrzałam na zegar, wiszący w jadalni proboszcza. Dochodzi czwarta. Spojrzałam na pannę Leonkę: przyglądała mi się ze zdumieniem...

— Przepraszam... Pani pytała o coś?... Nie dosłyszałam... Zamyśliłam się nagle, niewiedzieć o czem. Pytała pani, czy stąd wyjadę na wakacje? O to pani pytała?

— Tak.

— Zostanę tutaj.

— Zostanie pani w takiej dziurze? Ależ to się można na śmierć zanudzić, proszę pani! Zwłaszcza teraz, kiedy się wszyscy porozjeżdżają... Co też pani mówił

— A jednak nie wyjadę. Już kiedyś tłumaczyłam pani, droga panno Leoniu, że ja ogromnie lubię te strony. Będę sobie chodziła do lasu, na łąki... Wypocznę... A że zostanę sama, jak palec, więc z konieczności odbędę kurację milczącą. To mi nawet doktor zalecił, ze względu na struny głosowe.

Śmiałam się z jej miny niedowierzającej, zdumionej. Kręciła głową, jak wróbel, wreszcie rzekła:

— Ja się pani dziwię i nadziwić się nie mogę... Przesiedzieć tu dobrowolnie blisko trzy miesiące... Trzy miesiące!

— O, miną szybko! A na jesieni powitam panią, panno Leonko, z chlebem i solą, na progu waszego mieszkanka...

Pochyliła się ku mnie i nie zważając na wszystkich obecnych, ucałowała bardzo serdecznie w oba policzki:

— Strasznie, strasznie panią kocham... — rzekła. — Chociaż nie wiem nawet, czy wzajemnie. Pani jest dobra. Napiszę do pani, można? Przyszłę pani pocztówkę... I zawiadomię panią o dniu ślubu. Panią najpierwszą...

XXIV.

Przeszło ćwierć wieku temu doszliśmy do przekonania z Adasiem, że las klimontowski jest wyjątkowo piękny, wyjątkowo tajemniczy, wogóle wyjątkowy i że takiego drugiego lasu nietylko w okolicy, ale nawet i na całym świecie nie znajdzie.

Rzeczywiście, był to wspaniały las. Mówię „był”, ponieważ nielitościwa dłoń człowieka, który wszystko na brzęczącą monetę oblicza, kalkuluje i do swych pojęć o pożytku nagina — przetrzebiła ten las, skazując najpiękniejsze okazy wiekowych drzew na śmierć.

Janusz Klimontowski dowodził, że racjonalne prowadzenie lasu wymaga przede wszystkim odpowiedniego wyrębu, że zbyt stare drzewa nie dają przyrostu, że należy je bezwzględnie usuwać, aby nie tamowały rozrostu młodniaka, nie zabierały mu światła, etc... etc...

W myśl tak słusznych racyj wycięto kilkaset przepięknych sztuk, pamiętających zapewne Polskę od morza do morza.

Nigdy nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że troskę Janusza o młode pokolenie drzew wzmocniła bardzo konieczność stawiania nowych budynków na folwarku, oraz wyrównania budżetu w jakiś wybitnie nieurodzajny rok. Z góry przesądzony wyrok śmierci został więc umotywowany bardzo fachowo, bez wykroczeń przeciw nieubłaganej logice, że w gospodarstwie rolnem wszystko musi być użyteczne i dawać odpowiedni przychód.

Tak poszła klimontowskiego lasu część wschodnia. Wyznaczono szerokie trasy przełębów i bujny, soczysty mech, który nigdy słońca nie widział, nawet w najskwarniejszy dzień lipcowy, począł schnąć w palących promieniach, miotanych nań pod kątem trzydziestym piątym.

A potem przyszła wojna. Już bez planu i bez racjonalnych motywów wędrowały olbrzymie świerki i grube, proste, jak świeca, sosny do okopów; wędrowały także do okolicznych wiosek, bo ktoby tam w światowej zawierusze robił gwałt o kilka sążni drzewa, wywiezionego potajemnie małemi, chłopskimi wózkami w ciemną, choć oko wykol, noc...

Zmarniał las. Tam, gdzie jeszcze za moich dziecięcych lat istniał gąszcz nieprzebyty, czał się mrok wilgotny, a powietrze przesyciła duszna woń igliwia i gnijących na ziemi liści, szczerzą zęby spróchniałe pnie na polanach,

po których wiatr hula swobodnie. A jednak i dziś jeszcze las jest przepiękny, tajemniczy, pełen woni paproci, wilgoci mchów i drgający od głosów przeróżnych ptactwa dzikiego, które zrzadka tylko wysledzić można, a zawsze się słyszy i rozpoznaje szmery przedziwne, pogwizdywania i trele tych niewidzialnych mieszkańców.

Ktoby twierdził, że paprocie nie mają żadnej woni, myli się, nie zna ich zbliżka, nie wtulił nigdy twarzy w ich chłodne, strzępate listeczki. Paprocie pachną cudownie: pachną ziemią i mchem, poziomkami, pachną całym lasem.

Wśród tych paproci i mchów, w najdalszych zakątkach, zdala od sieci wydeptanych ludzką stopą ścieżynek, to znowu na polanach, zalanych słońcem, z trawą krótką i suchą, z pokładem sypkiego igliwia sosen, — spędzam już trzeci tydzień.

Budzi mię codziennie inny świt: jaskrawoczerwony, amarantowy, lub blado liljowy. Biegnę do okna, patrzę na czyste niebo, lub widząc niewinne chmurki wmawiam w siebie, że deszczu nie będzie. Ubieram się z pośpiechem, przełykam dzbanuszek mleka, przygotowany zawczasu, chwytam pierwszą lepszą książkę i śpieszę przekonać się, czy dziś jest również uroczyste święto w królestwie sosen i świerków tak, jak było wczoraj, jak będzie zapewne i jutro.

Do lasu mam przeszło dwie wiorsty od ostatniej, wpadłej w ziemię siedziby ludzkiej. Idę naprzelaj, polami, aby nie tracić drogiego czasu. Zdaleka już witają mię przyjaciele moi przeciągłym szumem, albo milczącą powagą nieruchomych wierzchołków. Wciągam w płuca tęgą woń młodego igliwia. Giętkie, kolące gałązki opryskują mi twarz nieskalanemi, kryształowemi kroplami rosy... Tu jakiś pajak, widocznie wcześniejszy ptaszek ode mnie, rozsnuł pomiędzy dwoma świerczkami siatkę misterną, tam znowu wyrosło, jak z pod ziemi, potężne mrowisko. Przysięgłabym, że go wczoraj w tem miejscu nie było. Czasem przemknę przez gęstwinę zapóźniony zajęć, który noc całą zerował na pobliskim owsie, czasem podniosę z ziemi kilka zbitych w kłak piórek, znak nieomyślny, że wrzała tu niedawno zażarta, może śmiertelna walka o byt...

A potem, zwolna, las poczyną przesiewać przez gmatwaninę gałęzi blado-żółte promienie. Tańczą na stożkowatych czubach świerkowych, wślizgują się po fioletowej korze sosen w najtajniejszą głąb, w mroczne serce olbrzyma i las poczyną ożywiać się, płonać, otrząsać ostatnie lży sennej zadumy. Pojedyncze głosy ptaszące łączą się w chóry; całe kapele, ukryte w zielonych altankach, dzwonią i brzęczą, a dziecióły, przylepione do pni w pozycji pionowej, wystukują poważnie do taktu.

Leżę we mchu, zaplótłszy dłonie nad głową, a przyniesiona książka świeci opodal fałszywą bielą szczelnie zadrukowanych kartek.

Leżę we mchu i myślę: o ileż piękniejsza jest ziemia od wszystkiego, co o niej kiedykolwiek pisano... O ileż mądrzejsze jest piękno od wszelkich na ten temat dyskusyj...

Tam, gdzieś, daleko poza mną, istnieje teraźniejszość i przeszłość, istnieje czas, szkaradnie pokratkowany przez ludzi na dni, miesiące i lata. Tu — wszystko jest ruchem w nieruchomości swojej, ciszą dźwięczącą, a minut wcale nie ma. Są całe wieki zapomnienia i momenty myśli, ogarniającej wieczność.

Trwam w zachwyceniu, w bezruchu, starając się nie myśleć, a tylko czuć w sobie tętno życia. Nareszcie, nareszcie znam pełną harmonję: słyszę uderzenia własnego serca jako jeden jeszcze nikły ton w tej wielkiej, symfonicznej orkiestrze tonów.

A czasem, znienacka, któreś z drzew jęknie cicho, gałęźmi jego wstrząśnięcie dreszcz... Wówczas i mnie przenika na chwilę dreszcz grozy, albo trwogi, lub tylko żalu, że coś zmało ciśnięte wkoło mnie. Tedy, zbudziwszy się z półodrętwienia, zaczynam snuć wątle niteczki wspomnień. Rozwieszam je w powietrzu, jak ów pajak o świcie i czekam, aż lichy owad — me własne serce — złapie się i zapłacze w siatkę zdradliwą.

O biedne serce ludzkie! Jesteś tą urodzajną glebą, na której rok rocznie złe chwasty puszczają nowe pędy i plenią się na nowo, ponieważ nie zostały zawczasu wyrwane z korzeniem.

A potem trzeba leczyć to biedne, chore serce, nie dotykając miejsc obolałych, bo znów zapieką. Tylko zwierzę dotyka swych ran, by je zagoić. Człowiek czyni to zwykle, aby je na nowo rozkrwawić.

Sza, Krysiu, sza... Nie dość ci, że las pachnie, że na świecie jest słońce, że dla ciebie, — w tej chwili tylko dla ciebie — śpiewają wszystkie ptaki? Musiszże zawsze, koniecznie wyzywać duchy umarłe, pławić się we wspomnieniach bolesnych, rozgryźć w każdym z nich utajone ziarnko gorczyczne, doszukać się smaku piołunu w słodkim miąższu dziecięcych tragedij?

Dlaczego, myśląc: ten las pachnie i szumi tak pięknie, dorzucam zawsze zbyteczny refren: wtedy szumiał i pachniał tak samo, wtedy, gdy było wszystko. I młodość, i szczęście i ludzie bliscy, ludzie kochani...

Zdaje mi się, że słyszę drwiący głos z pod ziemi:

...Nie było nas — był las.

Nie będzie nas...

Tak, teraz tylko on jeden pozostał i szumi.

XXV.

Zbigniew Rymsza jest w Klimontowcach.

Chodzę, jak błędna, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Gdyby mi ktoś wczoraj zrana powiedział, że to prawda, nie uwierzyłabym. Ale widziałam go sama. Widziałam go w kościele...

Prawie nic się nie zmienił. I ujrawszy go tak niespodzianie, w pierwszej chwili miałam wrażenie, że moje życie cofnęło się o dwanaście lat, o całe dwanaście lat, kiedy w taki sam skwarny, lipcowy dzień odjeżdżałam z Klimontowiec — jak sądziłam wtedy — na zawsze...

Wszyscy stali na ganku: Emilka, pani Rymszyna, Janusz. Nawet Ela wychyliła się z okna swego pokoju i przesyłała mi obiema dłońmi pocałunki...

Odwrociłam głowę, by nikt nie spostrzegł, że płaczę. Przez cały tydzień trzymałam się dzielnie. Wszyscy zostali wkońcu przekonani, że nie wzięłam zbyt do serca tej całej historii. Niektórzy — mieli mi to nawet za złe... Przychodziłam na obiad, na wieczerzę, jakby

nigdy nic. Uśmiechałam się. Najtrudniej było z samym Zbigniewem. Usiłowałam też nie patrzeć w jego stronę, bo czułam ustawicznie badawczy, niedowierzający jego wzrok. A przecież wszystko zostało rozstrzygnięte.

Zasłam do Eli w przeddzień odjazdu. Powiedziałam jej: „Pamiętaj, że teraz ty odpowiadasz za jego szczęście”. Mizerna jej twarzyczka, węższa jeszcze i bledsza po przebytym tyfusie, oblała się słabym rumieńcem. Zarzuciła mi ręce na szyję:

— Jakaś ty dobra, Krysiu! Jak ja cię strasznie kocham... Jeszcze więcej... Wiem, czuję, że poświęciłaś się dla mnie...

— Tylko bez patosu — odparłam prawie szorstko. — Jeśli zwróciłam Zbigniewowi słowo, zrobiłam to po głębokim namyśle. Widocznie miłość nasza nie była dosyć silna, skoro nie przetrzymała najłżejszej próby. Gdybym czuła, że jest inaczej, walczyłabym o nią, Elu. Ale nie mogę walczyć. Pamiętaj — teraz ty musisz kochać Zbigniewa. Zawsze, zawsze musisz go kochać. Czy mi to przyrzekasz?

— Och, Krysiu! Ja go tak strasznie kocham! Umarłabym...

Rozpłakała się.

— No, no, teraz już cicho... Już dobrze... Staraj się prędko wracać do sił. I bądź od dziśszego dnia dorosłą osobą, Elu. Pamiętaj, już ci nie wolno kapryścić, jak małe dziewcz-

czynce, którą wszyscy pieściliśmy i psuli po trochu...

Pogłaskałam jej ostrzyżoną głowę i wyszłam pędkiem, aby z kolei się nie rozczuścić nad sobą. O, jakże pragnęłam wtedy przejrzeć tę dziewczynę nawskroś, przekonać się, czy jej serce dlatego jest serduszkciem, że jeszcze nie miało czasu dojrzeć, czy też — zostanie na zawsze karłowatym błazenkiem, strojącym miny do lustra.

Przecież to dla niej, dla niej wyrzekłam się Zbigniewa... Dlatego, że ta pensjonarka bladła i chudła z miłości, że majaczyła o nim w gorączce, że wszyscy patrzyli na mnie z niemym błaganiem w oczach...

Nie poto, by ziścić najgorętsze życzenia „cioci Józki”, nawet nie dla kariery jej syna, o nie... To dla smutnych, umęczonych oczu Emilki powiedziałam Zbigniewowi, że między nami wszystko skończone na zawsze. Nie mogłam patrzeć na tę bezradną mękę Emilki, która była dla mnie zawsze tak słodka i z całego serca, ona właśnie, pragnęła mego szczęścia...

Ach, ta Ela, ten ośmnastoletni smarkacz, ta despotka, trzęsąca całym domem dlatego, że wszyscy, nie wyłączając mnie, drżeli o życie i zdrowie jedynej dziedziczki Romaniszek i Klimontowiec z przyległościami...

Jakże nienawidziłam jej, pomimo całego przywiązania! Jakże długo nie mogłam zapomnieć, że kilka zdań, wyrzeczonych w maligunie, zaważyło tak bardzo na moim życiu, tak gruntownie zmieniło jego bieg!

Kiedy już miałam wyjeżdżać, wszyscy, kto żyw, zgromadzili się na ganku. Brakło tylko jednej osoby... Mogłabym wówczas policzyć moich przyjaciół, których żegnałam na długie czasy... Ale myślałam tylko o tem, by wstrzymać potok łez. Mówiłam sobie: tylko nie płakać, nie płakać...

Balbina staremi, trzęsącymi rękami kreśliła krzyżyki na mojem czole i szeptała mi w ucho:

— Rybko ty moja... Rybeńko ty moja najmilejsza! Niech im Pan Jezus przebaczy, że cię skrzywdzili... Bo oni cię skrzywdzili, rybeńko... Ale nie trap się ty, kochanieńka moja...

— Nic, nic, Balbisiu. Już dobrze. To ja sama chciałam tego. Ja sama... — odpowiadałam również szeptem, by nas nie usłyszano.

— A gdzież to Zbigniew? — spytała nagle ciocia Józka.

Dopiero teraz wszyscy zauważyli, że go nie było na ganku.

— Pewnie poszedł naprzód i czeka pod młynem, aż Krysia będzie przejeżdżać — rzekła Emilka.

Konie ruszyły. Za bramą przełknęłam z wysiłkiem dławiące łzy i rzekłam stangretowi:

— Pojedziemy na „Krynickę” i starą groblą...

— Tam woda duża, panienczko, a koło młyna i droga lepsza i bliżej...

— Jedź na Krynickę — odparłam stanowczym głosem.

Pojechaliśmy na „Krynickę”. Zdaleka widniał jak na dłoni stary dwór w otoczeniu jeszcze sędziwszych lip i klonów o liściach, zszarzłych od skwaru. Koła toczyły się z głośnym stukotem po wyboistej drodze, którą teraz rzadko kto jeździł. W najwęższym miejscu stawu, tam, gdzie rzeka wpływa do niego, zbliżyliśmy się ku urwistemu brzegowi. Po przeciwnej stronie, za gładką, srebrzystą płachtą wody, jaśniał w słońcu nowy dach młyna. Ktoś biegł naprzelaj przez mokrą łąkę.

— Popędzaj konie! — krzyknęłam Feliksowi nad uchem — możemy się spóźnić na pociąg!

— A panienczka sama tędy jechać kazała! — zauważył z flegmą i zlekka dotknął batem szerokich grzbietów końskich.

Od strony łąki zabrzmiał silny głos: Hop hop! Feliks obejrzał się na mnie.

— To panicz Rymsza woła, panienczko. Zaczekać?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Zbigniew był już na brzegu strumienia. Stał i patrzył na mnie bez słowa.

— Nie przeskoczysz! — zawołałam prawie wesoło. — Musimy się tak, zdaleka pożegnać!

I machając chusteczką, krzyknęłam:

— Dowidzenia!

Patrzył na mnie tym razem bez gniewu, tylko z bolesnym wyrzutem w oczach. Wiatr rozwiewał mu włosy i odsłonił białe, wysokie czoło. Stał nieruchomo, jakby mu nogi wrosły w tę kępę mięty nadbrzeżnej. Nagle podniósł rękę i wnet ją znowu opuścił. Zwisła bezwładnie wzdłuż ciała. Silna dłoń o palcach wysmukłych, któremi tak piękne wyczarowywał tony, rysowała się ostro na ciemnym tle ubrania. Nie mogłam oderwać wzroku od tej ręki, od tej całej postaci, do niedawna tak bliskiej, tak drogiej...

Przez resztę drogi do stacji, na pustym peronie i potem jeszcze, jadąc pociągiem, powtarzałam w myśli, bez przerwy, tych pięć wyrazów:

— Już go więcej nie zobaczę.

Zobaczyłam go — dzisiaj zrana, tak niespodzianie. Siedział w ławce, w tej samej ławce, co ongi i patrzył na kazalnicę, z której, jak ongi, zwisły girlandy sztucznych kwiatów. Kościół był przepełniony. Nie mógł dostrzec mię w tłumie. Zresztą, nie mógł nawet przypuszczać...

Poznałam go odrazu. Świadomość szepnęła mi wcześniej, nim oczy zdołały się upewnić to on.

Mój Boże! Dwanaście lat... Mój Boże!

A więc ja jeszcze myślę o nim: O n. Miłość nie potrzebuje innego imienia. Czyżby to była miłość? Jeszcze? Dziś?

Dwanaście lat. Jak to daleko od dnia, w którym powiedziałam sobie: koniec. Jakże to dawno było. Jak niedawno!

Teraz rozumiem, że kłamałam sama przed sobą. Miałam wtedy p e w n o ś ć, że go jeszcze zobaczę. Choć jeden, jeden raz. Miałam tę pewność...

O, Balbino, moja stara, pocziwa Balbino! Przed tobą jedną płakałam, aby się pozbyć tych gorzkich, piekących łez. Pocieszałaś mnie obietnicą, że każdy smutek zczasem przemija.

Patrzę na zegar, na milczący zegar, zabrany z Klimontowiec. Czyżby wskazówka drgnęła z miejsca? Czyżby dzisiaj po latach dwunastu wybiła znowu ta moja, fatalna godzina? Miałaby zegar na nowo zacząć swą pracę niszczącą? Słyszę w tej chwili własne serce: to także zegar, mierzący czas. Z każdym uderzeniem zbliża się moment nieunikniony. Moment, w którym się zegar na zawsze zatrzyma.

XXVI.

Widocznie tak było sądzone.

Starałam się uniknąć tego spotkania, które dziś może byłoby przykre dla niego, bolesne dla mnie. Zaniechałam swoich wędrówek do lasu, zamknęłam się w domu, licząc dni. W miasteczku rozeszła się pogłoska, że „dziedzic” przyjechał, aby rozparcelować, czy nawet sprzedać Klimontowce. Szwargotały o tem żydy na rynku, napomynał coś burmistrz, mocno podniecony, ponieważ jego grunta od strony łąk wchodziły klinowato w posiadłość pana Rymszy.

— Jeśli chce sprzedawać, musimy się najpierw ugodzić — zauważył burmistrz. — Zapożyczę się, a ten kawałek łąki kupić muszę, inaczej by mi chamskie bydło w szkodę lazło.

To mówiąc zafrasowany dygnitarz podrapał się w głowę.

Ach, mniejsza z tem, sprzeda, czy nie sprzeda... Było mi wszystko jedno. Liczyłam tylko dni. Powiedziano mi, że przyjechał sam, bez żony, a więc — na krótko. Mówiłam sobie: byle się nie dowiedział. Ale skądże? Ci z którymi omawia sprawę ewentualnej parce-

lacji, nie powiadomią go, że tutaj, w tem samem miasteczku jest nauczycielką w szkole powszechnej niejaka Krystyna Darowska, osoba w średnim wieku, ciesząca się opinią odludka...

A jednak — widocznie było sądzone.

Spotkaliśmy się na samym środku rynku, w skwarne popołudnie. Wysłałam z domu kwadrans przed czwartą, aby odebrać na pocztę gazety. Listy, adresowane do mnie, są oddawna rzadkością. Zgarnęłam moje pisma, zamieniłam kilka słów z kierownikiem poczty o pogodzie i ruszyłam zpowrotem do domu.

Trzeba szczegółniejszego trafu, by właśnie w tej samej chwili, tak, właśnie w tej samej chwili wtoczyła się na rynek rozklekotana bryczka. Znajdowałam się na samym środku dużego placu, porośniętego żółcią od spiekoty trawą. Uciekać? — śmiesznie. Wtuliłam głowę w ramiona i szłam, przypatrując się końcom własnych pantofli. Turkot zcichł nagle. Dobrze mi znany głos zawołał:

— Krysiu!

Podniosłam głowę, Zbigniew Rymsza był przy mnie. Oczy nasze spotkały się i wiłały radośnie, zanim padły następne słowa, pytania, wykrzykniki, wydarte ze ściśniętego wzruszeniem gardła:

— Ty?... Tutaj?... Krysiu, naprawdę, to ty!... Nigdybym nie uwierzył... Co za spotkanie! Krysiu! Krysiu!...

Ach, mój Boże! Czułam, jak jestem śmieszna w tej chwili, z purpurowym rumieńcem pensjonarki, schwytej na gorącym uczynku, z tem nieopanowanym drżeniem rąk, niezdolna wybąknąć bodaj kilku słów powitania!

A tymczasem on trzymał ciągle moje dłonie w mocnym uścisku i nie myślał ich puścić. Nie myślał też pożegnać mię i odejść. Staliśmy tak, w słońcu, oniemiałi, zdumieni oboje, szczęśliwi i nieszczęśliwi zarazem. Wreszcie Zbigniew odezwał się znów pierwszy:

— Od jak dawna tu jesteś?... Nie miałem najmniejszego pojęcia, doprawdy... Przyjechałem kilka dni temu... Krysiu, jak mogłaś! Jak mogłaś mię nie zawiadomić!

Znów umilkł, popatrzył na mnie, zawołał:

— I pomyśleć, że byłem tu, w miasteczku, już kilka razy! Mogłem cię przecież nie spotkać... Wyjechałbym, nie zobaczywszy się z tobą! Niedobra jesteś, niedobra!

Konie zaczęły się niepokoić, muchy dokuczały im. Furman odezwał się z kozła:

— Proszę jasnie pana?... To może zajechać w cień?

— Zaczekaj... — odparł Zbigniew zniecierpliwionym nagle głosem. — Dobrze, jedź sobie... Albo nie! Krysiu, — zwrócił się do mnie — Siadaj na bryczkę razem ze mną. Musimy przecież porozmawiać, muszę się dowiedzieć... Tyle, tyle rzeczy mamy sobie do powiedzenia!

Chcesz, pojedziemy do Klimontowiec, teraz, zaraz. Odwiozę cię wieczorem, jak się trochę ochłodzi...

— Doprawdy... Doprawdy chyba nie mogę. Muszę wrócić do domu. Zostawiłam pokój niezamknięty... Mieszkam tu, niedaleko, u burmistrza. Jestem nauczycielką w szkole powszechnej.

— Oddawna?

— Od jesieni. Dobiega właśnie rok.

— Tak... tak... — popatrzył znowu na mnie. — Ale słuchaj, opowiesz mi wszystko później. Teraz, pojedziesz ze mną. Albo jeżeli wolisz, zajdziemy do twojego mieszkania, czy mię zapraszasz?

— Ależ tak, naturalnie...

— Zajeżdżaj do Szłomki! — huknął na furmana. — Czekaj tam na mnie!

Ruszyliśmy. Przez całą drogę, niedaleką zresztą, zamieniliśmy zaledwie kilka słów. Przed samym domem przystanął, znów ujął moje ręce:

— Krysiu! — rzekł — Krysia... I pomyśleć, że to naprawdę ty jesteś... Ty, tutaj!

Tyle radości brzmiało w jego głosie! Otworzyłam prędko drzwi, jedno i drugie.

— To mój pokój. Widzisz, tu sobie mieszkam...

Rozejrzał się po pokoju. Śledziłam jego wzrok i uśmiechnęłam się. Po raz pierwszy istotnie zauważyłam, że moje mieszkanie jest

bardzo ładne. Tyle słońca... Kwiatki na oknie... Kwiatki, które przynosi mi Teos... Białe firaneczki z batystu przesiewają łagodne światło. Jak wesoło tańczy na ścianie siedmiobarwna kulka: miniaturowe słońeczko, odbite w dzbanku z wodą... Nad krótkim tapczanem, który mi służy w nocy za łóżko, a w dzień za kanapę, pasiaty kilim mieni się całą gamą czerwonych, rudych i fioletowych odcieni. Na stole książki i kwiaty. Na półce książki i kwiaty. Jak dużo kwiatów! Nigdybym nie myślała, że ich mam tyle w pokoju. A na komódce stoi zegar.

— Jak tu ładnie... — odezwał się Zbigniew po chwili — Miło, zacisznie. Zresztą, nie dziwię się... Więc ty tu mieszkasz?

— Ależ tak, tak! Od jesieni. Tu mieszkam, tutaj pracuję, czytam, piszę, poprawiam zeszyty moich uczniów...

— Więc ciągle jesteś nauczycielką. Wiesz, sądziłem, że jednak rzucisz tę pracę. To chyba nie na twoje siły. Nieraz, myśląc o tobie, usiłowałem zgadywać: co robisz teraz, gdzie się podziewasz, wśród jakich ludzi...

— Wśród samych swoich... — i wskazałem przez okno wątki przesmyk pomiędzy domami. Widniało tam pole, a za niem, woddali, mała grupka drzew z Klimontowskiego cmentarza.

Milczeliśmy przez chwilę oboje. Wreszcie Zbigniew pierwszy zagadnął:

— A teraz... Powiedz mi: opowiadasz wszystko, pokolei. Od dnia...

Urwał. Wiedziała, od jakiego to dnia chciał usłyszeć powieść swojego życia. Przerwała krótko:

— Cóż Ela? Zdrowa? Co u was słychać? Ja także nie wiedziałam nic, prócz tego, że życie...

Blask jego oczu przygasł nagle. Na czole zarysowała się głęboka bróza. Odparł niskim, gardlanym głosem:

— Dziękuję ci. Ela względnie zdrowa, jak na siebie, naturalnie. Zupełnie zdrowa nie będzie zapewne już nigdy. Przynajmniej doktorzy nie obiecują tego. Ale przecież ty nic nie możesz wiedzieć. Ile to już lat? Zaraz...

— Dwanaście — rzekłam spokojnie.

Popatrzył na mnie.

— A tak... To już dwanaście lat. Jak ten czas leci! Wydawało mi się zawsze, że lezie żółtym krokiem, a jednak — przeszło dwanaście lat...

— Więc proszę, powiedz mi... Więc Ela?

— Słuchaj, Krysiu, opowiem ci wszystko, powoli. Ale nie dziś, nie teraz, dobrze? I ty mi powiesz swoją historję, później... A teraz pozwól mi posiedzieć tutaj, w milczeniu. W tej chwili ty także musisz uczuwać wyraźnie ciężar tych lat. Dwunastu lat. Spotkaliśmy się tak nagle, tak niespodzianie. W tej chwili le-

piej milczeć, bo jak tu zmieścić całe, długie życie w jednej rozmowie, prawda?

— Masz słuszność.

— Teraz, przyznam się, wolę patrzeć na ciebie. Przecież to ty, Krysiu! To ty! Nie mogę jeszcze uwierzyć własnym oczom...

— Nic dziwnego — odparłam, siłąc się na uśmiech. — Tyle czasu przeszło. Zmieniłam się...

— Nieprawda. Nie zmieniłaś się. A jeżeli chcesz mi znowu przypomnieć, ile od daty naszego ostatniego widzenia minęło dni, miesięcy, lat, — pamiętaj, że ja je również przeżyłem wszystkie, Krysiu. Wszystkie.

XXVII.

Musiałam mu obiecać, że nazajutrz przyjadę do Klimontowiec.

— Tak, około piątej przyszlę konie. Przykro mi, że cię nie mogę zaprosić na obiad, ale Stara Wątkowa nie posiada zdolności kulinarnych. Od przyjazdu jadamy kartoflanke i krupnik — krupnik i kartoflanke. Co za szczęście, że nie przywiozłem Eli, która nie znosi wogóle zup, a tych dwóch w szczególności. A więc — postanowione, prawda? Konie będą o piątej. Pamiętaj! — zawołał Zbigniew, siadając na bryczkę.

Zostałam sama. Zdawałoby się, że dwadzieścia cztery godziny, to dosyć czasu, aby uporządkować wrażenia i powziąć jakiś plan. A jednak, gdy usłyszałam turkot przed domem, nie byłam jeszcze zdecydowana. Jechać? Nie jechać? Może wymówić się jakimś ważnym zajęciem, posłać przez stangreta karteczkę... Ale znowu — dlaczego? Czy istotnie, po tylu latach, nie czuję się na siłach patrzeć na kochanego człowieka, rozmawiać z nim o sprawach bieżących? Za dwa, trzy dni wyjedzie

przecież i wszystko się skończy. Zresztą — skończyło się już dawno. Że oboje czuliśmy się wzruszeni... Boże mój, czy mogło być inaczej? Przecież kiedyś, dawno, byliśmy sobie tak bliscy... Zbyt wiele łączy nas wspomnień, aby teraz, po latach, móc obojętnie patrzeć na siebie, jak dwaj przechodnie, którzy się nigdy nie znali.

Turkot zcichł — widocznie bryczka stanęła przed domem. Mimowoli zerwałam się z miejsca. Książka, którą bezmyślnie czytałam od rana, spadła na ziemię. Pojechać? Nie pojechać?

Stuknęły drzwi wejściowe. W sieni rozległ się głos burmistrza:

— Panie dziedzicu, jedno słoweczko: ja względem tej łaki...

— Później, później. Interessantów przyjmuję rano, u siebie. Niech pan się zgłosi jutro!

Więc sam przyjechał po mnie! Nie upłynęło pół sekundy, a już stał przede mną, uśmiechnięty i całował obie moje ręce, mówiąc z ożywieniem:

— A co? Nie spodziewałaś się? Wkładaj kapelusz, Krysiu i — jedziemy. Widzisz, jaki jestem przebiegły! Nie podobala mi się twoja mina wczorajsza... Wogóle zauważyłem, że chętnie uniknęłabyś naszego spotkania. Ale nie dam się wykwitować. Jestem natrętny, jak widzisz. Ha, trudno...

Taki był wesół! Musiałam się roześmiać. Aby od razu nadać „charakter” naszej rozmowie, spytałam:

— Czy to prawda, co ludzie mówią, że zamierzasz sprzedać Klimontowce?

Po twarzy jego przebiegł cień.

— Nic jeszcze nie wiem... — odparł prędko.

— Miałem takie plany... Zresztą — zobaczę. Myślę, że raczej nie. W dodatku, to nie łatwa sprawa, sprzedać taki duży majątek. Trzeba mieć kupca...

Zamilkliśmy oboje. Mimowoli czułam żal do Zbigniewa, że tak lekko mówi o sprzedaży. Po długiej pauzie zapytał:

— Czemu stoisz? Czy się jeszcze namyślasz?...

— Myślę — odparłam cicho — coby powiedziała ciotka Eufemja, gdyby na przykład Janusz w swoim czasie powziął myśl sprzedania majątku...

— „Ciotka rodu”? Ha ha! — usiłował się śmiać. — Istotnie, miałby się zpyszna. Ale widzisz, wtedy, to było wtedy, a dziś — jest dziś.

— Tak. Dzisiaj niema już starej ciotki, niema Emilki, wogóle niema powodu do namysłu, czy wolno sprzedawać Klimontowce, które w obecnych czasach są ciężkim serwitutem. Rozumiem to.

— Mylisz się, Krysiu. Jest powód. Jest nawet ważny powód. Jeżeli ty uważasz z jakichkolwiek względów, że powinienem zatrzymać majątek — czekam na jedno słowo z twoich ust. Ty wiesz, jak każde Twoje życzenie było dla mnie zawsze święte. Musisz to chyba pamiętać.

Spojrzał na mnie uważnie. Nigdy nie mogłam wytrzymać spokojnie takiego spojrzenia. Nawet wtedy umyślnie unikałam jego wzroku, bo czułam, że mi wola stopnieje, jak wosk. I teraz musiałam prędko odwrócić głowę. Mój wzrok padł na oczekujące przed domem konie.

— Więc jakże, pojedziemy? Jestem do prawdy zaskoczona twoją energją. Czy wiesz, byłabym może nie przyjechała dzisiaj.

— Przewidywałam to — odparł krótko. — Ubieraj się, proszę. Stara Wątkowa czeka już pewnie z podwieczorkiem.

Wyszliśmy. Przed domem czekał burmistrz.

— To ja, proszę pana, przyjdę jutro do Klimontowiec?

— Tak, jutro, jutro! — odrzekł Zbigniew i podał mi rękę, pomagając wgramolić się na wysoką, starą bryczkę.

— Ładny wehikuł, co? — zauważył, gdy wreszcie bryczka z okrutnem zgrzytaniem zardzewiałego żelastwa ruszyła ulicą, pełną wybojów, tak, że co chwila podskakiwaliśmy po-

mimo trzymania się poręczy. — Teraz tam wszystko takie w Klimontowcach. Istna ruderka, cały dwór, a o stanie narzędzi rolniczych lepiej nie mówić. Ot, bezpański dom...

— Pociąg wyjeżdżał do tej Rosji?

— Pociąg? sam nie wiem. Janusz twierdził, że musi, Emilka mu towarzyszyła, no, a Ela nie mogła rozstać się z matką. Wiesz, jaka była rozpierzczona. Nie pomogły żadne perswazyje. Prosiła, płakała... No i pojechaliśmy. Co to była za gehenna, tych pięć lat!... Ostatecznie śmierć moich teściów nastąpiła dzięki strasznym wprost warunkom życia, a my...

Umilkł i zapatrzył się kędyś w dal martwym wzrokiem. Po chwili szepnął:

— Mieliliśmy synka... Zapewne nie wiedziałś o tem?

— Nie... Skądże mogłam wiedzieć? Od Emilki dostałam tylko dwa listy, już bardzo, bardzo dawno. Pisała przez jakąś okazję. A potem już nic... Czasem jakieś oderwane wieści dobiegały mię. Doniesiono mi o śmierci Janusza, potem wyczytałam nekrolog Emilki w jakimś piśmie, przywiezionem z Kijowa. Mówisz: mieliśmy synka. Czy...

— Tak, umarł wkrótce po urodzeniu. Był za wąty. A potem Ela dostała pokarmowej gorączki. Doktorzy twierdzą, że to się zdarza... Kilka miesięcy była zupełnie nieprzytomna.

Teraz to przeszło. Ma tylko melancholję. Dlatego mieszkamy stale w mieście... Chwilami łudzę się jeszcze, że to minie zczasem. Że towarzystwo ludzi pogodnych, zabawy, rozrywki... Et, człowiek zawsze żyje nadzieją.

Uśmiechnął się smutno:

— Widzisz. Nie szło nam życie po różach. Owe dwanaście lat, to jedno nieprzerwane pasmo udręczeń. Z początku było jako tako. Jednak do ciebie czułem żal. Możemy o tem wspominać — teraz, prawda?

— Myślę, że tak, Zbigniewie.

— Miałem do ciebie bardzo głęboki żal, Krysiu. Może niesłusznie. Ostatecznie, nie wolno ci było tak postąpić. Ale mniejsza z tem. Dziś trochę więcej pojmuję. Myślałem o tobie tak wiele. Zwłaszcza we wszystkich lepszych godzinach życia. Widzisz, właśnie wtedy. Ta biedna Ela, zakochana we mnie aż do pokory, wzruszała mię serdecznie. Potem — oczekiwane blisko trzy lata — miało przyjść na świat dziecko... To wszystko były rzeczy, które nas silniej związały, niż mogłem sądzić. Bo ja z początku nie wierzyłem, Krysiu, że zdolną ją chociaż trochę pokochać... I dzisiaj, trudno mi nazwać miłością uczucie, które mam dla niej...

— Czy koniecznie chcesz mówić o tem, Zbigniewie? Właśnie... ze mną? Czy uważasz, że to potrzebne?

— Tak, Krysiu. Mnie to jest bardzo, bardzo potrzebne. Nie możesz nawet zrozumieć, do jakiego stopnia ta rozmowa jest ważna. Muszę ci wszystko powiedzieć o sobie, a potem ty mi opowiesz, co zechcesz. Dziś, właśnie teraz, gdy taki wielki szmat czasu położył się między tem, co było, a tem co jest, możemy mówić, jak dwoje przyjaciół, którzy się bardzo dawno nie widzieli, ale przecież nie zdołali wypłenić z serca tych wszystkich uczuć...

— Może masz słuszość. Cieszy mię, że tak mówisz. Jesteśmy przyjaciółmi, Zbigniewie.

— Tak, tak, będziemy przyjaciółmi. Wierzę w to. I jeszcze dodam, że ta właśnie wiara była mi bardzo pomocna w życiu. Wiedziałem, że się kiedyś spotkamy, że będziemy mówili ze sobą, jak teraz, że będziemy jeszcze sobie wzajemnie potrzebni.

„Wehikuł” skręcił w aleję. Z podwórza rozległo się szczekanie. Dwa wielkie psy jęły targać łańcuchami, ujadając wściekle.

— Cicho tam, wy! — krzyknął zirytowany stangret. — Ot, kundle, nie poznają, że swój jedzie!

— Był czas, że wszystkie psy podwórzowe biegły na nasze spotkanie, pamiętasz, Krysiu? — ozwał się Zbigniew i dodał z goryczą: — Wtedy też Klimontowce były bardziej moje niż dziś, gdy jestem ich właścicielem...

XXVIII.

Dziś znowu przybiegł do mnie zdyszany Teos i jednym tchem odrecytował:

— Pan mię przysyła, żeby powiedzieć pani, że pan będzie po południu w miasteczku i tu po panią wstąpi, więc żeby pani była gotowa pojechać, bo pan bardzo prosi panią na podwieczorek do Klimontowiec!

To tak codziennie już od tygodnia. Wiem, że Zbigniew ma mnóstwo spraw na głowie i że nie dla mnie specjalnie przyjeżdża do N., ale każda taka bytność w miasteczku kończy się na naszej wspólnej wycieczce w pola, do lasu i wreszcie „ładujemy” w Klimontowcach, gdzie nas już oczekuje Wątkowa z olbrzymim garem zsiadłego mleka i michą dymiących kartofli. Zwykle Teos przynosi jeszcze maliny leśne i takie mnóstwo czarnych jagód, że nietylko my, ale z pół tuzina gości nie mogłoby im podołać.

Siedzimy sobie we dwoje przy ogromnym stole, na ganku i gadamy, gadamy bez końca. Jak ten czas leci! Niespodziewanie dla nas obojga zapada zmierzch i wyłania się z za drzew

puciołowały księżyc. Wówczas dopiero przytomnieję, zrywam się z miejsca.

— Boże drogi, to już tak późno! Znowu pobudzę wszystkich w domu, bo nie zabrałam klucza!

I czynię w duchu silne postanowienie, że to już po raz ostatni. Jutro powiem Zbigniewowi stanowczo: albo mnie z Klimentowic wyprawisz wcześniej o dwie godziny, albo też wcale nie pojadę.

Wiem, że pojadę. Nie mówimy sobie przy pożegnaniu: „do jutra!” — ale to się samo przez się rozumie. Chwilami, jak czarne skrzydło kruk, przemknę przez głowę myśl, że to wszystko wkrótce się skończy. Nie wiem, jak długo jeszcze Zbigniew tutaj zabawi. Nie pytam o to, nie miałabym odwagi zapytać. Żyję chwilą obecną, staram się nie wybiegać w przyszłość. Jest mi tak bardzo dobrze. Nigdybym nie sądziła, że po tylu latach beznadziejnej tęsknoty zdołam z takim spokojem patrzeć na niego, słuchać jego głosu, opowiadać mu własne dzieje.

Ani jedno jego spojrzenie nie jest mi obce. Obserwując przez długie godziny tę drogą twarz, dostrzegam w niej zmiany, jakie czas musiał, naturalnie, poczynić. Kilka nowych zmarszczek na czole, sporo siwych włosów na skroniach. A jednak to ten sam człowiek, ten sam. Poznaje każdy jego uśmiech, każde

drgnienie ust, każdy błysk oczu. Ze spokojem szczęściem słucham najprostszych słów i w zakamarkach wspomnień odnajduję zupełnie podobne rozmowy.

Wiele mówimy o przeszłości; naturalnie, raz wraz wypływa na usta słowo: pamiętasz? I potem biegą wspomnienia. Każde drzewo, każdy kamień przy ścieżce związany jest z jakąś historią. O! ta wysoka topola przed gankiem: Adaś o mało karku przez nią nie skręcił. Zapowiedział, że wlezie na sam wierzchołek. Usiłowałam go odwieść od szalonego zamiaru, ale chłopak tem bardziej się uparł.

— Może myślisz, że nie potrafię, co? — zapytał tonem buńczucznym i natychmiast wziął się do dzieła. Zrazu szło wszystko doskonale. Chłopak zwinny jak wiewiórka, wdrapał się już na znaczną wysokość, gdy nagle — gałąź trzasnęła złowrogo i nim zdołałam krzyknąć z przerażenia, Adaś już leżał na ziemi i śmiał się w najlepsze.

— No to co, — mruknął, powstając. — To się może każdemu zdarzyć. Ale wlażłem prawie na sam wierzch.

— Mogłeś się zabić na śmierć! — zawołałam żałośnie i na tę myśl lży trysnęły strumieniem.

— Naturalnie, becz teraz. Z babami to zawsze...

Pani Rymszyna długo nie mogła się uspokoić na samą wieść o wypadku. Tylko ciotka Eufemja wzruszyła ramionami.

— Dajcież mu spokój! Od tego chłopak, żeby laził po drzewach. Nigdy inaczej nie bywało. A że tam spadnie kiedy, et! Nic mu nie będzie! Zawsze na cztery łapy, jak kot...

Biedny Adaś. Nic mu nigdy nie było, istotnie. Spadał sobie z drzew, potem ze żrebaków, które bez wiedzy Janusza ujeżdżał o świcie na okólniku. Nie chorował nigdy. Uczył się średnio, ale jakoś z klasy do klasy przechodził. I dorósł wreszcie poto, aby go na tej wojnie japońskiej zabili...

Pamiętam, byłam właśnie na wakacjach w Klimontowcach. Poprzedniego dnia przyjechał Zbigniew. Nikomu ani przez myśl nie przeszło wtedy, że Adaś może właśnie w tej chwili...

Około południa przyniesiono ów nieszczęsny telegram. Pani Józefa czytała go bardzo powoli, jakby nie mogąc pojąć treści tych kilku lakonicznych słów. Wreszcie rzuciła telegram i wstała, opierając się o stół rękoma. Stała tak długą chwilę pochylona z oczami wbitemi w pomięty skrawek papieru, a potem wyszła z pokoju cicho, jak osoba, która nie zdaje sobie sprawy, co się wokoło niej dzieje.

Teraz dopiero powstało zamieszanie: Co? Jak? Kiedy? Ach, Boże, Boże!... Krzyżowały

się zapytania, wykrzykniki, westchnienia. Właściwie wszyscy zrozumieli już, ale Zbigniew wziął do ręki telegram i przeczytał tych kilka słów, zawierających straszną wiadomość.

— Biedny Adaś! — krzyknęła Emilka i zaniósła się płaczem.

— Biedna mama... — szepnął Zbigniew. Nagle zwrócił się ku nam:

— Moje kochane... nie płaczcie tak głośno... Jeszcze ciocia usłyszy.

Ciotka Eufemja! Wszyscy instynktownie zwrócili głowy w stronę drzwi. Janusz podszedł na palcach i zamknął je. Do obiadu brakowało już tylko pół godziny. Zaczęliśmy się naradzać, co teraz począć. Wprawdzie starszuszka oddawna sparaliżowana, zobojętniała na mnóstwo zjawisk życiowych, ale Adaś był zawsze jej ulubieńcem. Wprawdzie na wieść, iż go wzięli do wojska, spytała najspokojniej: „Czyżby. A niech tylko uważa, bo to o wypadek nietrudno”. Ale wobec tej śmierci...

— Ona tego nie przeżyje. Pomyślcie, ośmdziesiąt pięć lat. Ona to życiem przypłaci... — szeptała teraz Emilka, wycierając chusteczką zapłakane oczy.

— Może... może nie mówić babuni? — poddała Ela, ale ją ofuknięto:

— Dowie się zboku. Ktokolwiek wypaple i będzie jeszcze gorzej.

Po długich naradach postanowiliśmy jak najogłędniej przygotować staruszkę. Właśnie dzwonek w podwórzu oznajmił porę obiadową. Wszyscy, prócz pani Rymszyny, zgromadzili się w jadalni. Balbina przywiozła swą panią na wózku i zatoczywszy go na zwykłe miejsce, siadła przy końcu stołu. Stara dama była niezwykle rozmowna i nastrojona łaskawie dla otoczenia:

— Cóż, Zbigniewie — zaczęła głosem cokolwiek podniesionym, właściwym osobie przygłuchej — pogoda zapowiada się ładna?

— Prawdopodobnie... — odparł szybko.

— Hę? — poruszyła się z niezadowoleniem. — Jak powiadasz, bo nie dosłyszałam? Wszyscy lubicie mamrotać pod nosem...

— Ładna pogoda, ciociu! — krzyknęła Emilka, siedząca bliżej. Staruszka skinęła głową. Przez chwilę, mieszając supę, wodziła wzrokiem po otoczeniu.

— A gdzież to Józia? Józi nie widzę! — spytała nagle, dojrawszy puste nakrycie.

Zapanowało krótkie, niespokojne milczenie. Emilka schyliła głowę, a Ela, której usta drgały wciąż od powstrzymywanego płaczu, nagle rzuciła serwetę i wybiegła z pokoju.

— A to co znowu za kaprysy? — zmarszczyła brwi staruszka, ale Zbigniew przerwał jej:

— Widzi ciocia... Otrzymaliśmy wiadomość... Mama nie zejdzie na obiad... Otrzy-

maliśmy bardzo smutną wiadomość. Chciałem właśnie przygotować cioteczkę...

— Tylko bez tych spieszczeń, proszę bardzo. Nie znoszę tego, wiesz dobrze!

— Ciociu! Adaś nie żyje! — wyrzuciła jednym tchem Emilka.

Zaległa cisza. Staruszka siedziała wciąż sztywno w swoim fotelu na kółkach, mieszając supę najspokojniej. Po chwili odłożyła łyżkę i tonem, w którym więcej było zdziwienia, niż żalu, wypowiedziała jedno jedyne słowo:

— Czyżby?

Jedliśmy dalej w milczeniu, z uczuciem ulgi i zgrozy jednocześnie: że przeszło i że przeszło tak łatwo...

Nareszcie sprzątnięto ostatnie talerze. Ciotka Eufemja otarła usta serwetą i skinęła głową na znak, że możemy wstawać od stołu. Balbina przydreptała ku niej i jęła popychać wózek ku drzwiom.

— Zaczekaj... Chciałam się o coś zapytać... Ot, stara głowa! Zupełnie z pamięci wypadło... Potarła czoło ręką.

— Aha, już wiem. Prawdaż to, co mówiłaś, Balbisiu, że kury w tym roku wcale się nie niosą, a indyczki niczem warjatkę?

— Szczęśliwa starość! — szepnął Janusz, podszedłszy do mnie. — Widocznie ciotce zupełnie „z pamięci wypadło”, że Adaś...

XXIX.

Wracając z poczty, spotkałam naszego proboszcza. Szedł rażnym krokiem, wymachując rękami jak wiatrak. Ten człowiek zawsze się śpieszy. Jednakże dostrzegłszy mnie przystanął i począł wykrzykiwać na cały rynek:

— Hop hop! Panno Krystyno! Proszę tutaj na chwilkę!

Podeszłam. Przywitaliśmy się serdecznie.

— No no, — rzekł do mnie — nareszcie pannę Krystynę spotykam. A to na plebanję ani zajrzy. Gdzie się pani tak chowa?

— Ja, proboszczu? Ot, korzystam z wakacji, z pięknej pogody. Cały dzień jestem poza domem.

— Wiem, wiem. Zachodziłem dwa razy, żeby się przecież upewnić, że pani żyje. Podobno teraz panna Krystyna ciągle w Klimontowcach przesiaduje...

— Istotnie...

— Niechno pani pójdzie ze mną kawaleczek, dobrze? Śpieszę się na plebanję, bo mi dali znać, że rój wyleciał z ula. Z temi pszczołami to tak zawsze. Pilnuj, pilnuj, nie upilnujesz.

Wyroili się, szelmy i u sąsiada komin obsiadły. A złe to, niech Bóg broni... Przedwczoraj, to mię tak bestje skąsały...

Wyciągnął rękę rzeczywiście pokrytą znakami. Szliśmy przez chwilę w milczeniu. Nagle proboszcz zagadnął:

— Pan Rymsza na długo w nasze strony zawitał?

— Nie wiem, proboszczu. Pewnie wkrótce wyjedzie.

— Aha... Bo ludzie mówią... A żona została w mieście, co?

— Tak, jego żona jest w Warszawie.

Proboszcz popatrzył na mnie z ukosa.

— Niech się pani nie gniewa, panno Krystyno, ale ja chciałem pani coś powiedzieć. Bo to ludzie gadają... Ot, ludzkie plotki... Zwykła rzecz... Podobno pani była kiedyś zaręczona z panem Rymszą. Czy to prawda?

— Prawda, proboszczu. Byłam z nim zaręczona. To dawne czasy.

— Tak? Aha... Naturalnie, tak. Bo to ludzie zaraz... Ot, powiem prosto z mostu: poco pani ciągle w tych Klimontowcach przesiaduje?... Zawsze to złe języki ludzkie...

Staaliśmy właśnie przed plebanją. Odparłam, siląc się na spokój:

— Czemu jeżdżę do Klimontowiec? Wychowałam się tam od dziecka. To mój rodzinny dom. Innego nie mam. Czy proboszcz do-

prawdy uważa, że źle czynię, widując się ze Zbigniewem, który był moim narzeczonym, a teraz jest moim przyjacielem. Jeżeli oczy ludzkie mogą dopatrzeć się złego w tem, że często bywam w Klimontowcach...

— Ale niech Bóg zachowaj! — przerwał ksiądz z widocznym zakłopotaniem. — Ja wcale nie chciałem zrobić pani najmniejszej uwagi... Ot, przyszło na myśl zapytać się... Bo to ludzie zaraz, że pan Rymsza żony nie przywiózł... Że niby sam w Klimontowcach... Et, powtarzać niewarto... Ja przecież panią znam nie od dziś i szanuję. Pani sobie tutaj zyskała wielkie uznanie i w szkole i poza szkołą. Niedawno jeszcze inspektor mówił mi, że pani jest najlepszą siłą w powiecie... No, przecież się pani nie gniewa, panno Krystyno? Nie obraziłem pani?...

— To ja dziękuję proboszczowi za życzliwość. A „złe języki” już wkrótce nie będą miały żeru. Pan Rymsza wyjedzie lada dzień.

Prosił mię jeszcze, abym wstąpiła choć na momencik do jego siostry, ale się wymówiłam pilną robotą w domu. Pożegnaliśmy się serdecznie...

Burmistrz widocznie czekał na mnie, bo w chwilę po moim powrocie zastukał do drzwi.

— Proszę pani, — oznajmił, wsuwając głowę do pokoju. — Był tutaj chłopak z Klimonto-

wiec. Powiedział, że pan Rymsza czeka na panią o piątej.

— Dobrze. Dziękuję.

Stary nie odchodził. Namyślał się nad czemś. Wreszcie zapytał:

— Proszę pani... Bo ja ciągle względem tej łaki... Czy to prawda, co ludzie mówią, że się pan Rymsza rozmyślił i ani kawałka ziemi sprzedać nie zechce?

— Skądże ja mogę wiedzieć, kochany panie...

— Tak? A ja sobie myślałem... Bo mnie bardzo o tę łączkę chodzi. Niedużo tam tego, będzie z półtora morga. Żeby tak pani do pana Rymszy za mną chciała powiedzieć... Niechby mnie tylko sprzedał ten kawałeczek. Jemu tam dużo o tę łakę...

Ach, więc to tak. Protekcja. I to do mnie, do mnie zwraca się burmistrz o protekcję. Odpowiedziałam zmieszana:

— A cóż ja mogę powiedzieć? Burmistrzowi się zdaje, że mnie pan Rymsza zaraz usłucha...

— Kogóż usłucha, jak nie panią? — zdumiał się i to tak szczerze, że już nie miałam wątpliwości. Oni tu w miasteczku są przekonani, że ja ze Zbigniewem „mogę wszystko”. Proboszcz miał słuszość, wspominając o plotkach. Tylko — jak daleko sięgają te plotki. Czyżby...

Śmieszne, doprawdy. Podeszłam do lustra i długo, długo badałam własne odbicie. Czy ja doprawdy tak jeszcze wyglądam, że mogłabym się p o d o b a ć? Te smutne oczy, zmęczone ślęceniem nad książką... Ten lekki, a jednak widoczny zarys zmarszczek około ust.. Tych kilka srebrnych nitek we włosach... „Twoje cudowne oczy” mawiał Zbigniew. To było dwanaście lat temu.

Jesteśmy przyjaciółmi — powiedziałam przed kilku dniami. Będziemy, poprawił Zbigniew. Nie zwróciłam uwagi na tę drobną zmianę, teraz zaczynam się zastanawiać. Dlaczego czas przyszedł? Dlaczego nie dziś, a jutro? Czyżby chciał przez to powiedzieć: gdy już będziemy starzy...

• Że moja miłość nie umarła, to jeszcze nie dowód, by jego dawne uczucie dla mnie miało z m a r t w y c h w s t a ć. Dziwne to słowo, przyjaźń. Używają go ludzie najczęściej, aby określić jakieś uczucie nieogarnione żadnym na świecie słownikiem. Mówi się: przyjaźń, a myśli się przy tem: sympatja, albo miłość, zależnie od okoliczności.

Przed godziną zaledwie, mówiąc z proboszczem, użyłam zwrotu: Zbigniew jest moim przyjacielem. Czyżbym powiedziała za wiele, albo, co gorzej, za mało? To głupie lustro nie chce mi pomóc. Patrzy z jego ram kobieta, o nieco zgaszonych oczach i bardzo świeżym uśmiechu.

Taką kobietę można kochać, trudno się w niej z a k o c h a ć. Między temi słowami jest przepaść, większa od tej, którą stworzyło dwanaście lat rozłąki.

Lekki szmer przy drzwiach wyrwał mię z zamyślenia. Zbigniew stał nieruchomo i patrzył na mnie z uśmiechem.

— Wybacz — zawołał, składając ręce. — Drzwi były uchylone... Zajrzałem, sądząc, żeś wyszła z pokoju. Byłaś tak pogrążona w kontemplacji nad własną urodą... Nie myślę cię oskarżać o próżność. Kobieta powinna wiedzieć o tem, że jest piękna...

— ...i należycie ocenić gładki komplement, prawda? Ale chciałabym wiedzieć, co ty tu robisz o tej porze? Czy znowu pilne sprawy w miasteczku?

— Zgadłaś, choć niezupełnie. Główny cel mego tutaj wtargnięcia; to nowina, którą muszę podzielić się z tobą. Dziś w Klimontowcach przygotowałem niespodziankę...

— Nie wiem jeszcze, czy będę mogła przyjechać, Zbigniewie.

— Jakto? Mogłabyś nie przyjechać?.. Co też ty mówisz?

Dobry jego humor zgasł nagle, jak zdmuchnięta świeca. Zamilkł i patrzył na mnie z wyrzutem. Po chwili szepnął, raczej do siebie, niż do mnie:

— Mój Boże, a ja się tak cieszyłem...

— Ja także, Zbigniewie, przed godziną jeszcze sądziłam, że nic mi nie przeszkodzi odwiedzić Klimontowce. Ale zaszła poważna przeszkoda...

— Musi być poważna, jeżeli chcesz mi wyrządzić krzywdę.

— Krzywdę, zaraz takie słowo! — odparłam, siłąc się na ton wesoły. — Wogóle, uważam, że nabrałeś skłonności do przesady. Ostatecznie, nic się nie stanie, że jedno popołudnie spędzimy zdala od siebie. Tyle ich było w życiu. A prawda, wspomniałeś o jakiejś niespodziance...

— Teraz to już niewarto mówić. Drobiazg. Kazałem Wątkowej staszczyć z góry ten stary fortepian. Dwa dni czyścili go, pucowali, bo okrutnie był sponiewierany, a dziś rano przyjechał z miasta stroiciel. Majstrował, majstrował — no i ostatecznie jakoś tam poradził, bo klawisze odpowiadają. Myślałem: trzeba coś zagrać Krysi, jak przyjedzie. To cała niespodzianka.

— I bylibyś zagrał? Wszystko, co zechcę? Doprawdy?

— Wszystko, co zechcesz.

Wyciągnęłam do niego rękę.

— Przyjadę.

Porwał obie moje ręce i począł je całować, powtarzając wkółko rozradowanym głosem:

— Jaka dobra, jaka dobra, jaka dobra...

Pal licha moje wszystkie „silne postanowienia!” Czy dlatego, że tak się podoba tutejszym mieszczanom, mam krzywdzić Zbigniewa i siebie? Kto mi wróci te krótkie chwile szczęścia, pierwsze po wielu, wielu latach i może już ostatnie? Dlaczego mi nie wolno raz jeszcze, w pogodny wieczór letni, przeżyć najśłodszych marzeń młodości mojej? Tej młodości, która minęła bezpowrotnie...

Powtórzyłam silniejszym głosem.

— Przyjadę.

XXX.

Zmierzch zapada bardzo powoli, choć nieustannie. Widzę jeszcze ciągle profil Zbigniewa, taki wyraźny na tle okna, za którym czerwień dnia gasnącego przemienia się stopniowo we fiolet.

Widzę piękną głowę, pochylającą się zlekka w takt uderzanych akordów i zarys pięknych rąk na klawiaturze. Za oknem dźwięczy cisza, w pokoju dźwięczy fortepian. Biedne, chrome klawisze, jakgdyby odzyskały młodość. Zapadają pokornie pod wszechmocnem dotknięciem. Stare, stargane struny jęczą i łkają dziwnie boleśnie. Raz jeszcze zabrzmiały potężne tony Apassionaty, raz jeszcze rozpląnęło się w cichych bezradnych łzach preludjum deszczowe...

Za oknem dźwięczy cisza, w pokoju dźwięczy fortepian. Z kątów, gdzie czał się najgęstszy mrok, wypelzają tłumnie wspomnienia. Senny korowód postaci ożywia się, porusza coraz raźniej. Oto przez pokój przechodzi Balbina, cicho, na palcach, aby nie płoszyć nastroju. Mocno ściska w dłoni pęk kluczy i śpieszy, śpieszy drobnymi kroczkami. Do-

kąd? Zapewne do spiżarni. Bo muzyka muzyką, a wieczerzę trzeba mieć w pogotowiu. Niech tylko zmilkną ostatnie dźwięki, toż buchnie gwar zmieszanych głosów! Starych i młodych. Bardzo starych i prawie jeszcze dziecięcych. Podbiegnie „ciocia Józia” i pocznie ściskać syna, całować go po głowie, po oczach... „A mój ty kochanieńki, tak pięknie grasz!... A powiedzcież, jaki artysta z niego się zrobił! Ot, Femcia, serce moje, żeby tak mogła usłyszeć!...”

A potem podchodzi Emilka. Ma jeszcze oczy pełne łez, tych, których nie zdążyła wypłakać nad mogiłkami Hani i Zdzisia. Podchodzi prosto ku mnie, opiera głowę na mem ramieniu i już nie płacze, a szlocha. Biednym, starganym od łkania głosem powtarza moje imię, jakby na świecie nie było innego słowa, którym można wyrazić tyle cierpienia:

— Krysiu... Krysiu... Krysiu...

Otaczam ją ramieniem, gładzę jej włosy, tak wcześniej posrebrzone, utulam jej troskę pieśczołą, w której jest obietnica. Już dobrze, już będzie dobrze. Zobaczysz, będzie dobrze. Emilka podnosi głowę, ociera łzy i oczy nasze jednocześnie szukają Eli. Siedzi tam, w kątku, nieruchoma, drobna, skulona tak, że prawie ginie w wielkim fotelu. Wąska twarzyczka bieleje na tle ciemnego obicia i tylko jarzą się oczy. Wielkie, nadmiernie rozszerzone źrenice,

wpatrzone uporczywie w Zbigniewa. Jest w tem spojrzeniu i prośba i bunt — cała gorzka tragedia zapoznanej miłości.

Już dobrze, już będzie dobrze, Emilko. Już wiem, rozumiem...

Jednem, krótkiem westchnieniem przekreślam całą przyszłość. Zawczasu przeżywam chwilę, w której mu powiem: tak trzeba. Zawczasu gotuję się na walkę, w której powinienem zwyciężyć. Pośpiesznie czynię przegląd tych kruchych argumentów, gotowych stopnieć, jak śnieg od wiosennego słońca. Co ja mu powiem? Jak ja mu powiem?

W tej chwili Zbigniew zbliża się ku mnie. Czuję, jak słabnie cała moja odwaga. Nie, nie, to niemożliwe. Czyż mogłabym go utracić? Te słowa, te kochane słowa:

— Dziś grałem tylko dla ciebie. Czulaś to?

— Tak, tak...

Oglądam się z rozpaczą. Emilka wyszła z pokoju. Ela, nieporuszona, siedzi na dawanem miejscu i patrzy na nas.

— Krysiu — szepcze Zbigniew — Krysiu...

— Tak, tak...

Dotknął mej ręki. Uśmiecha się i mówi:

— Pomyśl, już niedaleki czas...

— Tak, Zbigniewie — powtarzam jak automat. — Już niedaleki czas...

Co to? Czy cały pokój wiruje? Wszystkie postacie rozplývają się w mgle, która zasnuwa

mi oczy. Niema już „cioci Józi“, Janusza, Eli. Tylko znajomy, drogi głos szepcze:

— Co tobie? Płaczesz?

To Zbigniew przestał grać. Podszedł tak cicho. Pochyliła się nade mną, patrzy, powtarza:

— Krysiu? Ty płaczesz?...

— Tak, tak...

Odzyskuję świadomość czasu i miejsca. Spoglądam w okno. Ostatnie błyski dnia pogasły dawno. Z sąsiedniego pokoju, przez drzwi otwarte pada snop światła. To stara Wątkowa przyniosła lampę. Ocieram łzy, odgarniam włosy z czoła, uśmiecham się i mówię:

— Już przeszło. Grałeś zbyt pięknie.

Zbigniew milczy. Wiem, że za chwilę powie: „Grałem dla ciebie“. I wiem, że nie należy pozwolić, by to powiedział. Poczynam się niezdarnie tłumaczyć: To preludjum zawsze na mnie tak działa... Nie mogę słuchać go spokojnie... Tyle w niem bólu, męki, taka bezbrzeżna melancholja...

— A przytem w twojej interpretacji...

Właśnie. In-ter-pre-ta-cji. Co za bajeczne słowo. W mgnieniu oka skupiam całą uwagę, aby je wymówić bez zmyłki. I po chwili już innym tonem, karcąco:

— Jak mogłeś zarzucić muzykę? To zbrodnia.

Do pokoju wsuwa się Wątkowa.

— Proszę pana, czy już można podawać?...

— pyta nieśmiało.

Zatrzymany zegar.



— Nawet trzeba! — odpowiada Zbigniew dość opryskliwie i nagle zwraca się ku mnie: — Jak mogłem zarzucić muzykę? Dziwi cię to? Prawda, miałem podobno wielki talent. Ale oprócz talentu, moja droga, potrzebne są jeszcze inne rzeczy: wiara w siebie, wytrwałość, praca. Wreszcie — warunki do pracy. Tego wszystkiego zabrakło. A przytem, od chwili swojej choroby, Ela nie znosi muzyki. Widziałem, jak ją to drażni, kiedy zaczynam wygrywać pięciopalcówki. Więc dałem spokój.

Zapalił papierosa i począł chodzić po pokoju. W pustej, prawie ogołoconej z mebli bawialni, każdy krok rozlegał się echem.

— Tak — zaczął po pauzie, zatrzymując się znowu przede mną. — To już skończone. Trzeba tylko powiedzieć sobie w porę: basta. Mogłem być wielkim artystą. Nie będę nim, to wszystko. Wielu jest powołanych, ale niewielu wybranych.

— Mogłeś należeć do wybranych, Zbigniewie.

— Mogłem! — powtórzył z goryczą. — Oto straszliwe słowo bez wartości. Służy jedynie do stwierdzenia wszystkich omyłek, jakie się popełniło w życiu i których już nic nie naprawi. Et, dajmy temu pokój. Lepiej chodźmy jeść krupnik, który oddawna stygnie zapewne, ku rozpaczcy Wątkowej. Potem pójdziemy nad staw, zobaczyć dwa księżycy wpelni, a potem odwiozę cię do domu.

XXXI.

A jednak jest w tem wszystkim trujący czar. Upijamy się wspomnianiem, aż do utraty świadomości, że czas przechodzi. Dopiero po powrocie do domu trzeźwieję. Liczę wtedy minione dni: siedem, osiem, dziewięć. Zbigniew nic dotąd nie wspomniął o wyjeździe. Czy to ma jakiś związek ze mną?... Czuję, że tak, ale nie śmiem zapytać. Kiedy go widzę, myślę tylko o jednym: że wolno mi jeszcze patrzeć na niego. I patrzę. A jednak, trzeba mieć trochę odwagi...

Dzisiaj, gdyśmy siedzieli jak zwykle, na ganku, patrząc w zalany słońcem sad, spytałam nagle:

— Jak stoją twoje sprawy? Znalazłeś kupca?

— Kupca? Na co?

— Mówiłeś przecież o sprzedaży Klimontowiec. Myślałam...

— Ach, tak. Rzeczywiście, przyjechałem z takim zamiarem. Ale już tego nie zrobię.

— Czemu?

Spojrzał na mnie badawczo, prawie ze zdumieniem. Pożałowałam pytania, na które mogłam w jego oczach wyczytać wyraźną odpowiedź: Przecież ty sama dobrze wiesz. Czy udajesz, że nie rozumiesz?...

— Skoro już o tem mówimy, — zaczął Zbigniew po chwili, — mogę cię teraz zapewnić, że Klimontowiec nie sprzedam.

— Ostatecznie, mieszkacie przecież w mieście. Nie osiedlicie się tutaj...

— Kto wie? — szepnęła.

— Myślisz, że Ela zgodziłaby się przyjechać tu na stałe?

— Jeżeli nie na stałe, to chociaż na parę miesięcy. Właśnie zamierzam napisać do niej. „Napisać!” — mimowoli odetchnęłam z ulgą. A zatem nie wyjedzie stąd jutro, ani pojutrze. Jednakże wtrąciłam po chwili:

— Ela pewnie się dziwi, że siedzisz tutaj tyle czasu. Przyjechałeś na kilka dni, a to już dwa tygodnie...

— Słuchaj, Krysiu. Jeżeli chcesz mi robić wymówki, proszę, czyni to otwarcie. Powiedz, że nie mam serca, bo zostawiłem chorą żonę w Warszawie. Gorzej: postępuję wprost nieuczciwie, ponieważ w żadnym liście nie wymieniłem, jakie sprawy opóźniają mój powrót. Jeśli znasz tę przyczynę, skarc mię, lub rozgrzesz. Dawno już dałem ci prawo decydowania o naszym wspólnym losie, niestety... Nie możesz

tylko udawać, że nie rozumiesz, dlaczego odwlekam wyjazd i staram się o nim zapomnieć...

Mówił nieomal z irytacją. Piękne jego oczy ściemniały nagle, głos drżał.

— Wierżaj, Zbigniewie, — szepnęłam. — Wolałabym nie domyślać się tej przyczyny. Bo jeżeli istotnie zostałeś w Klimontowcach dlatego, że...

— Dlatego, że ty tu jesteś! — wybuchnął. — Tylko dlatego. Innej przyczyny niema.

— W takim razie miałam słuszość, obawiając się tego spotkania. Dla wszystkich byłoby lepiej...

— Być może — odparł krótko. — Ale się stało. Nie mówmy o tem więcej.

Zamilkliśmy oboje. Słońce poczynalo świecić coraz jaskrawiej poprzez liście. Małe, zwinnne jaskółki latały tuż nad ziemią, pokrzykując swoje żalosne pii-wiit, pii-wiit. Chwilami tak zniżały lot, że zdało się, zawadzą skrzydełkiem o żwir na ścieżce. Goniąc wzrokiem ich błyskawiczne ruchy, dostrzegłam w jakiejś chwili zgębnioną twarz Zbigniewa. Nie patrzył na jaskółki, ani na słońce. Patrzył przed siebie, nie widząc, jak człowiek bardzo zajęty myślami.

Ciepła fala przepłynęła mi przez serce. Więc on jednak cierpi z mego powodu. A to przecież nie moja wina, nie moja wina, nie moja...

— Zbigniewie, — odezwałam się bardzo łagodnie. — Przecież to poprostu śmieszne. Nie możemy dłużej rozmawiać, jak dwoje smarkaczy. Spójrz na mnie. Przypomnij sobie, ile mam lat. Ile to lat minęło...

— Wiem, — przerwał — wiem, co mi powiesz. Znam już ten twój rozsądek. Popsuł nam życie. Ale teraz, pamiętaj, teraz ja ciebie odnalazłem. I nie myślę stracić cię z oczu. O, nie. I proszę, nie mów nic więcej. Nie mów, że krzywdzę własną żonę. Kto wie, czy właśnie Ela nie zrozumiałaby najlepiej, gdyby wiedziała...

— A jednak zataiłeś przed nią nasze spotkanie. Tem samem określiłeś nasze wzajemne uczucia. Zepchnąłeś je do rzędu występnych. Mogły być piękne, a stały się odrazu szkaradne. Żle uczyniłeś, Zbigniewie, bardzo źle. Starasz się wmówić we mnie i w siebie, że przyjaźń nasza jest prawdą, a obwijasza ją w samym zarodku przedzą drobnym kłamstwem.

— Mylisz się. Nie okłamuję Eli. Nie okłamywałem jej nigdy, ani przez jedną chwilę. Nawet w ówczas. I jeżeli teraz nie piszę, to dlatego, że chcę jej o tem powiedzieć. Chcę, żeby mogła patrzeć mi prosto w oczy i wyczytać w nich całą prawdę.

— Jaką prawdę? Zbigniewie, na miłość Boską...

Ukrył twarz w dłoniach. Zapadło długie milczenie, którego żadne z nas nie śmiało przerwać. Słońce już zaszło. Od pola powiał rzeźwy wiatr, przynosząc gęstą, miodową woń tatarskiej. Kędyś, daleko, powracające z roboty dziewczęta śpiewały na przeciągłą, żalostną nutę jedną z tych swoich ulubionych piosenek. W przezroczyściej ciszy wieczoru każde słowo dzwięczało wyraźnie:

Ej, żuriłsia, żuriłsia,

Ej, żuriłsia, żuriłsia,

Szto małodyj żeniłsia...

Ni po sobie żonku uziął,

Ni po sobie żonku uziął —

Daj on z jeju żyć ni stał...

Zbigniew podniósł głowę. Oczy nasze spotkały się.

— Masz słuszość, — rzekł. — Nie wiem, nie pojmuję, co się ze mną dzieje od kilku dni. Nie mogę się oprzeć złudzeniu, że życie wstrzymało nagle swój bieg, a nawet cofnęło się wstecz o całe długie lata.

— Zegar... — szepnęłam do siebie.

— Co mówisz, droga?

— Ot, nic. Przypomniał mi się stary zegar Klimontowski. On także stanął, biedak i wskazuje niezmiennie jedną godzinę. Mam go u siebie, zabrałam go stąd, jak swoją własność i nieraz patrzę na nieruchome wskazówki. W ta-

kich chwilach i mnie się zdaje, że czas zatrzymał się w biegu. Ale potem — przychodzi moment rozwagi. Wówczas trzeba zdać sobie sprawę, że to nie życie samo, a tylko stary zegar przestał wydzwaniać dalsze godziny.

— A jednak, Krysiu, jest taki moment w dniu, codziennie jest taki moment, gdy zegar wskazuje czas właściwy. To godzina, na której się przed laty zatrzymał.

— Tak, Zbigniewie. To godzina mojej ucieczki z Klimontowiec... Bo trudno ją nazwać odjazdem, — dodałam, uśmiechając się do dalekiego wspomnienia.

Powstał i zbliżył się ku mnie.

— I zarazem godzina, w której znów ciebie spotkałem. Daj rękę, muszę ją ucałować, o tak. Widzisz, Krysiu, wszystko, czego dziś pragnę i czego chyba wolno mi pragnąć, to mieć taką godzinę od czasu do czasu, jedną taką godzinę na własność. Czy to źle? Czy komukolwiek dzieje się krzywda przez to? W takiej chwili mam prawo mówić ci wiele rzeczy. Wszystko, czego nie powtórzę przedtem, ni potem. Mam prawo powiedzieć, że cię zawsze kochałem i kochać nie przestanę...

Pochylił się, ujął w obie dłonie mą głowę.

— Mam prawo, — powtórzył, — zwłaszcza że ta godzina nie mieści się w rzeczywistości. Wskazuje ją zegar milczący, którego nikt, prócz nas, nie słyszy...

XXXII.

...A czasem wydaje mi się, że to był tylko sen i że zbudziłam się z niego w szary, deszczowy poranek, tak niepodobny do wszystkich ranków poprzednich, jak rzeczywistość różni się od marzeń.

Księżyc wszedł w ostatnią kwadrę i jednocześnie zaczęła się nieznośna plucha. Podobno to tak bywa, po pełni. Będzie padało ze trzy dni, może z tydzień. „Całe szczęście, — orzekła burmistrzowa, — że ludziska już jęczmień sprzątnęli, bo na kartofle to tam jeszcze nie zaszkodzi.”

Nie zaszkodzi? A to dobrze. Niech pada...

Głowa mię boli. W gardle czuję dziwną suchość. Czyżby znowu choroba? Eł, nie. Taki sobie, zwyczajny katar.

Teraz wszystko wydaje mi się zwyczajne. Nawet katar. Zwyczajnie kłóć się baby i wymyslać sobie na rynku zwłaszcza we wtorek, który jest dniem jarmarcznym. Zwyczajnie deszcz pluszcze w okna, zacieka przez nie szczelne szybki do pokoju i zalewa świeżo pomalowaną podłogę. Zeszłego roku pod jesień,

może cokolwiek później, działa się akurat tak samo. Nawet podłoga była też świeżo pomalowana.

W szkole już kończą bielić ściany. Byłam tam, żeby trochę podpedzić majstrów. Głuchoniemy mularz, którego wszyscy „Niemkiem” zowią, zapytał mnie na migi, czy i piec także przestawić. Odpowiedziałam mu gestami, że i piec także.

A dzisiaj przyszedł list od Leonki Mrozowiczówny. Przepraszam, od pani Dąbkowej, bo już ona tak się nazywa. Píše, że zdrowa, że szczęśliwa, na pierwszego września „nieomylnie” przyjadą, ale nie wcześniej, bo „mój mąż ledwie co wrócił z kursów i zanim się popakujemy, (a jest tych gratów wcale sporo,) to i czasu trochę zejdzie.”

A potem pisze jeszcze p a n i Leonka (Mój Boże, czy ja się kiedy przyzwyczaję!) że mnie strasznie kocha i cieszy się, że mnie zobaczy niebawem, a tymczasem prosi, żeby sprawdzić, czy Szłomka mieszkanie dla nich wyprzątnął, bo przyjechać i zastać cudze śmiecie to wcale nieprzyjemnie.

Widziałam to mieszkanko. Małe jest, ale podobno słoneczne. Podobno, bo teraz słońca ani na lekarstwo. Deszcz i deszcz...

I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno...

Zaraz, wiele to dni? Zbigniew wyjechał w sobotę. Następnego rano zszedł jakoś niepo-

strzeżenie. Byłam na sumie, potem „na chwileczkę” wstąpiłam do panny Moniki.

„Chwileczka” trwała do wieczora. Niebo jeszcze było pogodne, gwiazdy świeciły mocno, jak to w sierpniu. Nazajutrz zbudził mnie deszcz. Poniedziałek, wtorek... Tak, to już trzeci dzień pada.

Ten nieznośny ból głowy męczy mnie, nie daje myśleć. Choć z drugiej strony — o czym mam myśleć? Wciąż, wkońko, przeżywać wspomnienia ostatnich, słonecznych dni? Poco? Nasz zatrzymany zegar drgnął. Ja sama posunęłam jego wskazówki.

Od pierwszego wejścia zauważyłam wtedy, że Zbigniew jest jakiś nieswój. Usiłował nadrabiać miną, śmiał się, nawet podżartowywał ze mnie, ale zbyt dobrze go znam, aby mię zwiodła ta wymuszona swoboda.

Byliśmy w lesie. Pokazywałam mu moje ulubione świerki i tajemnicze zakątki, gdzie zawsze o tej porze roku można znaleźć dorodną parkę borowików. W górze, ukryte wśród gałęzi, darły się wszystkie ptaki, jakby podniecone naszym zuchwałem najściem na ich królestwo. Gwizdały misternie wilgi, a ich samiczki odpowiadały wcale niemelodyjnym skrzykiem, w myśl przysłowia, każdy ptak śpiewa, jak mu dziób wyrósł.

— Słyszysz, co za rejwach? To chyba na deszcz...

— Tak, tak... — odparł z roztargnieniem.

Wzięłam go za rękę i zapytałam, patrząc prosto w oczy:

— Zbigniewie, tobie coś jest.

— Mnie? Cóż znowu...

— Nie udawaj przede mną. Masz jakąś przykrość?

— Przykrość? Nie, skądże...

— A jednak...

Raz jeszcze zaprzeczył ruchem głowy. Nagle, jakgdyby powziął jakąś decyzję, rzekł krótko:

— Otrzymałem dziś zrana list.

— Z domu? Od Eli?

— Tak.

— Czy mógłbyś mi go pokazać?

— Poco? Nic ciekawego. Nie wiem nawet, czy go zabrałem z domu...

— Zabrałeś go z pewnością, Zbigniewie. I proszę, daj mi go.

— Ha, skoro chcesz koniecznie... — wyjął z kieszeni złożoną w kilkoro ćwiartkę. — Ale powtarzam jeszcze raz, nic ciekawego.

Wzięłam list. To samo pismo pensjonarki: duże, nieco kanciaste litery. „Ile zeszytów, zapisanych tą samą ręką, poprawiłam przed laty”, przemknęło mi przez głowę. Ela pisała o wszystkim i o niczem, na czterech bitych stronach. Trzeba mieć wiele czasu, by pisać takie listy. Pogoda ładna, znajomi się poroz-

jeżdżali. Wczoraj — poszła sama do teatru, ale wróciła do domu po drugim akcie, bo sztuka smutna i na pewno kończy się samobójstwem. Wstaje około południa, ale i tak wychodzić nie może, bo upał ją męczy. Żałuje teraz, że nie chciała pojechać nad morze. Chociaż z drugiej strony nie mogłaby pewnie znieść ciągłego szumu fal. Teraz już wkrótce zaczną się wyścigi. „Kupiłam sobie psa, wilczka, ale na drugi dzień zginął bez śladu. Szkoda, bo czułam, że mogę go polubić. Chociaż najlepiej ze wszystkiego byłoby, abym wreszcie umarła...”

Ani jednego zapytania, ani lekkiego napomknięcia o terminie powrotu Zbigniewa. Tylko na ostatniej stronie dopisek: „Był tu przed kilku dniami Kromski, wiesz, syn tego Kromskiego, co to stryjowi Klimontowskiemu wytoczył kiedyś proces o zniszczenie łąki przez zalew. Spotkaliśmy się u Edziów. Mówił, że widział się z tobą przelotnie w N. Opowiadał także sporo o tamtejszych stosunkach powojennych. Podobno w samym N. pozostała szkoła siedmiodziałowa. Krysi Darowskiej, która tam jest nauczycielką, powiedz przy sposobności, że zawsze myślę o niej z głębokim uczuciem wdzięczności. Była dla mnie taka dobra w dzieciństwie.”

Oddałam Zbigniewowi list, mówiąc.

— Nie powtórzyłeś mi słów, które Ela przysłała dla mnie.

— Prostu zapomniałem.

— Zdaje się, że zapomniałeś również... Właściwie zapomnieliśmy oboje, że ona tam czeka oddawna.

Szliśmy spory kawałek drogi w zupełnem milczeniu. Ptaki śpiewały ciągle, cały las rozbrzmiewał od tych piosenek niefrasobliwych, to znów od krakań złowieszczych, to znowu od cichutkich skarg. Ze szczytu wysokiej sosny porwał się jastrząb i równym, śmiałym lotem przeciął sobie drogę przez gąszcz ku błękitnym niebiosom. Jednocześnie, jak na komendę, przycichły chóry ptasie. Tylko pośród konarów owej sosny zakotłowało się nagle i kilka głosów jęło popiskiwać coraz żałośniej i coraz natarczywiej.

— Popatrz, małe są jeszcze w gnieździe! — zauważył Zbigniew, ukazując ukryty wśród gałęzi szary domek jastrzębi, z którego sypały się piórka.

Zapytałam spokojnie:

— Kiedy masz zamiar wyjechać?

I po chwili, stanowczym tonem:

— Trzeba, abys pojechał, Zbigniewie.

— Wiem — odparł. — Już o tem myślałem dziś rano.

XXXIII.

Stara kobieta o twarzy pomarszczonej i żółtej wprowadziła mię do wnętrza. Jest to ten sam wielki, nieco ponury pokój z surowem obiciem w ciemne kwiaty. Znam go tak dobrze! Na połupanym kominku...

Lecz co to? Czyżbym uległa halucynacji, czy też niepojętym sposobem życie moje cofnęło się o trzydzieści lat wstecz? Na połupanym kominku, w miejscu, gdzie warstwa kurzu grubiała z roku na rok, znów stoją wazoniki chińskie. Te same. Na jednym z nich dostrzegam nawet, mimo półmroku, poprzeczną ryse — ślad, gdzie został ongi sklejonny.

Poczynam się rozglądać, nie wierząc własnym oczom. W głębi, pod ścianą, kanapa ciotki Eufemji wygląda jakoś uroczyście, wytrzępana i odczyszczona. Przed nią okrągły stół, na stole lampa naftowa. Po bokach zajęły miejsca oba fotele, z godnością wparłszy w posadzkę kabłąkowate nogi. Wszystkie dostojne sprzęty, zdawałoby się, zastygły w postawie oczekiwania. Jeszcze chwila, a stukną głośno

drzwi dębowe i chrapliwy, nieco zirytowany głos starej jejmości rzuci gniewną uwagę:

— Nie poznajesz mię? W ziemię wrosłaś, że tak stoisz, jak drewno?...

Ale drzwi pozostają zamknięte. Tylko za memi plecami inny, znajomy głos, — Wątkowej, — obwieszcza z dumą:

— A co, proszę pani. Jakaś to wszystko wyrzucili z moim starym! Akuratnie tak, jak pan Rymsza przykazał, żeby było. Inszych gratów tam na strychu zostało dość, ale pan Rymsza nie dał ich ruszyć. Tylko te powności powiada i poustawiać, gdzie naznaczyć. I co paniusia powie! Krydom kółka ponapisywał na ziemi, że to niby my, stare ludze, pamięci nie mamy dobrej. Ale już też i prawda, że te graty jeszcze starsze. Próchno się z nich sypie, proszę paniusi, tylko tknąć. Po prawdzie, toby mógł taki dziedzic meble nowe sprawić, jak się należy.

— Pan Rymsza, moja Wątkowo, życzy sobie widocznie, żeby wszystko zostało tak, jak było za dawnych lat, kiedy tu jeszcze nieboszczka pani Klimontowska rządziła w Klimontowcach.

— Ano, ano.. — skinęła głową. — Tak i my rozumieli z moim starym. Wszysciutko tak, jak było. Nie przemieniać nic. Jak pani myśli, dobrze teraz? Niczego nie braknie?

— Jeszcze tylko zegara, który stał zawsze na tym kominku. Ale go właśnie przyniosłam, przed wyjazdem.

— Więc to prawda, co ludzie mówią! — zawołała babina. — Wyjeżdża pani?

— Tak, moja Wątkowo. Już wkrótce. Za dwa, trzy dni najdalej.

Załamano ręce z wielkiego żalu.

— O mój Boże! To się dopiero Teoś zamartwił! To będzie beczał! On nic, tylko ciągle o pani i o tej szkole...

— Szkoła zostanie, moja Wątkowo i będziecie chłopca posyłali, prawda?

— Ano... pewnie, że tak... Tylko że jak tu dzieciak bez paninej pomocy da sobie radę? Toż paniusia dla niego, jak matka rodzona... I w domu douczała... Oj, będzie Teoś lamentował, będzie...

Żeby przerwać te gorzkie żale, zaczęłam z innej beczki:

— Wątkowa odpakuje ten zegar, dobrze? Zostawiłam go w przedpokoju. Tylko ostrożnie, moja kochana, żeby szkła nie stłuc...

Wyszła posłusznie. Zbliżam się do kominka, rozsuwam oba wazoniki cokolwiek na bok, ażeby zrobić miejsce. O, tak. A teraz tu sobie zostaniesz, mój stary przyjacielu... Wątkowa, która już przyniosła zegar, przypatruje

się zboku, jak go ustawiam, przecieram po raz ostatni palisandrowe ścianki chusteczką. Wreszcie pyta:

— To on nie chodzi?

— Nie. Chciałam go dać do naprawy, ale mi powiedzieli w miasteczku, że tutaj nikt nie poradzi. Mechanizm jest stary, zniszczony...

Wątkowa namysła się, coś waży, wreszcie mówi:

— Po prawdzie, to na co taki zegar potrzebny? Pożytek z niego żaden. Tylko kurz ścierać i tyle...

— Pamiątka, moi kochani. Taka pamiątka, jak wszystko tutaj...

— Ano i to racja. Jak człowiek długo pożyje, to się tych pamiątek nabiera... Obcy na to nie łasy, tylko swój.

— Dobrzeście powiedzieli. Dla jednego taki właśnie zegar dużo znaczy, bo to pamiątka, a dla drugiego — nic, bo popsuty.

Zagawędziłyśmy się z babiną, spostrzegłam, że dzień poczyną przygasać. Coraz to krótsze już dni. W lipcu, o tej porze, słońce było wysoko...

— Czas wracać, — rzekłam — zanim dojdę do domu, już się zupełnie ściemni. Tylko jeszcze, moja Wątkowo, mam do was jedną prośbę: zajdziecie od czasu do czasu na cmentarz, albo

wnuczka możecie posłać. Tam jest grób, taki duży, wiecie, kamienny. To zboku, wiecie, po prawej ręce, mała płytka mosiężna. Zanieście trochę kwiatów dla mojej matki, albo, jeżeli zimą, kilka gałązek świerkowych. Zrobicie to, prawda? Macie tu trochę pieniędzy.

— Co też pani! Od pani będę pieniądze brała — obruszyła się staruszka. — I jeszcze taki grosz! Już niechaj się paniusia nie boi. Sama zajdę, a jakby mi nogi dokuczały, bo to pod zimę zawsze, to chłopak poleci. Jeszcebym też dla pani tego zrobić nie miała!

— Dziękuję wam. Zostańcie z Bogiem, moja Wątkowa.

— I paniusia niech z Bogiem... — rozplakała się. — Oj, będę ja miała z Teosiem, jak się dowie... A co też panu Rymszy powiedzieć, jak tu przyjedzie? Już to pewnie się zdziwi pan Rymsza...

— Powiedzcie mu, że sama odniosłam zegar. Bądźcie zdrowi, moja kochana...

Wróciłam do domu nie przez wieś, ale łąkami... Droga o połowę krótsza i dwa razy piękniejsza... Mój Boże, jak te skabiozy obficie kwitną! Trawy nie widać, niebiesko i niebiesko. Przecież rok temu...

Jakiś złośliwy chochlik szepcze mi w ucho: właśnie rok temu dziwiłaś się tak samo. Zawsze się dziwisz...

Tak. Dziwię się. Dziwię się bardzo na myśl, że te skabiozy zakwitną znowu za rok, chociaż mnie tu nie będzie. A więc naprawdę może ostatni raz patrzę na nie?...

Jak gwałtownie poczyną się ściemniać! Wilgotny chłód płynie od rzeczki. Przyspieszam kroku. Trzeba dziś jeszcze zejść do proboszcza. Muszę mu zdać różne szkolne papiery, omówić mnóstwo spraw. Lekcje rozpoczną się w przyszłym tygodniu. Moja następczyni przyjedzie lada chwila.

Moja następczyni! Toż się zdziwi panna Leonka! Zdziwi i zmartwi. Lubiła mię, pomimo, że jestem „jakaś inna, jakby obca pośród tutejszych ludzi”. A jednak żyłam się z nimi i ciężko mi odejść jeszcze i z tego względu.

Nie mogę zapomnieć stroskanej twarzy proboszcza, gdy po długiej rozmowie, (była to raczej spowiedź) pokazałam mu list do inspektora. List z prośbą o przeniesienie do innego powiatu, do innej dzielnicy kraju, daleko, daleko.

Biedny proboszcz długo czytał list, kręcił się niespokojnie na krześle, chrząkał, tarł czoło. Dopomogłam mu wreszcie sama:

— Czy ksiądz nie sądzi, że tak będzie najlepiej?

— W istocie, moja córko... Szczerze mówiąc... Bo to człowiek jest człowiekiem... Że tego... Co to ja chciałem powiedzieć? Aha, że

tak się przetnie, jak nożem... A pokusę nie-tylko zwalczać trzeba, ale jej unikać... Bo to człowiek ułomny... Raz odniesie zwycięstwo nad sobą, a drugi raz... A skoro sama dobrze rozumiesz, moja córko... Tylko, prawdę powiedzieć, to nam tu wszystkim bardzo będzie pani brakowało...

Wracając z plebanji wrzuciłam na pocztę ów list. Dziś — mam w kieszeni odpowiedź. Uwzględniono mą prośbę, choć również z żalem. Wszędzie żal. Ksiądz proboszcz, Teoś, dzieci ze szkoły, nawet rodzina burmistrza. Gdy przyjdzie mi jechać na kolej, wszyscy pewnie zgromadzą się na rynku. Będą machali chusteczkami, będą wołali: „dowidzenia!” dopóki nie zniknę im z oczu, na skrócie alei Klimontowskiej.

A ja już tutaj nie wrócę. Kędyś, daleko stąd, czeka mię znowu szkoła, podobna do tej. Widzę już rzędy ławek i jasne główki, pochylone nad zeszytami. Widzę już pierwszą godzinę lekcji, poczynającą się od słów pacierza: „W Imię Ojca i Syna i Ducha...”

Później będę wracała do domu, do jakiegoś innego domu, którego mi użyczą ludzie poczciwi. Siądę cicho przy oknie, śledząc wczesny, zimowy zmierzch i czekając, aż zegar na wieży pocznie wydzwaniać godzinę:

— Raz... raz... raz... raz...

Wówczas pomyślę pewnie o innym zegarze,
pokazującym także prawdziwą godzinę, na
którą w tej jedynej chwili jest miejsce w rze-
czywistości i w czasie.



Wielka Bobra — Warszawa
1923 — 25 rok.



65351

71702